MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 12 (193) Grudzień 2020

Kraków nieodkryty

Zbigniew Mikołejko: na czym polega magia świąt

Marcin Świetlicki: muzyka i pisanie

Radosław Krzyżowski o astronomii i gwiazdach

Opowieści wigilijne zegarmistrzów

Historie krakowskich służących

Święta: pamiętamy o ofiarach covid i słabego państwa

9 771733 045002 11

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

MIESIĘCZNIK KRAKÓW ZAPRASZA

ZGŁOŚ SWEGO KANDYDATA DO NAGRODY

KONKURS „PORTRETY 2020”

- czyli wybieramy najlepsze polskie dzieło biograficzne AD 2020

Zapraszamy Czytelników i sympatyków naszego pisma do zgłaszania najciekawszych dzieł powstałych w tym roku, a opisujących biografie ludzi, społeczności lub miejsc.

Warunek - opisywany temat ma być związany z Polską. Można zgłaszać książki, filmy (fabularne i dokumentalne), spektakle i wystawy.

Podpowiedzi prosimy nadsyłać na adres **redakcja@biblioteka.krakow.pl** - do 30 grudnia 2020 roku.
Najciekawsze uzasadnienia zostaną nagrodzone książkami z autografem autora

zaczytaj się w Krakowie
KRAKÓW MIESIĘCZNIK
miesiecznik.krakow.pl

PRODUCENCI SPONSOR NAGRODY GŁÓWNEJ PARTNERZY

Biblioteka Kraków
ŚWIAT MA SENS FUNDACJA
CONSULTRONIX
KLEZMER-HOIS KRAKÓW ULICA SZEROKA 9/10
KRAKOW UNESCO CITY OF LITERATURE

Wiktor Korecki (1890-1980), *Zimowy dworek*, olej na tekturze, Agraart

Boże Narodzenie: między magią, nadzieją i trwogą

Tekst: Zbigniew Mikołejko

Nic nie pozostało z kolorowej szopki z kartonu, która była w moim rodzinnym domu od lat 30. minionego stulecia. Rozsypała się w pył. Jednak ciągle wraca do mnie jej pamięć.

To, jak wpatrywałem się w nią godzinami, zanim znalazła się na choince w kręgu narkotycznego zapachu igliwia i maleńkich czerwonych jabłek, pośród rozmaitych świecideł, ozdób i cukierków w barwnych papierkach. Była dla mnie tajemnym palimpsestem – nie tyle zgromadzeniem osób i zwierząt, ile nawarstwieniem niepojmowalnych znaków, wzywających gdzieś dalej, gdzieś w głąb. Lecz była zarazem, jak chce kolęda, „mizerna, licha". Czas mojego dzieciństwa – czas komunizmu – był w końcu zgrzebny, wyzuty z barwy i smaku. Ale przynajmniej w święta był to czas jakoś niepokalany, jakoś czysty. Nie szuka się zresztą w takim wypadku prawdy historycznej – szuka się prawdy szopki.

Myślę o tym zazwyczaj, gdy przychodzi mi mówić o sprawie prostej, a nieobecnej dziś w naszej myśli, w naszym corocznym doświadczeniu. O tym, że Boże Narodzenie czy karnawał niosą w sobie, pod osłoną świątecznej feerii, pewną tajemnicę zimy, tajemnicę czasami ciemną, której teraz już się na ogół nie pamięta. Zwłaszcza w tych dniach i latach, kiedy zima jest byle jaka i atakuje tylko od czasu do czasu, niechlujnie i bez należytego rozmachu. Nie znaczy to oczywiście, że i teraz nie nawiedzają nas niekiedy zimy złe i okrutne, jak chociażby ta z 2005–2006 roku, która pochłonęła tyle ofiar. Jednak w histerii mediów i zwykłym ludzkim przestrachu, jakie towarzyszą owym zjawiskom, daje się wyczytać głębokie, a znamienne dla naszej epoki przeświadczenie, że mamy do czynienia jedynie z anomalią, apokaliptycznym odstępstwem od „normy". Można jednak z łatwością odczuć, że nie jest to norma pogodowa czy klimatyczna, lecz kulturowa.

Jest tak z owym zapomnieniem nie dlatego wcale, że – jak mówi Wiola w Szekspirowskim *Wieczorze Trzech Króli* – „natura nieraz skrywa pięknem ohydne skazy" i że pod jasnymi płaszczami śniegów niknie jak gdyby i stężała, surowa ziemia, i okrucieństwo wyziębłego do szpiku świata. Jest tak z racji przeciwnych: dlatego właśnie, że wszystkożerna kultura masowa

zawłaszczyła naturę, przeobraziła ją w swój własny, dobrze oswojony produkt. Że w trybikach tej tandetnej kultury i ograniczonej jej wyobraźni zima – najsroższa przecież z pór roku, najbardziej dojmująca – stała się, często wbrew fizycznym naszym doznaniom i paskudnym z nią przygodom, przesłodzoną bajeczką z filmów Disneya, rojowiskiem towarów i uciech, krainą świątecznego obżarstwa i alpejskich sportów, cudowną przestrzenią, której krasy, barwy i smaku dodają wszystkie te wspaniałe towary z reklam. I którą Johan Huizinga rozpoznawał już w latach 30. minionego wieku jako pejzaż „puerylizmu", łatwej, zdziecinniałej zabawy, uwolnionej od istotnych związków ze świętością i świętem, wyzutej z pierwotnego sensu, wynikającego z rzeczywistej rywalizacji i walki (może przypomni o tym pandemiczny czas niepokoju?).

Zachód wchodził w taki komercyjny krajobraz powoli – bez gwałtownych raczej przewrotów mentalnych czy moralnych, bez historycznych zamieci. Budował go stopniowo, z mozołem zabiegając o zdobycie tej nowej strefy swej towarowej ekspansji. My natomiast otrzymaliśmy go nagle i, na pozór, za darmo. Dlatego też wielu z nas żyje jeszcze jakoś, coraz wprawdzie słabiej i z reguły nieświadomie, pamięcią o dawnej, odmiennej zimie, której resztki rozwiały się wraz z widmem komunizmu.

Tak: my wszyscy, którym przyszło spędzić parę dziesiątków lat pod niepięknym niebem komunizmu czy okupacji, pamiętamy jeszcze jakoś surowość zimy. Pamiętamy jej demonię czy nędzę. Ale w znacznej mierze była to przecież nędza i demonia czysto ludzka, we wnętrzu której białe piekło zimy sprzęgało się w jedność z polityczną przemocą, z panowaniem podłych i niewydolnych reżymów.

I w naszej świadomości, jak czarne rany, otwierają się nierzadko ikony tamtych prześladowań i klęsk, ikony polskiego losu wydanego na pastwę „historii spuszczonej z łańcucha" (Jerzy Stempowski). Wracają więc do nas, ciągle mimo wszystko wracają powidoki syberyjskiej „nieludzkiej ziemi", transportów na Kołymę, krwi na śniegu, robotniczych trupów z grudnia siedemdziesiątego roku i z grudnia osiemdziesiątego pierwszego, żołnierzy stanu wojennego koczujących na śniegu, grzejących się przy „koksownikach".

Ale mnie idzie teraz o coś zupełnie innego, o coś głębszego niż polityka czy historia: o jakieś zło metafizyczne i o zmaganie się z nim archaicznych kultur, które również odzywa się niekiedy gdzieś z ciemnych trzewi współczesności. Coraz – oczywiście – słabiej, coraz bardziej niewyraźnie. A dla wielu całkiem już nieczytelnie.

Mam bowiem wrażenie, że jeszcze gdzieś w mrokach mojego dzieciństwa – dzieciństwa na głębokiej prowincji, poddanego ciśnieniu biedy i gomułkowskiej „smuty" (wolnego jednak od zabójczych miazmatów telewizji i konsumpcyjnych złudzeń) – tkwiły mocniej jakieś ślady tej archaicznej walki z demonią. Że groza zimowej nocy i zła, jakie ją zamieszkuje, przemawiała wtedy do mnie i do mojego otoczenia bez osłonek, bez kostiumów i masek.

Zwłaszcza grudzień był wówczas nie do zniesienia. Jego krótkie i sine dni nie dawały żadnej ulgi od długich, przepastnych nocy, od tęgich mrozów, od nieprzebytych śniegów targanych przez nagłe wiatry, od widm, które wypełzały o zmroku z głębi lasów i skradały się do ludzkich progów. I, co gorsza, od widm, które wyłaniały się z ludzkiej pamięci i z ludzkiej wyobraźni – bardziej jeszcze od tych pierwszych straszne i łakome.

Baliśmy się wtedy wszyscy, dorośli i dzieci. Baliśmy się zwłaszcza własnego strachu, który czaił się wszędzie: za osłoniętym lichą firanką oknem domu na przedmieściu, w brzozowym zagajniku na pobliskim wzgórzu, w obcej twarzy, na rozstaju dróg, w śnieżnej zamieci, na zakurzonym strychu, we wspomnieniach.

Wspomnienia były zresztą najgorsze. Obie wojny światowe i stalinizm zostawiły w nich ślady bez dna. Grasowała w nich wciąż suka-historia, grasowali zdziczali żołdacy wszystkich możliwych armii i oprawcy wszystkich możliwych narodów. Mieszała się w nich mentalność ofiar i katów, rabusiów i obrabowanych, gwałconych i gwałcicieli, wygnańców i ciemięzców. Podnosiły się w nich trupy o kalekich, okrwawionych kadłubach i wołały – do kogo? o co? – straszliwym głosem.

Mówiono o tym wszystkim w długie zimy – kuląc się przy kuchennych paleniskach, przy kaflowych „poniemieckich" piecach – choć nie było właściwie języka, jakim można było wypowiedzieć takie rzeczy: te potworne przeżycia, ów posiew zbrodni, cały ten nieludzki strach. Kalekie słowa rozbitków – niepiśmiennych w większości, wyrzuconych z rozmaitych zakątków kresów wprost na nieczułe pagórki Warmii, w miejsce, gdzie nawet Bóg musiał mieszkać w obcych, gotyckich kościołach z czerwonej cegły – krążyły więc bezradnie w powietrzu, nad głowami niczym żydowskie dybuki, szukające jakiegoś zadomowienia w ludzkich głowach.

Dziś pamiętam zaledwie strzępy tamtych słów, tamtych opowieści, tamtego kresowia starganego przez historię, tamte przesądy i przywidzenia. Pamiętam jakieś gadki o wilczych stadach atakujących rozpędzone do szaleństwa sanie, o Żydzie duszonym przez diabła na zakrzepłym od mrozu strumieniu, o zmrożonych na śmierć żołnierzach, którzy powstają o zmroku z zasp i szukają schronienia w samotnych domach, o białych, widmowych koniach, które galopują szybciej od zamieci, o dzieciach porzuconych na zginienie w śnieżnym pustkowiu... I o utraconej, a ciągle obecnej przestrzeni domowego mitu, białej klechdy domowej, o której mówił choćby Józef Czechowicz w wierszu *Piłsudski*:

> śnieżne konie śnieżyca po świętym marcinie
> zamieć dom tratowała a dom mocny wytrwał
> dawny czas w zegarach szafach skrzyniach
> litwa litwa
> [...]
> jezioro sine wolno szło do brzegu
> usypiając fale jak dzieci
> w domu dzieci bez kołysek kołysał spod śniegów
> jęczący nieustannie rok 63

Nie rozwierała się wcale przepaść między tym, co „niskie", a tym, co „wysokie" w kulturze. I te same doznania białego piekła przemawiały do mnie z kart książek, które wtedy czytałem, z marnych, rozmazanych reprodukcji obrazów, jakie wtedy miałem przed oczyma. Wizja była tu jednorodna, wspólna całej tej dziewiętnastowiecznej jeszcze kulturze, niezależna od miejsca, od społecznej hierarchii, od

Alfred Wierusz-Kowalski (1849-1915), *Wyjazd powozem*, ok. 1880, olej na płótnie, Białystok, Muzeum Podlaskie

sztuki słowa. I jednorodny, wspólny był, rzecz jasna, ten wielki i drastyczny mit zimy. To, co mówił stary analfabeta gdzieś spod Wilna czy Wołkowyska, biegło więc jednym duktem z opisami śnieżnej zawiei w *Krzyżakach*, z relacją o upiornej wędrówce Basi Wołodyjowskiej przez porażone mrozem bory i stepy, z koszmarem tych scen z Sienkiewicza czy Żeromskiego, w których „wilcy konie rżną", a samotny, ocalały z nieszczęścia człowiek pisze krwią na bieli albo kona na uciechę krukom i wronom.

I te same otwierały się w tych opowieściach wygnańców widoki nieludzkiej bieli co na pobladłych, ascetycznych fotografiach Stanisława Filiberta Fleury'ego, co na rysunkach i grafikach, akwarelach i płótnach Axentowicza, Bilińskiej-Bohdanowicz, Chełmońskiego, Grottgera, Harasimowicza, Ichnowskiego, Jarockiego, Koreckiego, Kossaków, Malczewskiego, Pautscha, Setkowicza, Wieruszа-Kowalskiego, Stanisława Witkiewicza, Wyspiańskiego i setek innych artystów. A nade wszystko Juliana Fałata, „malarza śniegów" z ich metafizyczną grozą – grozą samej materii, materii w swej niebywałej potędze i w swym niebywałym rozpadzie, materii nasyconej szkarłatnym niczym posoka światłem albo też podszytej głęboko czernią, granatem i posępną żółcią, śmiercią i przerażeniem, nieobecnością człowieka i jego zbożną nienawiścią, z ich metafizycznym patosem. Podobnie zresztą jak działo się to w niby to naiwnych, niby to dziecinnych piosenkach Stanisława Noskowskiego do słów Marii Konopnickiej – o choince i o tym, że „nasza zima zła" – dziś już zesłanych do lamusa.

Dobry Bóg, który unosił się na tym wszystkim, nad tym wszystkim czuwał, był Bogiem chrześcijańskiego obrzędu, chrześcijańskiego święta. Był Bogiem skwapliwej dewocji, pokornej i czystej, pewnej zbawienia, jakie daje przykładna i skrupulatna praktyka, przykładne sprawowanie modłów, postów i dni radosnych, choć przecież musiał wiedzieć, że nie zawsze owe zbożne nawyki pochodziły z głębi prawdziwie Chrystusowej wiary. Czuło się jego dobrą obecność szczególnie w wieczór wigilijny. W kręgu światła, w pobliżu choinki, podczas śpiewania kolęd, przy stole.

Blask wówczas triumfował, lęk pryskał. Ciemność czaiła się wprawdzie za oknem, ale zła moc truchlała i demonia zimy i nocy była mniej dojmująca, mniej straszna. Działy się wprawdzie różne niepokojące sprawy, blask ciemniał, nieskończoność obnażała swe granice – ale wszystko zaczynało iść ku dobremu: oto przecież wstała już pierwsza gwiazda, moc truchlała, a śmiertelny król powrócił, aby objąć swe jasne panowanie nad wiekami. Nie bez racji – właśnie 25 grudnia 1910 roku – cztery miesiące przed śmiercią – Stanisław Brzozowski pisał w *Pamiętniku*: „Bóg wszechobecny, każdy fakt życia najbardziej przelotny określa życie, jest nim raz na zawsze, więc jest utrwalony w tym, co w zestawieniu z jednostką, z chwilą, jest trwaniem, pewnym sensem trwania i nie tylko czasem, ale źródłem samego czasu i samą potęgą życia ludzkiego, więc żyjąc musimy mieć tę prawdę przed oczyma".

Alfred Wierusz-Kowalski (1849–1915), *Sanna*, 1890–1900, olej na płótnie, Agraart

W wieczór wigilijny, w kręgu światła, w pobliżu choinki, podczas śpiewania kolęd, przy stole, blask triumfował, lęk pryskał. Ciemność czaiła się wprawdzie za oknem, ale zła moc truchlała i demonia zimy i nocy była mniej dojmująca, mniej straszna. Działy się wprawdzie różne niepokojące sprawy, blask ciemniał, nieskończoność obnażała swe granice – ale wszystko zaczynało iść ku dobremu: oto przecież wstała już pierwsza gwiazda.

Nie wiedziałem wtedy, w najdalszym dzieciństwie, że Boże Narodzenie kładzie swój blask na ciemnej i złowieszczej tkance, jaką żywiła się stara przedchrześcijańska wiara Europy. Na przekonaniu, że czas od 25 grudnia do 6 stycznia to tak zwane straszne dni, w głębi których noc, upiorność, szataństwo i zima potęgują swe siły do szaleństwa i próbują ostatecznie zmierzyć się ze światłem i dobrem. W końcu było się tu na granicy przemiany, na granicy czasów – we władzy zimowego przesilenia, kiedy ciemność osiągała zarazem szczyt i kres panowania nad człowiekiem i naturą i kiedy, jak chcieli starożytni Rzymianie, *Sol Invictus*, Niezwyciężone Słońce mitraizmu i innych wschodnich kultów (oraz, od 274 roku, zachodniego kultu cesarskiego), z którym triumfujący chrystianizm utożsamił swojego Dobrego Zbawcę, zaczynało krok po kroku odzyskiwać władzę.

Działo się tak zarazem owego dnia jak w smętnej północnej baśni Hansa Christiana Andersena: gdy staje się cud przemienienia i miłość Gerdy topi lodowy oścień w sercu Kaja i wyrywa go z objęć Królowej Śniegu... Nie mogło się to przecież obyć bez zmagania z sobą oraz nieczułym światem, bez szaleństwa i bólu, bez przerażenia i straty, bez spotkania ze śmiercią (jak w *Dziadku do orzechów* Hoffmanna czy *Opowieści wigilijnej* Dickensa).

Czas od Bożego Narodzenia po Trzech Króli – owe „straszne dni" – cały został tu napiętnowany takimi dwoistościami, rozdarciami, napięciami. Zwłaszcza w swych momentach przełomowych, granicznych: u progu (wieczór wigilijny), w połowie (noc sylwestrowa), u kresu (wieczór Trzech Króli). Wtedy bowiem pracowały najmocniej tryby zmagań światła z ciemnością, zmagań wiary w Dobrego Króla z lękiem przed upiorami zimowej nocy. Wtedy też najsilniej odzywała się pradawna natura świętowania i święta, obrzędowa pamięć o pierwotnym mitycznym początku, o właściwym mu poczuciu nadmiaru i zamęcie, w którym chwieją się wszelakie normy i hierarchie wartości, role i znaczenia, w którym świat zwierzęcy i boski, ludzki i demoniczny mieszają się z sobą. W którym zacierają się granice między radością i smutkiem, światłem i mrokiem, światem tym a tamtym, między błazenadą a patosem, między nadzieją a trwogą, między pragnieniem odnowy a ochroną odwiecznych, utrwalonych walorów.

„Białe ściany polskiego domu" w mrocznych czasach mojego dzieciństwa – a wcześniej także – stawały się tu istotną przestrzenią niepokojącej gry dobra ze złem, przestrzenią najzupełniej podobną do tej, jaka odsłaniała się w innych ważnych kręgach północnoeuropejskiej kultury. Jaką znamy choćby z dzieł Szekspira, z Hoffmannowskiego *Dziadka do orzechów*, z obrazów holenderskich, flamandzkich, niemieckich mistrzów, ze średniowiecznego Święta Osła (Święta Głupców, Świę-

Alfred Wierusz-Kowalski (1849-1915), *Stado wilków*, olej na płótnie, Sotheby's

ta Błaznów), które polegało na bluźnierczych słowach, czynach i gestach, na odwróceniach i parodiach, które dzisiaj nas szokują. Szło tu – podobnie jak na rzymskich Saturnaliach i greckich Kroniach, jak w Mundusie, Bachanaliach i karnawale – o obrzędową walkę z ciemnością i czającym się w jej wnętrzu złem. Z demonią i mrokiem, które wprawdzie – poczynając od 25 grudnia – zaczynają ustępować przed powracającym Zwycięskim Słońcem i jego blaskiem, ale też potęgują swe moce do kosmicznego dwunastodniowego boju, jakiego kresem w chrześcijańskiej tradycji stała się właśnie Epifania – pamiątka ukazania Jezusa trzem orientalnym Magom i, zarazem, światu. Odwrócenia, szyderstwa, błazenady i niewybredny śmiech – podobnie jak znany również w średniowieczu „śmiech wielkanocny" duchownych – miały więc odpędzić siły zła.

Współczesnemu zapomnieniu o Święcie Osła towarzyszą i inne zapomnienia, które łączą się z wieloma swojskimi praktykami świątecznymi i, dalej, karnawałowymi. Naiwnie, jeśli już, tłumaczy się zatem, odsyłając gdzieś w obszar nieokreślonej dziecinnej bajki, przekonanie, ciągle w Polsce obecne, że w Noc Wigilijną zwierzęta domowe „mówią" (oczywiście, po zjedzeniu opłatka). Nie bardzo wiadomy jest sens choinki, o której powiada się skwapliwie, zbyt skwapliwie, że upowszechniła się u nas dopiero w XIX i XX wieku, przybywszy „z Niemiec", i że symbolizuje Drzewo Życia. Niejasny jest też zwyczaj ustawiania pustego nakrycia na stole – jakoby „dla tych, którzy są w drodze". W świadomości powszechnej ogólnikowo – bliżej nieokreślonymi „prasłowiańskimi obyczajami" – wyjaśnia się wreszcie zwyczaj kolędowania czy „chodzenia z turoniem", a także kończące czas zimowy zwyczaje „topienia Marzanny" albo „palenia Judasza". Mętne są też tłumaczenia świątecznego obżarstwa i opilstwa, które odwołują się już to do jakiegoś mitycznego „polskiego charakteru", już to do prostackiej ekonomii, wedle której objadanie się i pijaństwo mają być swoistą „pamiątką" i po komunistycznej „gospodarce niedoboru", i po chłopskim jeszcze doświadczeniu jesiennej biedy, utrwalonym rzekomo w zbiorowej podświadomości milionów (a niby to dlaczego, skoro na jesieni są zbiory, więc nie może być mowy o głodowaniu?). A wreszcie pojawia się i wyjaśnienie „chrześcijańskie" – że to jakoby reakcja na adwentowy post.

„Boże Narodzenie też nie zawsze jest tym, czym się wydaje – napisała kiedyś w internetowym „magazynie ESENSJA" Olga Stefańska. – Dla Słowian był to czas, kiedy duchy powracały na ziemię. To dla duchów urządzali ucztę i pozostawiali przy stole puste miejsca. Najdłuższa noc w roku pozwalała istotom ciemności przebywać wśród nas dłużej. Kiedy zasłona oddzielająca światy staje się cienka, nastaje czas wróżenia. Czytanie przyszłości ze źdźbeł słomy to najtrwalsza pozostałość pogańskich obrzędów. Tradycyjne potrawy wigilijne niosą pewien ładunek grozy, dla nas już nieczytelnej. Po grzyby trzeba wybrać się do lasu, gdzie nie tylko o wilka, ale i gorsze licho nietrudno. Ryby trzeba złowić, zamiast bezpiecznie wyhodować, a mak jest halucynogenem. W Boże Narodzenie życie zmaga się ze śmiercią. Moment jest ogólnie niesprzyjający: zimno, ciemno. Ale zaczyna świtać nadzieja".

Tak: nadzieja – wszystko jedno już, czy w chrześcijańskim czy w tanim, komercyjnym opakowaniu – stała się tu źródłem zapomnienia. To ona więc zatarła ślady śmierci, która wdziera się zewsząd, chcemy tego czy nie, także i w uroki dzisiejszego świętowania przy domowym stole. Bo na przykład o tych pustych naczyniach w XVII jeszcze stuleciu mawiano, że są one dla tych, którzy znajdują się „w podróży". To lęko-

Józef Chełmoński (1849-1914), *Krzyż w zadymce*, 1907, olej na płótnie, Warszawa, Muzeum Narodowe

Nadzieja – wszystko jedno już, czy w chrześcijańskim czy w tanim, komercyjnym opakowaniu – stała się źródłem zapomnienia. To ona więc zatarła ślady śmierci, która wdziera się zewsząd, chcemy tego czy nie, także i w uroki dzisiejszego świętowania przy domowym stole.

wy eufemizm staropolskiej kultury – tej samej, która ubierała damy na sarmackich portretach trumiennych w ciepłe, futrzane czapy, bo w daleką, wśród zimnicy, wybierały się drogę. A choinka – to „drzewko z Niemiec", drzewko ponoć chrześcijańskiego chowu? I stawiane ponoć dlatego, że iskrząca się śniegiem choinka zachwyciła samego Marcina Lutra? Chyba było jednak trochę inaczej. „Boże Narodzenie świętowali po swojemu Celtowie i Germanie. Święto nosiło nazwę Yule, tłumaczoną między innymi jako »koło«, »koło roku«. Do tradycji pogańskich należą dekoracje z iglastych gałęzi oraz palenie ognia w celu oznajmienia – a może wspomożenia – powrotu światła. Namiastką ogniska jest palenie świątecznego polana, celebrowane do dziś" – przypomina Stefańska. I cytuje *The Festival* H.P. Lovecrafta: „Był to rytuał Yule, starszy niż człowiek i mający go przeżyć; pierwotny rytuał przesilenia i obietnica wiosny spoza śniegów; rytuał ognia i iglastych roślin, światła i muzyki". A ściślej – obrzędowy zwyczaj umieszczania w domach „świętych gałęzi" drzew iglastych, które, jak wierzono, skutecznie miały odstraszać krążące wokół duchy zmarłych i demony.

Czas święta bowiem to czas przywoływania mitycznego, pierwotnego chaosu. To *illo tempore*, „ów czas", to wieczne „teraz" betlejemskiej stajenki, do którego tak często odwołują się polskie kolędy, mimo że najbardziej z nich popularne ukształtowały się ostatecznie późno, między schyłkiem XVIII a początkiem XX wieku (zwłaszcza za sprawą śpiewników Michała Marcina Mioduszewskiego oraz Jana Siedleckiego, księży misjonarzy z Krakowa). To wejrzenie w zasłonięte na co dzień głębie epoki bogów, bohaterów i ludzi, we wnętrzu której nic nie było jeszcze gotowe i wszystko mieszało się ze wszystkim. W której rzeczy działy się na opak, w odwróconym porządku – drzewa rosły korzeniami ku górze, ludzie żyli od śmierci ku narodzinom, zwierzęta (tak jak u nas w noc wigilijną) mówiły ludzkim głosem. W której nie istniały żadne hierarchie i normy, przedziały i podziały, w której nie było granic między światem boskim, ludzkim i zwierzęcym, a rozmaite istoty brały na siebie coraz to inne kształty. W którym wreszcie nie było granicy między tym a tamtym światem i umarli krążyli swobodnie wśród żywych.

Nad tym wszystkim jednakże rozciągnęła się dzisiaj w myśleniu potocznym, mocno wspomaganym przez kulturę masową i przesłodzoną, naiwną wizję chrześcijaństwa, zasłona zapomnień. Zapomnienia te i towarzyszące im sposoby „wyjaśnień" świadczą, jak myślę, nie tyle i nie tylko o schrystianizowaniu starych archaicznych obyczajów i obrzędów, ile o głębokim zeświecczeniu kultury rzekomo religijnej, o zagubieniu rzeczywistej natury święta, jego niebywałych paradoksów i paroksyzmów.

A święto, jak przypomina Roger Caillois, jest „paroksyzmem żywotności", „oczyszczającym i zarazem odnawiającym społeczeństwo". Jest żywiołową odpowiedzią człowieka na powszedni, zwyczajny czas z jego rytmem i ładem, z jego przymusem pracy i regularnością, z nakazami i wzorcami, z hierarchicznym porządkiem i nieubłaganym obowiązywaniem powszechnie przyjętych norm. Ale jest też odpowiedzią na czas w ogóle, który ludzi i kultury – na podobieństwo przyrody – wyczerpuje i ogałaca z sił, wiodąc ku zużyciu się i zniszczeniu, ku zmęczeniu i rozpadowi, ku starzeniu się i śmierci. Jednak, skoro co roku natura odradza się na nowo i wkracza w nowy cykl życia, podobnie musi dziać się ze społeczeństwem. I ono również, doznając odnowy, potrzebuje „oczyszczenia z zatrutych odpadów" – materialnych i moralnych, z nieczystości, grzechów i zmaz. Trzeba więc „przepędzić zło, słabość i zużycie" – poprzez wiarę, nadzieję, a choćby i archaiczną magię.

Zbigniew Mikołejko – filozof i historyk religii, eseista, profesor i kierownik Zakładu Badań nad Religią w Instytucie Filozofiii i Socjologii PAN. Ostatnie książki: *Żywoty świętych poprawione ponownie* (2017), *Gorzkie żale* (2017), *Między zbawieniem a Smoleńskiem* (2018).

W Święta Bożego Narodzenia A.D. 2020
Czytelnikom i ich bliskim jednego:
— zdrowia.
Ale i całej Polsce, schorowanej dziś pod
każdym względem, zdrowie też potrzebne
— tego zatem wszystkim życzymy

redakcja miesięcznika „Kwiecień"

grudzień 2020

TEMAT MIESIĄCA: BOŻE NARODZENIE: MIĘDZY MAGIĄ, NADZIEJĄ I TRWOGĄ

Zbigniew Mikołejko s. 1

Kojarzona ze świętami Nadzieja – wszystko jedno już, czy w chrześcijańskim czy w tanim, komercyjnym opakowaniu – stała się źródłem zapomnienia. To ona więc zatarła ślady śmierci, która wdziera się zewsząd, chcemy tego czy nie, także i w uroki dzisiejszego świętowania przy domowym stole.

ŚWIĘTA PO KRAKOWSKU

Krakowski grudzień 1970
Krzysztof Jakubowski s. 14
Rynek, las choinek i ekspresi. 1905
Krzysztof Jakubowski s. 31
Motoryzacja w służbie tradycji. 1932
Krzysztof Jakubowski s. 59
W pełni lata. 1961
Krzysztof Jakubowski s. 76

KRAKÓW MÓWI

Naprawdę gwiazdorzę
Radosław Krzyżowski/Ewa Kozakiewiczowa s. 16
Więcej groteski jest, owszem
Marcin Świetlicki/Witold Bereś i Krzysztof Burnetko s. 44

LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Każdy ma swój wehikuł czasu (Wojciech Strojny) Majka Lisińska-Kozioł s. 22
Kaśki, Maryśki, Hanki..., czyli panny do obowiązku Magda Huzarska-Szumiec s. 33
Mniej narzekania, więcej działania!
Leszek Balcerowicz/Ewa Lipska s. 38
Nowa Huta – raj, w który uwierzyły tłumy
Leszek Konarski/Katarzyna Domagała s. 54
Miasta czasów pandemii: online s. 60
Jak dają nagrody, trzeba zacząć uważać
Grzegorz Kozakiewicz/Magda Huzarska-Szumiec s. 86
Kronika kulturalna s. 89
Krakowski łącznik s. 90
Kraków (Główny) s. 91
Linia A–B s. 92

REKOMENDACJE

Rozmowy istotne przy żurku i pomidorowej Magda Huzarska-Szumiec s. 37
Wrzask Trzaski Krzysztof Burnetko s. 53
„I na sam koniec horroru/miejmy nadzieję obudzimy się..." Krzysztof Burnetko s. 63

OBYWATELE KRAKOWA

Spłacać społeczny dług (Agata Kowalska i Wojciech Chabasiewicz)
Magdalena Oberc s. 12

PORTRETY

Portrety 2020 (grudzień) s. 27

HISTORIA

Kalendarium krakowskie: grudzień 1920 roku Krzysztof Jakubowski s. 64
Przysiadalni
Mikołaj Trzaska/Tomasz Gregorczyk i Janusz Jabłoński s. 72

PROZA

Kinga Strzelecka-Pilch Metr dwadzieścia s. 28

TEATR

Gęste życie Marii Jaremy Paweł Głowacki s. 68

FILM

Boże Narodzenie w polskim kinie
Łukasz Maciejewski s. 78

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka s. 84
Moja krakowska książka miesiąca
Janusz M. Paluch s. 88

GALERIA „KRAKOWA"

Marek Braun Magda Huzarska-Szumiec s. 50

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIETLE Ewa Lipska s. 9
OKIEM BERESIA Witold Bereś s. 10
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko s. 11
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma s. 81
POZA KRAKOWEM
Magdalena Miśka-Jackowska s. 82
BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz s. 83
LUBIĘ LUBIĆ Agnieszka Kosińska s. 96

OKŁADKA

Fot. Przemek Czaja

Święta

Tekst: Ewa Lipska

„Święta dlatego w takiej u nas cenie / Że są nieliczne w różnych dni bezliku…” – pisał W. Szekspir. Życzę Państwu, aby pod choinką znalazła się paczuszka z nadzieją.

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Rys. Piotr Błachut

Trzynasty miesiąc: smutek

Tekst: Witold Bereś

Kiedyś to były święta... Śnieg skrzypiący pod butami. Mróz na polu, a przytulny ogień w domu. Choinki pachnące. Karp zabity z rana pałką, którą potem tarto mak. A tamten mak smakował zupełnie inaczej, bo z opiatami, więc dzieciaki po rozpakowaniu prezentów i nacieszywszy się nimi, nafutrowane ciastem szybko zasypiały pod grubą pierzyną.

Takich świąt już nie będzie.

I nie tylko dlatego, że tradycyjny mak został wycofany z obrotu. Ani dlatego, że tłuczenie ryb jawi się nam jako barbarzyństwo. Ani nawet nie dlatego, że przyszło ocieplenie klimatyczne, a w piecach nie wolno palić.

Nie. To inne święta idą, bo inny czas nastał. Czas smutku.

Nie wiadomo, jak długo wytrzyma państwo polskie. Lecz każdy, kto uczciwie staje przed lustrem, nieważne, liberał, socjalista czy fundamentalista, zgodzi się: data ważności Rzeczypospolitej dramatycznie zbliża się do końca.

Zwykle grudzień to był czas najszczęśliwszy, choć bywał i biedny. Ba – tragiczny. Należy do tych najbardziej ponurych miesięcy polskich – grudzień 1970 i 1981 na trwale wpisały się w losy polskich cierpień.

Nigdy, przenigdy nie pomyślałbym jednak, że do mitologii tragicznych polskich miesięcy dopiszemy grudzień w wolnym kraju.

Gdy piszę te słowa, nie wiadomo, jak długo wytrzyma państwo polskie. Każdy, kto uczciwie staje przed lustrem, nieważne, liberał, socjalista czy fundamentalista, zgodzi się: data ważności Rzeczypospolitej dramatycznie zbliża się do końca.

Najpierw była cyniczna władza, która nie bacząc na ludzkie zdrowie i życie, gotowa była poświęcić społeczny pokój, aby tylko zachować swoje stołki i przewagi.

Potem mętnawa opozycja, która modli się o Dzień Świstaka, zamiast się obudzić!

Następnie wielki społeczny bunt kobiet krzywdzonych, obrażanych i poniżanych.

Później polscy faszyści, wcześniej hodowani przez władzę, a dziś jawnie obnoszący się brutalnością na ulicach i odrzucający nie tylko prawo i sprawiedliwość, ale również prawa człowieka i obywatela.

Wreszcie przegniły Kościół katolicki. Nawet dla tych, którzy od tegoż Kościoła wiele nie oczekują, bo nie mają daru wiary, ale pamiętają doskonale zasługi Jana Pawła II w obaleniu komunizmu, nowa narracja opisująca to, co jeszcze niedawno działo się za drzwiami Watykanu i polskich kurii, jest szokująca.

Czy w tym kontekście można się dziwić, że w Polsce Kościół hierarchiczny, uwiedziony zapachem złota i władzy, zostawił wszystkich cierpiących?

A w tle tego wszystkiego Zaraza.

Z każdym dniem jej ofiar jest coraz więcej i więcej. Tymczasem sednem zarazy jest nie wirus, ale niewydolność państwa ulepionego z *papier mâché*, masy powstałej z rozmiękczonego w wodzie papieru z dodatkiem kleju, gipsu oraz barwników i konserwantów. To właśnie owe państwo – chcąc, nie chcąc – zabija obywateli swoją niewydolnością w walce z czułkami wirusa przypominającego głowę w koronie. Oto szpital, czyli miejsce, od którego oczekuje się ratunku, stał się miejscem przeklętym. A koronawirus – bez bagatelizowania go! – stał się li tylko czynnikiem odsłaniającym niekompetencje zarządzania. Szybko się okazało, że jeżeli obywatele pomrą, to z innego powodu. Albo może nawet i ktoś umrze na koronawirusa, lecz dlatego, że szpitalnictwu nie zapewniono dostaw maseczek, nie mówiąc o tlenie.

I niewielką pociechą jest to, że większość państw cywilizacji Zachodu też okazała się ulepiona z zeschłego papieru. To raczej dowód, że świat w całości przeżarł się dobrobytem i – pławiąc się od ponad trzech ćwierci wieku w globalnym pokoju oraz gnuśności – doszedł do granicy, za którą jest już tylko marzenie o wywołaniu kryzysu, który podniesie adrenalinę życia, choćby i przyniósł równocześnie kres cywilizacji.

A w tle stoi zawsze potężna, coraz potężniejsza Sieć, która zmienia gusta jej użytkowników, wywraca rządy i buduje fałszywe, alternatywne światy.

Jak zatem usiąść do wigilii? Jak się połamać opłatkiem, choć z tak wieloma bliskimi nie będziemy mogli się zobaczyć, czy to z racji pandemicznych kwarantanny czy z racji tego, że – niestety – pandemia już ich zabrała.

O odpowiedź bardzo trudno.

Gorzej, jeśli za chwilę nie będzie można zadawać pytań.

Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Kot

Tekst: Krzysztof Burnetko

Był błyskotliwym erudytą. Człowiekiem utalentowanym. Ambasadorem wolnej Polski na salonach Europy. A wreszcie: mężczyzną dystyngowanym i pięknym.

Wszyscy bodaj, którzy się z nim zetknęli, byli pod wrażeniem. Nie tylko inteligencji i nienagannych, arystokratycznych niemal manier, ale też czaru (niektórzy mówili nawet o magii). Choć sam lubił mówić, umiał też uważnie słuchać rozmówców. Dlatego, choć słynął też ze swojego skrajnego sceptycyzmu i ironii, czasem złośliwej, to spotkania z nim były w cenie.

Agnieszka Holland, która poznała Konstantego Jeleńskiego – jako że o nim mowa – robiąc w Paryżu film dokumentalny o paryskiej „Kulturze" opowiada, że wtedy „po raz pierwszy spotkała człowieka naprawdę wolnego".

Wolność ta wynikała zapewne, po części przynajmniej, z poczucia własnej wartości. Bo choć funkcjonował na światowych, bez żadnej przesady, salonach, to miał ku temu podstawy. Ot, choćby dzieciństwo (urodził się w 1922 roku) i wychowanie w rodzinie cenionego dyplomaty II RP (ojciec jeszcze przed 1918 rokiem współpracował z Ignacym Paderewskim w Komitecie Narodowym, a potem pracował w placówkach w Rzymie, Bukareszcie, Wiedniu, Królewcu i Monachium). Swoje robiło też klasyczne przedwojenne wykształcenie (warszawskie gimnazjum Batorego, potem szkoła dominikanów w Lozannie, wreszcie matura w 1939 roku w wielkopolskiej Rydzynie) i studia – już w czasie wojny – na Oxfordzie i najstarszym uniwersytecie Szkocji St Andrews. Znajomość języków: jego językiem domowym był najpierw francuski, a potem włoski, od dzieciństwa rozumiał też niemiecki, po angielsku regularnie publikował, czytał nadto po hiszpańsku i flamandzku. Choć powtarzał równocześnie, że mimo wieloletniego oddalenia od Polski, to polszczyzna jest dlań językiem przeżywania, najpełniejszej lektury – i wreszcie tworzenia. „Uważam się za pisarza (krytyka?, eseistę?) polskiego" – zapewniał.

W wypracowaniu przez Jeleńskiego ważnej pozycji na Zachodzie znaczenie miało właśnie jego podejście do Polski – odbiegające od prezentowanego przez większość środowisk powojennej emigracji. Daleki był bowiem od częstej na wychodźstwie „choroby na Polskę" (choć papiery politycznego uchodźcy zachował do końca życia), ale też traktował Europę jak swoje naturalne środowisko, a nie wyśniony mityczny raj. Zauważał przy tym, że nie przez przypadek przymiotnik „nieeuropejski" oznacza w Polsce barbarzyński i niecywilizowany. Ponadto polska kultura przez dekady rozwijała się przecież właśnie na emigracji – czyli na Zachodzie.

Pewnie właśnie dlatego, za jedną ze swoich życiowych misji uznał reprezentowanie polskiej (czy szerzej: środkowoeuropejskiej) kultury w świecie. Temu służyło przecież prowadzenie miesięcznika „Preuves" oraz aktywność w Kongresie Wolności Kultury, czyli powstałej w 1950 roku inicjatywie wybitnych zachodnich intelektualistów (wśród nich Arthura Koestlera i Jamesa Burnhama), która miała między innymi wspierać wolną myśl w krajach bloku komunistycznego. Podobny cel miało pozyskiwanie, dzięki zbudowanym relacjom, pomocy dla „Kultury" i Instytutu Literackiego Jerzego Giedroycia oraz dla związanych z nim pisarzy – w tym Czesława Miłosza, Aleksandra Wata i, zwłaszcza, Witolda Gombrowicza (jego *Ferdydurke* zainteresował prestiżową we Francji oficynę Julliard, a potem stosownie nagłośnił również w Niemczech i we Włoszech). Gombrowicz napisał potem: „Wszystkie wydania moich dzieł w obcych językach powinny być opatrzone pieczątką »dzięki Jeleńskiemu«". Pomagał też zresztą pisarzom w kraju.

> Niewola była dla Kota złem głównie dlatego, że skazywała poddanych jej bądź ją akceptujących na duchowe ubóstwo.

Także swój eseistyczny talent wykorzystywał do propagowania w świecie wschodnioeuropejskich twórców (prócz pisarzy, także malarzy – choćby Józefa Czapskiego i Jana Lebensteina). A także, choć rzadziej, o co Giedroyć miał do niego często pretensje, politycznych problemów regionu. Owa wstrzemięźliwość Jeleńskiego wynikała jednak z jego podejścia do rzeczywistości: na wartości polityczne patrzył nie tyle z perspektywy Historii, państwa czy nawet zaangażowanego obywatela, ale każdej jednostki. Wolność i demokrację traktował jako ważne przede wszystkim dlatego, że miały służyć każdemu człowiekowi – kształtować jego kondycję moralną i „piękną duszę". Niewola była dlań złem głównie dlatego, że skazywała poddanych jej bądź ją akceptujących na duchowe ubóstwo.

Godne to namysłu i dziś.

PS Zasłużenie wielowątkowy portret Konstantego Jeleńskiego (nazywanego „Kotem") sporządziła ostatnio Anna Arno – opierając się, między innymi, na pasjonujących często wspomnieniach wielu jego znajomych (Anna Arno, *Kot. Opowieść o Konstantym Jeleńskim*, Iskry, Warszawa 2020).

Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego", później tygodnika „Polityka" (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Spłacać społeczny dług

Tekst: Magdalena Oberc **Zdjęcie:** Jan Zych

Biznes, giełda, rynek kapitałowy – czy to może kojarzyć się z empatią i działalnością prospołeczną? Radcy Prawni Agata Kowalska i Wojciech Chabasiewicz z kancelarii CK Legal udowadniają, że może.

Ona – energiczna, przebojowa blondynka, on – introwertyczny przedstawiciel pokolenia yuppies, jak sam o sobie żartobliwie mówi. Od lat zajmują się obsługą prawną firm, doradztwem kapitałowym, fuzjami i wprowadzaniem spółek na giełdę. – To ogromna satysfakcja, kiedy mała firma na naszych oczach przeistacza się w wielkie przedsiębiorstwo zatrudniające setki ludzi z całej Polski i z zagranicy – przyznaje Wojciech Chabasiewicz. Agata Kowalska specjalizuje się w fuzjach i przejęciach firm głównie z branży nowych technologii. – Najbardziej w tej pracy lubię to, że mogę poznawać niezwykłych ludzi, wizjonerów, którzy mają swój cel, a ja pomagam im pozyskać fundusze na realizację ich pomysłów – opowiada. – Nie widzę siebie na sali sądowej w jakimś procesie o spory sąsiedzkie, to zupełnie nie dla mnie. Lubię rozmawiać z ludźmi, pomagać im w dochodzeniu do kompromisu, wynegocjować umowę, która dla każdej ze stron jest satysfakcjonująca.

Różnią się temperamentem i często dochodzi między nimi do gorących dyskusji, ale zgodnie przyznają, że sport jest wspaniałą odskocznią od stresu. Agata przygotowuje się do triathlonu, a Wojciech pływa, nurkuje i uprawia jogę.

Chociaż wypracowali sobie markę, mają szeroką sieć kontaktów biznesowych i działają na terenie całego kraju, nie planują zmiany lokalizacji siedziby. Kraków jest ich miastem i widzą w nim ogromny potencjał. – Kraków ma świetną bazę uniwersytecką i pod tym względem jest dobrym miejscem dla biznesu, bo daje łatwy dostęp do wykwalifikowanych pracowników z branży IT czy biotechnologii – zauważa Chabasiewicz.

Co ciekawe, ludzie zajmujący się pomnażaniem kapitału wierzą w opierającą się na współdziałaniu i partnerstwie koncepcję „ekonomii wartości" prof. Jerzego Hausnera. Zauważają nierówności społeczne, alienację wielu rodzin i zręcznie wykorzystują swoje kontakty oraz doświadczenie zawodowe, by temu przeciwdziałać.

A wszystko zaczęło się osiem lat temu, kiedy ich kancelaria zajęła się *pro bono* dokumentami statutowymi powstającego wówczas Stowarzyszenia „Piękne Anioły". – Kasia Konewecka-Hołój, moja szkolna koleżanka i pomysłodawczyni akcji „Słoneczne pokoje", zabrała mnie kiedyś do domu takiej ubogiej rodziny. Nie mogłam uwierzyć, że w XXI wieku, nieopodal Krakowa, można żyć w tak strasznych warunkach – opowiada prawniczka. – Uświadomiłam sobie, że te dzieci, które nie mają nawet własnego kąta do nauki, mają koszmarnie trudny start. To są mądre, ambitne dzieciaki, ale one dla swojego otoczenia są niewidzialne i dorastają w poczuciu bezradności oraz wykluczenia. Sama miałam w życiu wiele szczęścia: wychowałam się w Krakowie, odebrałam dobre wykształcenie, mam satysfakcjonującą pracę – pora zacząć spłacać ten społeczny dług.

Dziś Agata Kowalska jest wiceprezesem Stowarzyszenia „Piękne Anioły", angażuje się w projekty edukacyjne dla dzieci z ubogich rodzin, a kancelaria udziela porad prawnych podopiecznym stowarzyszenia. Kowalska wspiera również Uniwersytecki Szpital Dziecięcy w Krakowie, biorąc udział w akcji „Prawnicy Dzieciom". Za swoją działalność *pro bono* otrzymała w 2018 roku statuetkę „Kryształowego serca radcy prawnego".

Magdalena Oberc – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owiec, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.

Krakowski grudzień 1970

Tekst: Krzysztof Jakubowski **Zdjęcia** z archiwum autora

Wbrew obiegowej opinii o pasywnej postawie studentów w reakcji na strajki Grudnia '70 na Wybrzeżu, krakowskie środowisko akademickie stanęło na wysokości zadania. To właśnie Kraków był jednym z kilku miast, gdzie tamtejsze tragiczne wypadki znalazły spory odzew.

Schyłek lat 60. ubiegłego wieku przyniósł pogorszenie sytuacji gospodarczej. Narastała społeczna frustracja. Czarę goryczy przepełniła podwyżka cen artykułów spożywczych, przeprowadzona w momencie najgorszym z możliwych – tuż przed świętami Bożego Narodzenia 1970 roku. Podwyżka spowodowała gwałtowne protesty robotnicze w kilku miastach Wybrzeża, krwawo spacyfikowane przez wojsko i milicję.

Poza wybrzeżem Kraków był jednym z kilku miast, gdzie tamtejsze tragiczne wypadki znalazły spory odzew. To właśnie tu odbyły się największe kilkudniowe protesty. Już 16 grudnia 1970 roku w akademikach pojawiły się plakaty wzywające do udziału w wiecu solidarnościowym. Wieczorem, około godziny 18, licząca około stu osób grupa młodzieży skandowała w rejonie Rynku: „Niech żyje Gdańsk", „Pomścimy Gdańsk", „Przyłączcie się do nas". Wiecujących rozproszyła dość szybko interwencja ZOMO.

Następnego dnia zebrał się na Rynku Głównym tłum liczący już od tysiąca do 3 tysięcy osób (dane nie są precyzyjne). W huku petard domowej roboty wznoszono antypartyjne okrzyki, odśpiewano też *Międzynarodówkę*. Wokół Rynku i okolicznych ulic wstrzymano ruch kołowy i pieszy, po czym demonstrację rozbiły duże siły ZOMO i wojska. Istotną rolę odegrał też operujący „po cywilnemu" i wyposażony w pałki tak zwany aktyw robotniczy, skupiony głównie w Ochotniczej Rezerwie Milicji Obywatelskiej (ORMO). Zatrzymano 102 osoby.

Podczas ulicznych zajść w Krakowie między 16 a 21 grudnia milicja zatrzymała 437 osób, w tym 38 kobiet. Większość zatrzymanych stanowili robotnicy.

W roku 1970 krakowski Rynek był senny i pustawy, widokówka 1970, archiwum autora

Swego rodzaju *novum* stanowiły plakaty i ulotki – wykonane ręcznie bądź na maszynie do pisania – z wezwaniem do strajków i demonstracji, kolportowane przede wszystkim w Nowej Hucie, największym środowisku robotniczym Krakowa. Jednak to nie kombinat, ale załoga Krakowskich Zakładów Armatur przy ul. Zakopiańskiej 72 okazała się najpoważniejszym problemem dla lokalnych władz. Tamtejsi robotnicy zgłosili najwięcej postulatów, żądając między innymi rekompensat płacowych za podwyżki.

W piątek 18 grudnia, w komunikacie, jaki ukazał się w prasie, Prezydium Rady Narodowej apelowało „o spokój, ład i porządek". Podjęto też różne środki zaradcze, między innymi od godz. 17 wstrzymano ruch tramwajowy i komunikację, a przy wielu głównych ulicach ustawiono motocyklowe patrole milicji. Ponadto, aby pozbyć się z miasta studentów, ogłoszono wcześniejsze o dwa dni ferie i – na wszelki wypadek – odcięto w akademikach prąd oraz ogrzewanie. Mimo zablokowania centrum przez siły porządkowe nie udało się udaremnić kolejnej manifestacji, którą rozpraszało znów ZOMO wspomagane przez ORMO.

Protesty odbyły się, choć już na mniejszą skalę, w sobotę 19 grudnia. Ciekawe, że w tej napiętej sytuacji życie toczyło się – poza

wstrzymaniem komunikacji – w miarę normalnie. Otwarte były sklepy, teatry i kina.

Prasa miała zakaz informowania o wszelkich zajściach. W lakonicznej notatce za tragiczne wypadki na Wybrzeżu obwiniono „awanturnicze elementy chuligańskie niemające nic wspólnego z klasa robotniczą". Krakowskie manifestacje podsumowano zdawkowym komunikatem z dydaktyczną konkluzją piętnującą udział młodzieży.

cą partii komunistycznej, a więc i państwa został Edward Gierek. Niebawem do zmian w partii komunistycznej doszło także w terenie. W Krakowie w lutym 1971 roku niepopularnego, ciasnogłowego Czesława Domagałę na stanowisku I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR zastąpił Józef Klasa – młodszy o pokolenie, wszechstronnie wykształcony dyplomata, były ambasador na Kubie.

Uchwała Rady Ministrów w sprawie zapewnienia bezpieczeństwa i porządku publicznego

W związku z poważnymi naruszeniami porządku publicznego, które w ostatnich dniach miały miejsce na terenie Gdańska i Wybrzeża, a w szczególności w związku z grabieżą mienia państwowego, społecznego i mienia obywateli, podpalaniem i niszczeniem gmachów oraz urządzeń publicznych, jak również z wypadkami rabójstw i ciężkich uszkodzeń ciała — Rada Ministrów na podstawie art. 32 pkt. 7 Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej postanawia co następuje:

PAR. 1.

Zobowiązuje się organy ścigania i porządku publicznego oraz inne współdziałające z nimi organy w ochronie porządku i bezpieczeństwa publicznego do bezzwłocznego podjęcia odpowiednich środków zmierzających do przywrócenia naruszonego porządku i ładu publicznego oraz zapobieżenia próbom jego zakłócenia.

PAR. 2.

Zobowiązuje się organy Milicji Obywatelskiej, Służby Bezpieczeństwa i inne współdziałające z nimi organy do podjęcia wszystkich prawnie dostępnych środków przymusu włącznie do użycia broni przeciwko osobom dopuszczającym się gwałtownych zamachów na życie i zdrowie obywateli, grabieży i niszczenia mienia oraz urządzeń publicznych.

PAR. 3.

Zobowiązuje się wszystkie organy państwowe do udzielenia organom ścigania wszelkiej pomocy niezbędnej do wykonania ich zadań.

PAR. 4.

Wzywa się wszystkich obywateli do podporządkowania się zarządzeniom podejmowanym przez powołane organy państwowe w celu zapewnienia porządku publicznego.

PREZES RADY MINISTRÓW

Komunikat ogólnopolski zamieszczony na pierwszych stronach wszystkich dzienników 18.12.1970, archiwum „Dziennika Polskiego"

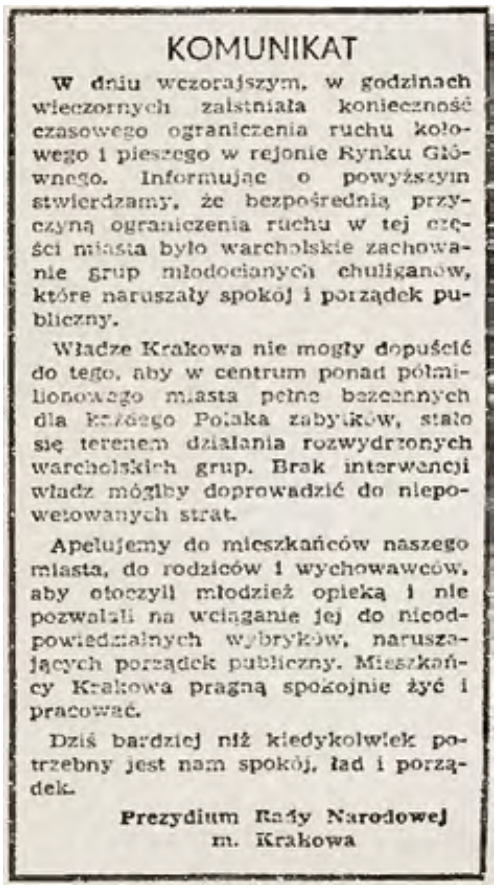

KOMUNIKAT

W dniu wczorajszym, w godzinach wieczornych zaistniała konieczność czasowego ograniczenia ruchu kołowego i pieszego w rejonie Rynku Głównego. Informując o powyższym stwierdzamy, że bezpośrednią przyczyną ograniczenia ruchu w tej części miasta było warcholskie zachowanie grup młodocianych chuliganów, które naruszały spokój i porządek publiczny.

Władze Krakowa nie mogły dopuścić do tego, aby w centrum ponad półmilionowego miasta pełne bezcennych dla każdego Polaka zabytków, stało się terenem działania rozwydrzonych warcholskich grup. Brak interwencji władz mógłby doprowadzić do niepowetowanych strat.

Apelujemy do mieszkańców naszego miasta, do rodziców i wychowawców, aby otoczyli młodzież opieką i nie pozwalali na wciąganie jej do nieodpowiedzialnych wybryków, naruszających porządek publiczny. Mieszkańcy Krakowa pragną spokojnie żyć i pracować.

Dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebny jest nam spokój, ład i porządek.

Prezydium Rady Narodowej m. Krakowa

Komunikat zamieszczony w lokalnej prasie 17.12.1970, archiwum „Dziennika Polskiego"

Podczas ulicznych zajść między 16 a 21 grudnia milicja zatrzymała 437 osób, w tym 38 kobiet. Dominowali wśród nich ludzie młodzi: 189 osób w wieku 17–20 lat, 126 osób w wieku 21–25 lat. W oficjalnym komunikacie podano, że w grupie zatrzymanych było 73 uczniów, 44 studentów i 53 osoby niepracujące. Ciekawe, że do tej ostatniej grupy zaliczono też znienawidzonych przez tamten system przedstawicieli tak zwanej prywatnej inicjatywy. Milczeniem pominięto, że większość z zatrzymanych stanowili robotnicy. Wobec 91 osób sporządzono wnioski o ukaranie do kolegiów do spraw wykroczeń, w kilku przypadkach wszczęto postępowanie przygotowawcze. W trybie przyspieszonym ukarano: 36 osób aresztem, 12 aresztem w zawieszeniu, 42 grzywną (w tym dwie z zamianą na areszt).

W niedzielę 20 grudnia media podały, że w miejsce Władysława Gomułki przywód-

W tamtą grudniową niedzielę niemal z godziny na godzinę diametralnie odmieniły się nastroje społeczne. Powiało optymizmem. Widać było to w domach, sklepach i na ulicy, już nie tylko z powodu nadchodzących świąt. W handlu pojawiły się pomarańcze, mandarynki i dawno niewidziane figi. Dopisała nawet aura. Przy lekkim mrozie majestatycznie opadały duże płatki śniegu. Niektórzy mieli nadzieję, że zaczyna się nowa epoka... Rychło okazało się, że były one w dużej mierze bezzasadne.

Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Naprawdę gwiazdorzę

Rozmawiała Ewa Kozakiewiczowa **Zdjęcia:** Grzegorz Kozakiewicz

Radosław Krzyżowski: Mój obecny światopogląd i podejście do życia kształtowały się w jakiejś mierze poprzez moje astronomiczne pasje i doświadczenia obserwacyjne. Są one zupełnie spoza porządku doświadczeń codziennych i w tym ich wyjątkowość.

Ewa Kozakiewiczowa: Pierwsza gwiazda na niebie symbolizuje Gwiazdę Betlejemską, zwiastującą narodziny Chrystusa, i jest sygnałem, że pora zasiadać do wigilijnego stołu. Patrzy pan w ten dzień na niebo? Pytam, bo wiem, że pasjonuje się pan astronomią. Co 24 grudnia dzieje się na nieboskłonie, na co właściwie patrzymy?

Raz albo dwa razy w życiu czekałem na pojawienie się pierwszej gwiazdy w wigilię, ale nigdy nie traktowałem tego jako czegoś wyjątkowego. Nigdy nie łączyłem tego z mitem, legendą, alegorią czy z faktem opisywanym przez jednego z ewangelistów. Nie myślałem o tym, że oto historia sprzed 2 tysięcy lat znajduje swoje zapętlenie. Jestem ateistą, pomimo to zawsze zasiadałem do wigilii i zasiadam nadal. Moja żona Dominika jest głęboko wierząca, wspólne życie nauczyło mnie szacunku i empatii dla jej wiary. W wigilię nie patrzę w gwiazdy, moja rodzina jest mocno rozproszona, więc kiedy mamy okazję, żeby zebrać się razem, staram się zajmować najbliższymi. Być może nie patrzę wtedy w niebo, bo robię to codziennie, kiedy idę wieczorem z psem na spacer. Zerkam na niebo i sprawdzam, czy gwiazdy są na swoim miejscu.

W wigilię pies też musi wyjść. Rozróżnia pan, która gwiazda świeci pierwsza?

Pierwsza zwykle świeci białoniebieska Wega w gwiazdozbiorze Lutni (Lyra), możemy też zobaczyć gwiazdę o lekko pomarańczowym świetle, to Kapella, najjaśniejsza gwiazda w gwiazdozbiorze Woźnicy. Te dwie gwiazdy zwykle są najlepiej widoczne i pełnią rolę pierwszej gwiazdki. Każdego roku o tej samej porze jest podobnie, wiemy, które gwiazdy kulminują zimą, a które latem. Zwiastunem nieba zimowego jest Orion, jego charakterystyczny pas widzimy nad horyzontem już jesienią, potem coraz wyżej i wyżej i kiedy jest wysoko nad horyzontem odsłania Syriusza w gwiazdozbiorze Wielkiego Psa. Syriusz, biały król nieba, razem z Betelgeusą i Procjonem w Małym Psie stanowią trójkąt zimowy. Wędrówka jest powtarzalna.

Dobrze, dzisiaj wiemy, co zobaczymy na nieboskłonie w ten szczególny dzień, ale co tak naprawdę widzieli Trzej Królowie? Czym była Gwiazda Betlejemska?

Astronomowie potrafią wyliczyć i zobrazować to, co działo się na niebie w przeszłości, nawet przed ponad 2 tysiącami lat, a lata 5, 6, 7 p.n.e., które przyjmowane są obecnie za przybliżoną datę narodzin Jezusa, obfitowały w niezwykłe wydarzenia astronomiczne. Związanych z nimi koncepcji jest wiele. Nie ma jednoznacznej odpowiedzi, do dziś nie udało się rozwikłać mitu Gwiazdy Betlejemskiej opisanej w Ewangelii św. Mateusza. Wiemy o trzykrotnej koniunkcji Jowisza i Saturna (7 rok p.n.e.), koniunkcji Saturna, Jowisza i Marsa (6 rok p. n. e), chińskie źródła donoszą o wybuchu supernowej w galaktyce Andromedy, są wzmianki o jasnym meteorycie lub bolidzie, być może o komecie,

---

Radosław Krzyżowski urodził się w 1972 w Kluczborku. Studiował w Krakowie – jest absolwentem Wydziału Aktorskiego PWST. Jeszcze jako student w 1993 roku zagrał epizodyczną rolę w *Liście Schindlera* Stevena Spielberga. Pierwsze kroki na deskach scenicznych stawiał w Teatrze im. Juliusza Słowackiego (1994–1998), grał w Narodowym Starym Teatrze (1998–2003), potem powrócił (2003–215) do Teatru im. Słowackiego, aby w sezonie 2015/2016 zamienić go znów na Stary. W 2018 został przewodniczącym Rady Artystycznej, kształtującej repertuar tej sceny. Od początku brał udział w przedsięwzięciach offowych i współpracował z Teatrem Mniejszym (między innymi występował w *Audiencji I* i *Audiencji VI* Bogusława Schaeffera), Stowarzyszeniem Teatralnym Łaźnia i Łaźnia Nowa. Za tytułową rolę w *Hamlecie* Szekspira (w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego) w Teatrze STU otrzymał w 2000 roku nagrodę Ludwika. Jest też laureatem nagrody krakowskiego środowiska teatralnego, stypendium twórczego miasta Krakowa i Nagrody Teatralnej im. Stanisława Wyspiańskiego.

Popularność przyniosły mu seriale telewizyjne w TVP2, szczególnie postać doktora Michała Sambora w *Na dobre i na złe* (2004–2015) czy Kamila Łagody-Starskiego w *M jak miłość* oraz role w filmach: *Duże zwierzę*, *Ekipa*, *Ja wam pokażę*, *Pitbull*, *Janosik*, *Prawo Agaty* i *Barwy szczęścia*.

Głównie gra w teatrze: Narodowym Starym i w Łaźni Nowej, obecnie w *Miłosnej wojnie stulecia* razem z Dominiką Bednarczyk (swoją żoną), aktorką Teatru im. J. Słowackiego. Mają córkę Kaję.

wszak większość ikonografii chrześcijańskiej pokazuje gwiazdę z warkoczem. Na pewno były to zjawiska, które potrafili zinterpretować ludzie mający pojęcie o astronomii bądź astrologii, mnie najsensowniejsza wydaje się koncepcja związana z horoskopem królewskim, który w tamtych czasach mógł być legitymacją dla potencjalnego pretendenta do tronu, jak również zapowiadać zmierzch obecnego władcy. Zjawiska astronomiczne

Trzej Królowie, prowadzeni przez jasną gwiazdę, pojawiającą się o wschodzie (raczej nie na wschodzie, jak podaje tłumaczenie polskie, magowie podróżowali ze wschodu, więc gwiazdę pojawiającą się na wschodzie mieliby za plecami, nie mogłaby ich prowadzić), nie tylko nieomylnie podążają za jej blaskiem, ale też potrafią jej pojawienie się zinterpretować jako zapowiedź narodzin króla.

z lat 5–6–7 p.n.e, takie jak koniunkcja Jowisza, Saturna i Marsa, zwłaszcza trzykrotne, pobudzały wyobraźnię. Ówcześni astrologowie przywiązywali do ich profetycznego znaczenia dużą wagę, być może ktoś przenikliwy podszepnął autorowi ewangelii trop, który wzmacniałby status królewski Jezusa, Żydzi oczekiwali przecież narodzin Mesjasza, króla, który wyzwoli lud Izraela. Z drugiej strony Herod zadaje magom pytanie: kiedy i gdzie pojawiła się gwiazda, którą widzieli? To mogłoby sugerować, że zjawisko, które poprowadziło mędrców, nie było czymś widzialnym dla wszystkich. To pytanie pojawia się w Ewangelii Mateusza, który zresztą jako jedyny spośród ewangelistów wzmiankuje o gwieździe-fenomenie, więc można podejrzewać, że on również ma copyright na tę całą opowieść. Trzej Królowie, prowadzeni przez jasną gwiazdę, pojawiającą się o wschodzie (raczej nie na wschodzie, jak podaje tłumaczenie polskie, magowie podróżowali ze wschodu, więc gwiazdę pojawiającą się na wschodzie mieliby za plecami, nie mogłaby ich prowadzić), nie tylko nieomylnie podążają za jej blaskiem, ale też potrafią jej pojawienie się zinterpretować jako zapowiedź narodzin króla – przekonujące, prawda? Wiemy, że na niebie w tamtym czasie pojawiły się ciekawe zjawiska, ale czy rzeczywiście wtedy, kiedy na świat przychodził Jezus z Nazaretu (brak jednoznacznego ustalenia daty jego urodzin)? Nie wiadomo.

Od kiedy pasjonuje się pan astronomią i obserwuje niebo?

Pierwszy kontakt z astronomią miałem przez niewielki atlas nieba, który wpadł mi w ręce, kiedy jeszcze mieszkałem w Kluczborku. Miałem wtedy siedem albo osiem lat i pamiętam, jakie wywołał we mnie poruszenie. Zdumiało mnie to, że mapa odwzorowuje niebo, że ten błyszczący chaos ma swój porządek. A chaos uporządkowany w swych strukturach jest zobrazowany, gwiazdy mają swoje nazwy, które wydały mi się wtedy tajemnicze i zdumiewająco piękne: arabskie i łacińskie brzmienia jak z innego świata. To bardzo na mnie podziałało. Mój ojciec pochłaniał literaturę *science fiction*, więc i w moje ręce wpadały książki Zajdla, Strugackich, Lema, Dicka, prenumerowaliśmy „Fantastykę", to pogłębiało ciekawość wobec tego, co kryje nocne niebo. Po raz pierwszy praktycznie obserwowałem niebo w Opolu parę lat później, z dachu młodzieżowego domu kultury, gdzie z instruktorem kółka astronomicznego obserwowaliśmy Księżyc, planety oraz trzy tajemnicze czerwone punkty. Pierwszy raz wtedy usłyszałem o czerwonych karłach – za tymi nazwami kryła się jakaś tajemnica. Nie wiedziałem wtedy, że czerwony karzeł to jeden z etapów życia gwiazdy, a instruktor wkręca nas, pokazując czerwone światła na kominie cementowni. Ale zainteresowanie astronomią zostało, ożyło mocno i zamieniło się w praktykę obserwacyjną wkrótce po tym jak skończyłem studia na krakowskiej PWST. Wieczorami chodziłem na Błonia z lornetką, przez którą mogłem dostrzec niebo, jakiego nie widać gołym okiem. Kładłem się na trawie i walcząc z rosą, obserwowałem, co dzieje się na niebie. Zacząłem szukać ludzi, którzy podzielają moje zainteresowania i w ten sposób trafiłem do Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii, tam poznałem Janka Burnata, scenografa i ogromnie ciekawego człowieka, z którym przez kilka następnych lat dzieliłem astronomiczną pasję. Wtedy rzeczywiście zacząłem się zastanawiać, czy z dwóch zawodów na „a" wybrałem ten właściwy, zresztą za wszystkie pieniądze, jakie zarobiłem za pierwszy spektakl w Starym Teatrze (*Wspólny pokój* Uniłowskiego w reż. Iwony Kempy), kupiłem teleskop: Newton z lustrem o średnicy 20 cm i światłem F6 na montażu Dobsona. Jeździłem z nim na obserwacje, gdzie się tylko dało, najczęściej do Kasinki Małej i Poręby Wielkiej, ponieważ tylko poza miastem astronomiczne przygody mają sens, nie ma zanieczyszczenia światłem, tak zwanego *light pollution*.

Każdy wyjazd „na gwiazdy" to była ogromna ekscytacja i posmak niesamowitej przygody. Doświadczenie obserwacji nieba jest totalnie spoza porządku doświadczeń codziennych, jest wyjątkowe. Przez jakiś czas warunki do obserwacji miałem świetne także pod Krakowem. Dzięki uprzejmości ówczesnej dyrekcji Obserwatorium Astronomicznego na Skale udało nam się postawić teleskop Janka Burnata w jednej z wolnych kopuł Obserwatorium. Dzięki dobrej woli i wyro-

Narodowy Stary Teatr, *Szewcy* Stanisława Ignacego Witkiewicza, reż. Justyna Sobczyk, z udziałem aktorów niepełnosprawnych, 8 marca 2017 roku. Na zdjęciu: Radosław Krzyżowski

zumiałości prawdziwych astronomów przez dwa lata mogliśmy się stamtąd przyglądać niebu. Warto dodać, że współczesna astronomia odchodzi od obserwacji optycznych, zajmując się raczej analizą fal radiowych, czyli radioastronomią. Astronomia optyczna staje się głównie domeną amatorów, ludzi którzy chcą zobaczyć przez okular kawałek nocnego nieba.

Dlaczego właściwie pan lubi patrzeć w niebo, co tam pan odnajduje?

Wiele osób zadawało mi to pytanie, ale nie znajdowałem pokusy, aby znaleźć odpowiedź. To jest tak jak z elementarnymi podstawami naszego istnienia. Z definicji są niepoznawalne, ale dam przykład. Byłem niedawno z przyjacielem na Mazurach, późna noc, siedzimy sobie przy brzegu jeziora, cudowne, rozgwieżdżone niebo i srebrząca się Droga Mleczna. Zaczynam kumplowi pokazywać poszczególne gwiazdozbiory i opowiadać o nich. Akurat świetnie była widoczna Galaktyka w Andromedzie, najdalej położony od ziemi obiekt, który można zobaczyć okiem nieuzbrojonym – odległa o 2 miliony 200 tysięcy lat świetlnych. Po 15 minutach wpatrywania się w niebo widzę gwiazdy coraz lepiej i coraz bliżej. Potęga sklepienia, które jednocześnie wciąga i obezwładnia, uczucie trudne do opisania, nie tyle wzruszenie, ile poruszenie. Doznanie równie

Współczesna astronomia odchodzi od obserwacji optycznych, zajmując się raczej analizą fal radiowych, czyli radioastronomią. Astronomia optyczna staje się głównie domeną amatorów, ludzi, którzy chcą zobaczyć przez okular kawałek nocnego nieba.

zachwycające, co przerażające. Hipnotyczne i ambiwalentne. Jeśli uzmysławiamy sobie rozmiar odległości, te miliony lat świetlnych i naszą w tym bezkresie samotność... Jesteśmy cholernie samotni w kosmosie! I w dodatku obdarzeni świadomością tej samotności. David Foster Wallace, amerykański pisarz, nieprzypadkowo nazywa tę świadomość „koszmarnym snem natury".

Tak jak filateliści zbierają znaczki, astronomowie gromadzą obserwacje, wybierają obiekty, które śledzą na niebie. Jakiego rodzaju obiekty interesują pana? Ma pan ulubione?

Na pierwszym spotkaniu z nocnym niebem świetnie jest zestawić wszystko, co widzimy, z Galaktyką w Andromedzie, to pozwala uświadomić sobie gdzie w tym roju gwiazd jesteśmy. Każda gwiazda, którą dostrzegamy gołym okiem, należy do naszej galaktyki, Drogi Mlecznej. To nasza kosmiczna rodzina. Jest jeden rozmyty punkt, który jest inną rodziną. Pomiędzy nami a tym punktem są ponad 2 miliony lat świetlnych pustki. To rozbudza wyobraźnię. Dlatego od samego początku interesowały mnie obiekty głębokiego nieba, nieefektowne, w znakomitej większości nie widać ich gołym okiem. To mgławice planetarne, które powstają po wybuchu gwiazdy, gromady gwiazd, otwarte i kuliste, które obecne są w naszej galaktyce, pozostałości po supernowych i odległe galaktyki. Te obiekty nie są wizualnie spektakularne, część z nich nie pojawia się w okularze teleskopu od razu, trzeba zerkać i zerkać, w końcu pojawia się maleńka mgiełka... Wymagają cierpliwości, dobrych warunków: nieba bez księżyca, ciemności i przyzwoitego sprzętu, ale nie ograniczałem się tylko do głębokiego nieba ani najbliższych okolic. Obserwacje prowadziłem nie tylko w Polsce, widziałem całkowite zaćmienie Słońca na Węgrzech, podziwiałem niebo na południu Europy, ale i na północy (na Spitsbergenie), gdzie byłem dwukrotnie i gdzie pierwszy raz obserwowałem zorzę polarną, na północy Afryki i w Azji. Nie widziałem dotychczas na żywo gwiazdozbiorów południowych. To jeszcze przede mną.

Jeśli uzmysławiamy sobie rozmiar odległości, te miliony lat świetlnych i naszą w tym bezkresie samotność... Jesteśmy cholernie samotni w kosmosie! I w dodatku obdarzeni świadomością tej samotności.

Dlaczego przy takiej pasji nie został pan astronomem zawodowym?

W pierwszych latach po ukończeniu PWST myślałem całkiem poważnie o studiowaniu astronomii zaocznie, nie miałem wtedy zbyt dużo pracy w teatrze. Jedna rzecz stała zdecydowanie na przeszkodzie: jestem nędznym matematykiem, a w tej dziedzinie aparat matematyczny jest niezbędny i mówimy tu raczej o matematyce zaawansowanej, bez tego nie ma szans na zrozumienie detali i niuansów astronomii. Moje zainteresowanie to tylko hobby, jestem amatorem i zdałem sobie z tego sprawę dość szybko. Z tym, że to hobby bardzo systematyczne, ale i transformujące. Teraz moja fascynacja przejawia się raczej w lekturze związanej z kosmologią, astrofizyką i fizyką cząstek, na obserwacje nie mam już czasu.

Czy upatruje pan w zawodzie aktora jakieś punkty styczne z tym, co pana tak fascynuje?

Czasami żartuję, że fundamentalna dla mechaniki kwantowej zasada nieoznaczoności Wernera Heisenberga znakomicie się sprawdza na scenie. W największym i możliwym skrócie mówi ona, że najbardziej elementarne podstawy naszego bytu są niepoznawalne, nigdy nie jesteśmy w stanie określić z absolutną dokładnością położenia i prędkości cząsteczki. Na scenie jest podobnie, niemożliwe jest takie przygwożdżenie swojego bohatera, aby powiedzieć: wiem o tobie wszystko! Sceniczna postać jest zawsze w pewnym stopniu nieuchwytna. Nigdy „rozbierając" bohatera, mówiąc językiem Heisenberga, nie jesteśmy w stanie określić z absolutną pewnością jego położenia i jego prędkości. Musi być miejsce i świadomość obcowania z czymś nie do końca poznawalnym i chęć zmierzenia się z tym. Wtedy jest ciekawie i interesująco. Nie lubię dopiętych do granic możliwości kreacji scenicznych.

A jeśli chodzi o moich bohaterów życiowych, jest ich równie wielu ze świata sztuki, co nauki. Od lat moją stronę na FB otwiera fotografia z Kongresu Solvaya w 1927 roku, na której widzimy naukowców, którzy zrewolucjonizowali nasze postrzeganie rzeczywistości, między innymi Marię Skłodowska-Curie, Alberta Einsteina, Nielsa Bohra, Maxa Plancka, Paula Diraca, Ernsta Schroedingera i właśnie Heisenberga. Nieprzypadkowo.

Ewa Kozakiewiczowa – jest krakowską dziennikarką. Związana była etatowo z „Dziennikiem Polskim", „Gazetą Krakowską" i „Przekrojem", współpracowała między innymi z „Warsaw Voice", „Newsweekiem", „Czasem Krakowskim", kilkoma wydawnictwami i portalami internetowymi. Zajmuje się głównie tematyką kulturalną, opublikowała trzytomowe *Opowieści fotografistów* (Muzeum Historii Fotografii), kilka katalogów o fotografii, bywa kuratorką wystaw fotograficznych.

Zapraszamy do KRAKOWSKIEGO SALONU EKONOMICZNEGO NBP

Rozmowa z Katarzyną Basiak-Gałą,
dyrektor Oddziału Okręgowego NBP w Krakowie

Pani Dyrektor, krakowski Oddział Okręgowy Narodowego Banku Polskiego tętni życiem. Ostatnio rozszerzyli Państwo swoją działalność o Krakowski Salon Ekonomiczny NBP. Skąd pomysł?

Królewskie miasto Kraków to miejsce, które przez wieki miało wpływ na kształtowanie się historii Polski, to historyczna siedziba królów oraz centrum kultury, sztuki i nauki. I właśnie w samym sercu miasta, w naszym imponującym gmachu, wzniesionym w latach 1921–1924, powstał Krakowski Salon Ekonomiczny NBP. Pomysł na jego realizację narastał w nas od dawna. Mając odpowiedni potencjał, zarówno w postaci budynku, jak i odpowiednio przygotowanej kadry, wyszliśmy na przeciw oczekiwaniom, tworząc nową jakość na edukacyjnej oraz kulturalnej mapie Krakowa i Małopolski.

Czym wyróżnia się Krakowski Salon Ekonomiczny NBP na tle innych instytucji działających w Krakowie?

Krakowski Salon Ekonomiczny NBP to miejsce poświęcone edukacji ekonomicznej, wyposażone w nowoczesne multimedia w postaci interaktywnej ekspozycji, dzięki której można poznać dzieje pieniądza w Polsce. W trzech salach: Polskiej, Narodowego Banku Polskiego z Gabinetem Numizmatycznym i Krakowskiej mówimy o pieniądzu i jego wpływie na procesy gospodarcze nie tylko przez pryzmat ważnych wydarzeń, ale również pojedynczych jednostek i bankierskich rodów. U nas zwiedzający mogą dotknąć ważącą 12,5 kg sztabę złota – najcenniejszy, warty około 3 mln zł eksponat Gabinetu Numizmatycznego. Wyróżnia nas także profil działalności, metody i programy edukacji przeznaczone dla każdego, kto chce wiedzieć więcej. Oferujemy na przykład edukację poprzez sztukę, zapoczątkowaną Sceną Bank Opowieści. Dodam, że zarówno zwiedzanie Krakowskiego Salonu Ekonomicznego NBP oraz udział w zajęciach są bezpłatne. Zachęcam wszystkich do odwiedzenia nas, a zwłaszcza rodziny z dziećmi.

Ostatnio NBP wyemitował wiele monet związanych z Krakowem. Czy można je zobaczyć w Gabinecie Numizmatycznym?

Tak. Prezentujemy tu pojedyncze numizmaty i serie kolekcjonerskie, które upamiętniają wydarzenia, rocznice i osoby ważne dla naszej historii. Wyróżnia je wspaniała forma i wyrafinowane zdobnictwo, które łączą drogocenny kruszec z minerałami i innymi tworzywami. Te monety to świadkowie naszej historii.

Niezwykły artyzm prezentuje srebrna moneta ze szklaną wstawką imitującą witraż, wyemitowana z okazji 700-lecia konsekracji Kościoła Mariackiego w Krakowie. Również w serii *Odkryj Polskę* ukazała się moneta okolicznościowa o nominale 5 zł z wizerunkiem świątyni. W tegorocznej emisji została upamiętniona krakowska artystka Antonina Hoffmann. Ta emisja, to kontynuacja serii *Wielkie aktorki*, zapoczątkowanej rok temu srebrną monetą z wizerunkiem Heleny Modrzejewskiej. W ostatnich trzech latach NBP wyemitował monety kolekcjonerskie, których tematyka aż w dziesięciu przypadkach jest związana z Krakowem. Wszystkie są oczywiście eksponowane w naszym Gabinecie.

Warto dodać, że NBP emituje także banknoty kolekcjonerskie. W Salonie obejrzą Państwo banknoty upamiętniające Jana Pawła II, Fryderyka Chopina, Józefa Piłsudskiego, a także jedyny polski banknot z wizerunkiem kobiety – Marii Skłodowskiej-Curie.

Serdecznie Państwa zapraszam!

Każdy ma swój wehikuł czasu

Tekst: Majka Lisińska-Kozioł **Zdjęcia:** Jacek Kozioł

Na Sławkowskiej gwar. Jak codziennie. Ludzie spacerują i gapią się na lśniące witryny sklepowe, spiesznie przemykają między rowerami, zerkając na zegarek, albo przysiadają na kawę. Dla jednych czas pędzi jak szalony, dla innych zatrzymuje się na parę chwil.

Wojciech Strojny zna tę ulicę jak własną kieszeń. Czuje jej rytm, słyszy codziennie jej gwar, widzi zmiany. Jego zakład zegarmistrzowski znajdziemy pod numerem 11, ale był i pod czwórką, i pod dwójką, a nawet pod dziesiątką.

Za progiem jest cicho. Uliczny gwar nie przenika przez szczelne okna, a współczesne zegarki nie tykają. Nawet godziny, które pokazują otaczające nas czasomierze, uciekają bezszelestnie jedna za drugą. Nie oglądają się za siebie.

Trochę wspomnień zachowało się w witrynie ze starymi urządzeniami zegarmistrzowskimi, których używano przed laty. Jest tam na przykład imadełko służące do przytrzymania szkiełka w trakcie zakładania go do zegarka. – Bywało, że pękły i cztery takie szkiełka, zanim wreszcie jedno, nieuszkodzone, udało się zamontować – wspomina mistrz Strojny.

Mówię do chwili, zatrzymaj się, jesteś zbyt piękna, aby odejść.

Johann Wolfgang von Goethe

Teraz jest tu nowocześnie; eleganckie wnętrza, markowe czasomierze, lśniące gabloty. Króluje elektronika z najwyższej półki, wszystko można zmierzyć i sprawdzić. Na przykład o ile minut zegarek spóźnia się lub spieszy na dobę lub na godzinę. W spoczynku albo noszony na ręce. – Za czasów mojego ojca zegarmistrz przykładał zegarek do ucha, słuchał mechanizmu i komunikował diagnozę. Teraz bez komputera nikt już nie wyobraża sobie naprawiania ani najdroższych, ani tanich czasomierzy.

*

„Nie doceniamy czasu" – mawiała profesor Barbara Skarga. Miała rację. Szczególnie w młodości wydaje nam się, że mamy przed sobą wieczność. Dopiero na starość zaczynamy szanować czas. Z upływaniem kolejnych lat nabieramy pewności, że nawet ten nasz na pewno wcześniej czy później się skończy.

Bywa, że ludzie pędzący za sukcesem finansowym powtarzają kilka razy dziennie, że czas to pieniądz. – A czas to dużo więcej. Czas jest życiem. Wiedział to mój ojciec, gdy jako młody człowiek wydał książkę *Zarys nauki o zegarze*. Pisał w niej: „Czas to potęga nadnaturalna, to olbrzym idący wciąż naprzód bez przeszkód, którego ujarzmić mogłaby jedynie siła nadprzyrodzona. Myśl zmaga się jednak z czasem w odwiecznej walce. Geniusz ludzki, choć nie pojął jeszcze istoty czasu, choć nie umie ogarnąć go swym rozumem, zdołał przecież poznać pewne jego tajemnice i potrafił znaleźć środki, które pozwoliły człowiekowi zmierzyć każdą przemijającą chwilę. Wydartą naturze tajemnicę wyzyskał geniusz dla pracy zorganizowanej, ekonomicznej, dla postępu".

Może właśnie dlatego człowiek postanowił mierzyć czas i mieć złudne wrażenie, że nad nim panuje. – Ale czy czas jest naprawdę tylko nasz? – zastanawia się Wojciech Strojny. – Jakkolwiek jest, zawsze mnie fascynował. Ujarzmić się go nie da, to już wiem. Ale można spróbować zaprzyjaźnić się z czasem i pogodzić z jego upływem, a ten, który jest nam przeznaczony, dobrze wykorzystać. Od kiedy tylko zauważyłem jego upływ, chciałem się dowiedzieć, czy człowiek może podróżować w czasie. Okazuje się, że owszem. Bo wspomnienia przenoszą nas w przeszłość, a marzenia w przyszłość. Prawda? To taki nasz własny wehikuł czasu.

Dlatego często wspominam i marzę. Przenoszę się w lata dawno minione, zatrzymuję w teraźniejszości. Raz jestem na spacerze z ojcem, a innym razem zabieram na lody wnuka. Szanuję każdą godzinę. Pomaga mi w tym zegarek. Solidny, mechaniczny, ponadczasowy. Takie zegarki, jak ten mój, nigdy nie wyjdą z mody i będą przy nas, ludziach. Dzięki nim nie przegapimy najważniejszych momentów w naszym życiu.

*

Bo zegarki to bardzo emocjonalne przedmioty. Podobno nawet mają duszę.

Darzymy sentymentem szczególnie te należące kiedyś do naszych przodków: ojca, dziadka, a nawet pradziadka. Zegarek bywa naszym przyjacielem, towarzyszy nam we wszystkich dobrych i złych chwilach, bywa świadkiem losów rodziny, jest przy narodzinach dzieci, na ślubach i podczas pożegnań.

Ale żeby chodzić, potrzebuje energii.

Niektóre czasomierze czerpią ją ruchów ręki, na której są zapięte. Inne trzeba nakręcić. Ale jedne i drugie odstawione na półkę lub schowane do szuflady zastygają w bezruchu. Bez człowieka tracą swoje zegarkowe życie. I zyskują je znowu, gdy o nie zadbamy.

*

W rodzinie Strojnych zegarmistrzostwem najpierw zajął się Bogdan. Rozpoczął praktykę w zawodzie już w roku 1925, miał wtedy 17 lat. Pierwszy egzamin czeladniczy zdał trzy lata później. Potem przeniósł się do Krakowa i w 1941 roku przy Sławkowskiej pod numerem czwartym otworzył swój sklep zegarmistrzowski. Na niecałych dziewięciu metrach kwadratowych stała lada i warsztat z lampą.

– Pamiętam, że jako mały chłopak przyglądałem się ojcu, gdy sprawdzał dokładność reperowanych czasomierzy. Pomagały mu gwiazdy. Widziałem, jak tata brał kawałek czarnego papieru, w którym był maleńki otworek, naklejał na szybę w oknie od południowej strony i obserwował znikanie jednej z jasnych gwiazd stałych za wieżą kościoła, który znajdował się w odległości około 100 metrów od naszego domu. Przed upływem doby sprawdzał moment zniknięcia tej samej gwiazdy za kościelną wieżą. Porównywał wskazania swoich czasomierzy z momentem zniknięcia gwiazdy i wiedział, czy dobrze wykonał swoją robotę. Dzisiaj najdokładniejszymi zegarkami na świecie są te sterowane falami radiowymi, dokładność chodu tych czasomierzy to sekunda na milion lat. W produkcji takich czasomierzy specjalizuje się niemiecka firma Junghans.

Strojny senior zmarł wcześnie.

– Miałem wtedy dziesięć lat. Warsztat i sklepik przejęła mama na obowiązujących wówczas prawach wdowieństwa.

Ale dla synów – starszego Andrzeja i młodszego Wojtka – pani Czesława chciała lepszego życia niż jej własne, zegarmistrzowskie. Andrzej ukończył więc medycynę i został lekarzem, a Wojtek Politechnikę Krakowską.

Ludzie myślą czasem, jak zabić czas, a to czas ich zabija.

Alphonse Alias

– Brat uprawiał wyuczony zawód, ale mnie wbrew życzeniu mamy, do zegarmistrzostwa od zawsze ciągnęło.

Po zajęciach i wykładach młodszy syn pomagał w sklepie i warsztacie. Potem co prawda przez kilka lat jako inżynier budował Hutę Katowice i mógł pracować w wyuczonym inżynierskim zawodzie dalej, ale profesja ojca niepostrzeżenie wysforowała się w jego głowie na pierwsze miejsce. – Właściwie nawet się temu nie dziwię, przecież w domu wciąż mówiło się o mechanizmach, o wskazówkach i tarczach. O tym, że tata znowu

ślęczy nad robotą. Czasami zaglądał w serce zegarka; takie małe wycięcie na tarczy, które umożliwia śledzenie pracy mechanizmu. Tata kochał zegarmistrzostwo, choć i zaraz po wojnie, i za komuny kłopotów takim jak on rzemieślnikom nie brakowało. Nie podobali się władzy, jak to prywatna inicjatywa.

*

Czasami pan Wojciech wspomina długie wieczorne spacery z tatą. – Mówiłem mu wtedy, że będę jak on. Że będę zegarmistrzem. A on patrzył na mnie i sprowadzał na ziemię: nie będziesz, bo masz słabe oczy.

*

Lada i warsztat, przy którym pracował senior rodu, przetrwały u Strojnych do lat 90. minionego wieku. – W roku 1990 właścicielka kamienicy przy ulicy Sławkowskiej 4, gdzie znajdował się nasz stary, maleńki zakład, zażyczyła sobie opuszczenia lokalu z dnia na dzień. To wtedy wraz z innymi pokrzywdzonymi powołałem „Komitet Obrony Rzemieślników". I nie chodziło o to, żeby właściciel nie mógł dysponować swoją nieruchomością, ale o to, żeby dał rzemieślnikowi czas na przeprowadzkę. Tak po ludzku.

Nad stracony czas nic bardziej nie boli.

Michał Anioł

Wojciech od urodzenia ma 90-procentowe niedowidzenie prawego oka. To mu w zegarmistrzostwie nie pomogło, ale i nie wykluczyło go z zawodu. Senior rodu Strojnych pewnie by się zdziwił, gdyby zobaczył, że marzenia jego młodszego syna się spełniły. Jak ojciec jest zegarmistrzem. Przy warsztacie młodszy syn Bogdana pracował jeszcze w latach 70. ubiegłego wieku, ale że widział coraz gorzej, zajął się sprawami organizacyjnymi.

Mówi dzisiaj, że obaj z ojcem nadawali na tych samych falach. Obaj uważali, że ratowanie czasomierzom życia to pożyteczne i romantyczne zajęcie. – Przynosi pani zegarek, który stoi, a odbiera go, gdy już chodzi.

W roku 1991 zwolnił się lokal pod numerem 2, zdecydowaliśmy się na zainwestowanie i z małego sklepiku zegarmistrzowskiego pod czwórką powstał jeden z największych sklepów firmowych z zegarkami w Krakowie. Zyskała Firma STROJNY, zyskało też miasto Kraków.

*

Spośród zegarków, które posiada Wojciech Strojny, szczególnym sentymentem darzy złoty, kieszonkowy, firmy Shaffhausen. – Kiedy byłem małym chłopcem, zapytałem tatę, czy mógłby mi go dać do zabawy, a on zażartował: „Jak zdasz maturę, to go dostaniesz".

Tata pana Wojciecha nie doczekał matury młodszego syna, ale zgodnie z daną obietnicą zegarek jest w jego rękach. – Był świadkiem wielu wydarzeń z mojego życia. Przeznaczyłem go dla najstarszego wnuka. Ma już wygrawerowany napis „Dla Antosia". Natomiast

złoty zegarek, prezent od żony na sześćdziesiąte urodziny, dostanie Aleks. Wnuczka Alicja, piętnastolatka, już nie może się doczekać, kiedy założy przepiękny biżuteryjny zegarek, który podarowała jej babcia.

Napisy na czasomierzach wykonał Alojzy Borowicz, grawer z Szewskiej, chyba najstarszy i najbardziej znany w Krakowie. – Mruczał przy tym pod nosem: mam grawerować, to graweruję, a młody jeden z drugim podrośnie i gdzieś to swoje cudo sprzeda.

– Liczę, że wnuki tego nie zrobią – uśmiecha się pan Wojciech.

Bo chociaż cena bardzo dobrego zegarka jest czasami wyższa od samochodu, to taki prawdziwy zegarek ma się zwykle tylko jeden i pozostaje on jako pamiątka dla dzieci lub wnuków i prawnuków. – A samochody, no cóż, każdy z nas miał ich w życiu kilka lub kilkanaście, kosztowały majątek i żaden ślad po nich nie został. Zużyły się.

*

Zegarmistrzostwo to nie jest jedyna pasja Wojciecha Strojnego. Po pierwsze lubi fotografować, a po drugie – pomagać i jako rotarianin robi to od lat z oddaniem. Gdy jednak zapytać go, czy pomaganie jest obowiązkiem każdego człowieka, mówi, że chyba nie. Ale z drugiej strony każdy z nas dostaje od matki natury gen dobroci, więc szkoda byłoby go zmarnować – przyznaje.

– Kiedy miałem jakieś siedem lat – wspomina – byliśmy z rodzicami na wakacjach w Łebie, jechaliśmy na wycieczkę pekaesem do Gdańska. Autobus był niemiłosiernie zatłoczony, ja siedziałem przy oknie. Na jednym z przystanków próbowało wsiąść dwóch żołnierzy z ogromną drewnianą skrzynią, konduktorka ich nie wpuściła, krzycząc: „Macie swoje samochody!". Rozryczałem się, a nie byłem płaczliwym dzieckiem, i chciałem tym żołnierzom oddać swoje miejsce, żeby nie stali tacy biedni na tym przystanku. Chciałem pomóc.

Strojni tak po prostu mają. Chcą pomagać. Są tam, gdzie ktoś ich potrzebuje. A to krewnemu dali pracę w swojej firmie i dach nad głową, żeby mógł skończyć studia.

Czas się nie śpieszy – to my nie nadążamy.
Lew Tołstoj

– Był inteligentnym młodym człowiekiem, zdał maturę, ale na dalsze zdobywanie wiedzy nie było by go stać. Pomogłem mu, a on skończył studia. Kiedy jedna z ciotek miała problemy mieszkaniowe, wzięliśmy ją pod swój dach – opowiada Wojciech Strojny. – Gdy okazało się, że nasza babcia Wiktusia wymaga stałej opieki, zamieszkała z nami i tak było przez wiele lat. Pamiętam, jak się przeprowadzaliśmy z małego mieszkanka do większego lokum. Był koniec listopada, gęsta mgła, a my kursowaliśmy między Nową Hutą a osiedlem Cegielnianym. Babcia nie mogła zostać sama w starym domu, więc cały czas siedziała na miejscu pasażera. I chyba nawet jej się ta jazda wte i wewte podobała.

– Czasami mam wrażenie, że może urodziłem się z jakimś ponadprzeciętnym poziomem empatii – mówi. – A że moją pasją są czasomierze, wykorzystuję je, żeby uruchamiać w ludziach emocje. Podczas aukcji na cele charytatywne nie sprzedawałem zegarka jako przedmiotu tylko ze względu na jego rynkową wartość, ale dlatego, że każdy z wystawianych czasomierzy był cząstką życia jakiegoś człowieka. Był czyimś sentymentalnym wspomnieniem, był świadkiem czyjejś radości, czyjegoś sukcesu lub czyjegoś upadku.

Do swoich działań pomocowych Wojciech Strojny zaprosił też właścicieli marek, dystrybutorów, przedstawicieli handlowych branży zegarmistrzowskiej.

Wspomina, jak bodaj w 1995 roku pojawiły się w sprzedaży czasomierze elektroniczne, które na głos podawały godzinę w języku angielskim. Tyle że nie wzbudzały zainteresowania klientów. – Przyszło mi do głowy, że jak znalazł będą dla osób, które żyją w ciemności. Dotąd miały one do dyspozycji tylko tak zwane zegarki Braille'a z otwieranym szkiełkiem i wzmocnionymi wskazówkami: niewidomy, dotykając ich, odczytywał godzinę. A moje zegarki mówiły. Kupiłem kilkanaście sztuk

i rozdałem tym, którzy nie byli w stanie zobaczyć cyferblatu. Dzięki gadającym zegarkom mogli usłyszeć, która jest godzina.

*

Okrągłe rocznice związane z działalnością firmy Strojny też były okazją do pomagania.

W 2001 roku, kiedy przypadało jej 60-lecie, pierwszy raz zorganizowano aukcję zegarków znanych osób. Odbyła się 11 listopada w Teatrze im. J. Słowackiego. Licytację prowadził Andrzej Starmach, przyszło ponad pięćset osób. Sprzedano czasomierze należące między innymi do Lecha Wałęsy, Helmuta Kohla, Romana Polańskiego i Annie Lenox. – Polański przekazując zegarek, napisał, że miał go na ręce podczas kręcenia filmu *Nóż w wodzie*. Udało nam się zarobić prawie 130 tysięcy złotych. Kupiono za te pieniądze szesnastoosobowy mikrobus dla dzieci niewidomych i słabowidzących z ośrodka przy ulicy Tynieckiej w Krakowie i posłano małą dziewczynkę na operację oczu do Anglii. Wystarczyło też na dziesięć maszyn do pisania alfabetem Braille'a. Goście wysłuchali koncertu Andrzeja Sikorowskiego, a każdy został obdarowany przez Strojnych budzikiem oraz słodkim prezentem.

Na siedemdziesięciolecie firmy Wojciech Strojny, wspólnie z zegarmistrzem Eneaszem, wymyślili „firmowy zegarek" STROJNY. Wykonano siedemdziesiąt takich czasomierzy. – Numer jeden został zlicytowany na aukcji charytatywnej, a pozostałe sprzedaliśmy naszej rodzinie, znajomym, klientom. Zysk ze sprzedaży przeznaczyliśmy na pomoc dla Szymona, ciężko chorego chłopca z drugiego końca Polski. Drugim „charytatywnym zegarkiem" był czasomierz wykonany na Euro 2012. Tych zegarków sprzedaliśmy kilkadziesiąt, pomagając innemu choremu dziecku. A pieniądze ze sprzedaży certiny od Roberta Kubicy poszły na sprzęt sportowy dla podopiecznych Dzieła Pomocy Dzieciom z Krakowa.

Zegarki na aukcje pozyskiwano na różne sposoby. Swego czasu firmę Strojny często odwiedzała Anna Dymna. Synek aktorki uwielbiał swatche, a ona wymieniała zegarkowe bateryjki dla wszystkich swoich znajomych. – Kiedyś zażartowałem: może oddałaby pani swój zegarek na aukcję charytatywną, a pani Ania bez wahania zdjęła z ręki roamera i mi go wręczyła. To zegarek z tak zwanej średniej półki, solidnie wykonany, z dobrym szafirowym szkiełkiem, można się w nim kąpać, jeździć na nartach. I tak została matką mojej działalności charytatywnej.

Nie otrzymujemy krótkiego życia, lecz
je takim czynimy.
Nie brakuje nam czasu, lecz trwonimy go.
Seneka

U Strojnych zostawiał swój zegarek kardynał Franciszek Macharski. – Przychodził do nas, gdy musiał go naprawić. I choć trudno to sobie dziś wyobrazić, nie potrzebował ochroniarzy ani limuzyny – opowiada pan Wojciech. Adam Małysz podarował na aukcję tissota, średniej klasy mechaniczny automat. Wcześniej dołączyli do niej i Albert de Monaco, i Andrzej Wajda, i Andrzej Sikorowski, i Jerzy Stuhr, i wielokrotny medalista w chodzie sportowym Robert Korzeniowski, i siostry Radwańskie.

Na aukcję charytatywną, która odbyła się w 2011 roku, swój niezwykły czasomierz przekazał Jan Paweł II. Zegarek ten został wykonany w Szwajcarii, na zamówienie Rycerzy Zakonu Maltańskiego, na 70. urodziny papieża. Nie miał wskazówek – po tarczy poruszała się perła, wskazując upływ godzin. Został wylicytowany za 400 tys. złotych i zgodnie z życzeniem ofiarodawcy pieniądze te wspomogły remont szkoły dla dzieci niedowidzących im. św. Tereski z Rabki.

*

Pan Wojciech od osiemnastu lat, jest członkiem Klubu Rotary Kraków. To najstarsza organizacja charytatywna świata. Wspólnie z kolegami organizuje wiele akcji pomocowych.

Bo i potrzeb jest sporo. Niedawno Dom Pomocy im. Helclów dostał wannę z masażami i cały system podnośników, dzięki czemu mogą z niej korzystać osoby mające problemy z narządem ruchu. Za 35 tysięcy złotych kupiono psa przewodnika dla osoby niewidomej. – A na święta każdy mieszkaniec domu im. Helclów dostaje od nas paczkę z prezentami – opowiada Wojciech Strojny.

*

W okresie Bożego Narodzenia chętniej niż kiedy indziej wspominamy i marzymy. Siadamy przy wigilijnym stole z bliskimi, wspominamy tych, którzy odeszli, zastanawiamy się, jak spożytkowaliśmy dane nam dni i tygodnie.

Wielu z nas od dawna wie, że pomagając, nie marnujemy nawet sekundy. Przeciwnie, darowujemy komuś radość, trochę lepszy czas w życiu. I jak mówi pan Wojciech, nie ma znaczenia, czy dołożymy do puli milion złotych czy znacznie, znacznie mniej. Liczy się otwarte, współczujące serce. – Lata temu, podczas jednej z aukcji podszedł do mnie wiekowy człowiek i powiedział: „Panie Strojny, nie jestem zamożny, ledwie starcza mi na życie, ale chciałbym podzielić się tym, co mam. Proszę, niech pan weźmie...". I dał mi złotówkę.

Majka Lisińska-Kozioł – absolwentka prawa i dziennikarstwa na UJ. Zajmuje się przede wszystkim reportażem społecznym i sportowym. Laureatka wielu nagród dziennikarskich, między innymi „Złotej Gruszki".

PORTRETY 2020 (grudzień)

Opracował Witold Bereś

„To z polskiego undergroundu wyszła iskra, która wznieciła Jesień Ludów w Europie w 1989 roku (...). Są dowody, że ta dzika energia wstrząsnęła stolicami bratnich państw socjalistycznych. Izrael pokazał w czeskiej Pradze, jak można wywrócić oficjalną imprezę. Praffdata w Berlinie Wschodnim – jak się burzy mur"... Rafał Księżyk z wolna staje się osobą-instytucją dla polskiej kultury muzycznej. Specjalizuje się w wywiadach rzekach z muzykami rodzimego offu. W ten sposób powstały biografie Roberta Brylewskiego, Tomasza Stańki, Tymona Tymańskiego, Kazika Staszewskiego, Marcina Świetlickiego, Muńka Staszczyka (nominowana do najlepszych portretów konkursu „Krakowa" za rok 2019).

Tym razem Księżyk przeprowadza nas przez pierwsze lata po upadku komunizmu. Bo w muzyce czas przełomu jak w soczewce skupił najciekawszych undergroundowych artystów.

Bohaterami są Apteka, Armia, Brygada Kryzys, Houk, Izrael, Kazik, Kinsky, Kormorany, Max & Kelner, T. Love, a tematami schyłek festiwalu w Jarocinie, wiejskie komuny i miliardowe kontrakty, początki hip-hopu.

Bo na scenie muzycznej także realizowało się społeczeństwo obywatelskie.

Rafał Księżyk, *Dzika rzecz. Polska muzyka i transformacja 1989–1993*, Wydawnictwo Czarne, Kraków 2020.

Kalina Jędrusik eksponowała swoją seksualność jak sztandar. Czy Władysław Gomułka rzeczywiście roztrzaskał telewizor, miotając w niego popielniczką, kiedy zobaczył jej zmysłowy występ w barbórkowy wieczór w telewizji, z wyeksponowanym biustem i krzyżykiem? Jakkolwiek było – przaśnemu komunizmowi nie było po drodze z erotyzmem Jędrusik i libertynizmem jej męża Stanisława Dygata. Bez przesady można rzec, że byli oni Marilyn Monroe i Arthurem Millerem PRL. Ale byli też dla siebie przekleństwem. On – wybitny pisarz, autor *Jeziora Bodeńskiego*. Ona – aktorka, znana choćby z Kabaretu Starszych Panów. Żyli w kraju, do którego nie przystawali.

Remigiusz Grzela pisał o Wierze Gran, o Irenie Gelblum (Conti Di Mauro), o Wandzie Wiłkomirskiej i o życiu reporterek (Fallaci – Torańska). Teraz serwuje fascynującą opowieść o tym małżeństwie – uwodzicielach, królach życia i hipnotyzerach opinii publicznej. To opowieść o PRL, smutnie ukazująca niespełnienie zarówno Dygata, jak i Jędrusik.

Remigiusz Grzela, *Z kim tak ci będzie źle jak ze mną? Historia Kaliny Jędrusik i Stanisława Dygata*, Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2020.

„Piszę te słowa ze smutkiem. Przyjeżdżając do Polski prawie pięćdziesiąt lat temu, zakochałem się nie tyle w niej, ile właśnie w Polakach, ceniłem ich iskrę szaleństwa, która przez tyle lat pozwalała im żyć w systemie komunistycznym. Wiadomo, był to system narzucony przez obce mocarstwo. Ale to właśnie dlatego dzisiaj nie jestem w stanie zrozumieć, że aż tylu rodaków tak chętnie godzi się wierzyć w podobny system – tylko że narzucony nie przez obce mocarstwo, a przez własny naród. Nie po to wywalczono to, co stało się w pamiętnym roku 1989. Z niedowierzaniem patrzę na to, co dzieje się dzisiaj w Polsce – i to za sprawą Polaków".

Niedenthal urodził się w Londynie i tam się wychował. Mieszka w Polsce od prawie 50 lat. Jego zdjęcia zna cały świat. Czołg pod kinem Moskwa z *Czasem apokalipsy* to ikona stanu wojennego. Zdjęcie zrobione z dystansem, ale i uczuciem. Bo choć fotografował w Pradze, Berlinie i na Węgrzech, to jego serce zostało w Gdańsku, w sierpniu 1980 roku.

To już drugie wydanie tej barwnej książki, ale poszerzone o teksty sięgające czasów współczesnych i kilkadziesiąt niepublikowanych fotografii.

Chris Niedenthal, *Zawód: fotograf. Ciąg dalszy nastąpił*, Marginesy, Warszawa 2020.

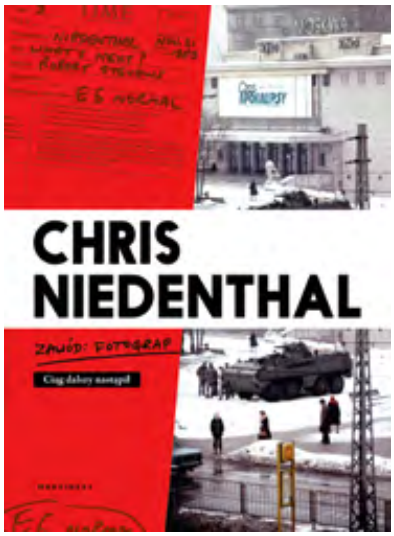

Metr dwadzieścia

Tekst i zdjęcie: Kinga Strzelecka-Pilch

Może wydawać się to dziwne – ale nasze pierwsze wspólne święta spędziliśmy w 2019 roku. Jakbyśmy pożegnali się po raz pierwszy.

Nie wierzę w Boga ani w Kościół – przygotowuję się do apostazji – ale święta Bożego Narodzenia mają dla mnie święty smak, dotyk rodziny, zapach z wolna topniejącego wosku, może być żurawinowy, najtańszej świecy, zapach świerku kupionego dzień przed w pobliskim agrocentrum. Nie ma karpia, szopki ani nadęcia, jest domowy barszcz z cytryną i cukrem, są mistrzowskie pierogi, które lepimy chwilę przed. Jest wszystko. I nie obchodzi mnie zdanie innych – to jest moja własna świętość. Widzę ich nad białym obrusem i czuję miłość. *All I want for Christmas*, *Kevin sam w domu*, największe tandety, cukierki na choince, pieczenie pierników, nieporadne śpiewanie kolęd, śnieg czy jego brak, prezenty skrupulatnie owinięte w kolorowy papier, Jego spokojne oczy. To jest moja świętość, której nikt mi nie zabierze. Ale jedna rzecz ciekawa, jedna warta podkreślenia. Święta spędzaliśmy osobno. Bez słowa tłumaczenia, bez pytań, próśb i odpowiedzi. Po prostu. Jestem prosta, pochodzę z Kielc – że tak zażartuję, drogi „Krakowie". Powiesz mi raz – zrozumiem i uszanuję. Stanowi to dowód na cokolwiek? Może. Teraz już *never mind*, teraz już *pas grand chose*.

Wtedy właśnie siedliśmy wspólnie do wigilii po raz pierwszy. Za pięć miesięcy popatrzy na mnie ostatni raz. Wyglądał pięknie, marynarka w kolorze stapiała się z wózkiem i moją marynarką. W tej samej marynarce, czarnej, odprowadziłam Cię tam, gdzie chciałeś. A wtedy niczego nie przeczuwałam.

Ale wtedy właśnie siedliśmy wspólnie do wigilii po raz pierwszy. Za pięć miesięcy popatrzy na mnie ostatni raz. Wyglądał pięknie, marynarka w kolorze stapiała się z wózkiem i moją marynarką. W tej samej marynarce, czarnej, odprowadziłam Cię tam, gdzie chciałeś. A wtedy niczego nie przeczuwałam.

Niczego nie zauważyłam. Rozdzielił opłatek. Patrzył żywo i ciekawie. Dużo się śmiał. Śmialiśmy się wszyscy. Śpiewaliśmy *Lulajże* jak hymn Cracovii (przed każdym meczem) niskim, wyzwalającym głosem. Lubił krzyczeć – może w celu rozruszania mięśni. Lubił śpiewać głośno. Odpakował prezenty jak dziecko. Płakał przy wiecznym piórze. Tata kupił wymarzonego pelikana. Przez chorobę łatwo się wzruszał. Pamiętam, jak płakał na *Garderobianym*. Tak, śmierć ma gdzieś sztukę, gra nami jak obsługa dziekanatu na UJ. Tak sobie wyobrażałam śmierć – duże drewniane, skrzypiące, ciężkie drzwi z zimną klamką w Collegium Novum, bezosobowa obsługa. Zdychaj. Nie ma cię w Usosweb *ergo* twój internetowy indeks nie istnieje, nie dostaniesz zaliczenia, nie załapiesz się na drugi semestr, nie skończysz studiów, zawiedziesz cały świat, nie dostaniesz umowy nawet na kasie w supermarkecie. „Świat jest WF-em, a ja nie mam stroju" – napisał Taco Hemingway.

Mieliśmy jedną choinkę na całe życie – wielkość metr dwadzieścia. Innej nie będzie. Metr dwadzieścia mojej radości, jego nienawiści do drzewek i naszej nadziei, że w przyszłym roku kupimy już coś innego, że może mały, świeży, okrągły stroik wystarczy, będzie lepszy... mamy przecież okrągły stół.

Kiedy zanosiłam ją na śmietnik, był w siódmym niebie. Czyli święta, ale bez przesady, kurwa. Teraz święta to tylko rozdrapywanie ledwo zabliźnionej rany. Po co udawać, że nie brakuje Cię przy stole? Od końca maja nie jem przy stole. Od pięciu miesięcy nie mogę usiąść przy naszym stole. A trzeba wiedzieć, że panował terror – miły, uroczy terror wspólnego jedzenia. Posiłki skoordynowane z lekami. Śniadanie i obiad przy stole. Czasami jedynie kolacja mogła odbyć się na kanapie i fotelu, przed telewizorem. Drugi czekał, aż usiądzie ten pierwszy. Teraz jest we mnie jakiś popłoch. Poznawczy. Jak to – nie jemy posiłków w rytmie przyjmowania lekarstw? Jak to – jest odpowiednio 9/13/18/22, mam dla Ciebie tabletki, gdzie jesteś? Jak to – mogę wyjść od tak z domu i wrócić, kiedy chcę?

Jak to – idę przez miasto, nie pchając wózka? Czego chciałam ja? Czego chciałeś Ty? Czy to było rozdzielne? Otworzysz słoik? A nie otworzysz... Tyle wspólnych dni, a nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać: „Co mam robić, kiedy Cię nie będzie? Czy masz już w głowie jakiś plan? Ma być góra czy dół? Światło czy ciemność? Mówić, nie mówić?".

Chciał mieć kota albo mówił, że chce, może chciał chcieć kota? To w jego stylu. Wolał laminować zdjęcia znanych z kotami, zamiast kupić kota.

Dwa, trzy tygodnie po, przeczytałam wszystkie gazety, felietony, teksty krytyczne, zobaczyłam wszystkie programy telewizyjne, wysłuchałam wspomnień, wywiadów.

Na Boże Narodzenie i na kolejny rok mam jedno życzenie, które kieruję do Państwa. Przy stole – wigilijnym, pandemicznym czy metaforycznym i codziennym – traktujcie chorych czy niepełnosprawnych – swoich bliskich, znajomych czy nieznajomych, których są całe rzesze – normalnie.

Kolejne zdziwienie. Nie wiedziałam, z kim jem śniadania. Nie miałam pojęcia, z kim piję poranną kawę. Albo nigdy nie miałam dostępu do Twojej maski i zbroi. Albo zostawiałeś je na drewnianym wieszaku w przedpokoju. Wierny, słuchający, zaborczy, wybuchowy, ciekawy, otwarty, złakniony normalności, dzielny. Pierwsze przymiotniki, które wpadają mi do głowy, kiedy widzę Twoją twarz. Człowiek o stu twarzach? Raczej przez chorobę Parkinsona. Spięta, każdy mięsień napięty, nastroszony, twardy, szerokie czoło, wypukłe policzki, pięć minut drzemki i cała twarz znów się rozpuszcza, rozkurcza, jest młoda, swobodna, oczy uśmiechnięte, przez jakiś czas przynajmniej nic nie boli. „Twój ból jest większy niż mój" – co to za wdowieństwo, co to za marna utrata, kiedy Ty znałaś końcówkę, a ja znałam początek, a ja byłem od lat, a my razem studiowaliśmy, a Ty nie wiesz i nie widziałaś.

Co Wy wszyscy wiecie? O czym Wy wszyscy mówicie? O sobie? Bałam się, że cały świat rozpadnie się na kawałeczki, a tymczasem wszystko działa. Pandemia trwa nadal, gazety wciąż wychodzą, pralnia pana Aftyki nadal przyjmuje ubrania, Tomek u szewca, asfalt i chodnik na Hożej cały, a nowym antykwariatem Apiecionka byłbyś zachwycony. Jedyne, czego nie ma po naszej półrocznej przerwie od Warszawy, to ulubionej kawiarni na placu Trzech Krzyży i sklepu na Brackiej. Teraz *merry christmas*? Cieszyć się? Kupować prezenty?

Był 29 maja. Miałam na sobie okropną różową bluzkę, lnianą co prawda, i to mogło nadawać jej, zwłaszcza w oczach Jurka, szlachetności. Co więcej, była w kwiaty, co więcej miała baskinkę. Nie ma nic bardziej niestosownego na taki dzień. Ze wszystkich ubrań świata.

Co mam zrobić z Twoimi zimowymi kurtkami? Wypiorę je, odświeżę, i poczekam, aż wrócisz. Albo pójdę do Ciebie Kochany, z tymi kurtkami. Tam pewnie nie jest za ciepło. Czyli święta, ale bez przesady, kurwa.

Na Boże Narodzenie i na kolejny rok mam jedno życzenie, które kieruję do Państwa. Przy stole – wigilijnym, pandemicznym czy metaforycznym i codziennym – traktujcie chorych czy niepełnosprawnych – swoich bliskich, znajomych czy nieznajomych, których są całe rzesze – normalnie. Pozwalajcie im na samodzielność, nie patrzcie krzywo, kiedy parkinsonik splami czerwonym barszczem najlepszą, białą koszulę, nie martwcie się, że żona po wylewie nie potrafi złożyć życzeń jak przed nim, nie frustrujcie się, że seks z mężem po wypadku samochodowym nie wygląda dokładnie tak samo, starajcie się wytłumaczyć dzieciom, że wujek z autyzmem nie powinien być obiektem pokazywanym palcami, a ciocia po nowotworze oka nadal słyszy wasze komentarze, nie ma tylko oka. Pozwólcie – w miarę możliwości – na decyzyjność. Pozwólcie na samodzielne wybranie prezentów świątecznych z wysokości wózka inwalidzkiego, nie mówiąc już o zakupach spożywczych. Wiecie, jaką radością może być samodzielne wybranie swojej kolacji? Dajcie autonomię. Pozwólcie samodzielnie zapiąć spodnie, krzywo pomalować usta, zawiązać krawat zupełnie nie tak. Plamić się, jąkać, mylić, upadać, popełnić *faux pas*, odbyć samodzielną podróż do łazienki, zalać mankiety przy myciu rąk, upuścić serwetkę, drugi widelec, stłuc szklankę, talerz, nie używać śliniaka, a wytwornej, bawełnianej serwety, pokłócić się z panią w okienku pocztowym, zadzwonić samodzielnie na infolinię, bo telewizja znowu nie działa, mieć orgazm, mieć marzenia i do dyspozycji tyle czasu pod prysznicem, ile trzeba, mieć plany, gorszy dzień, poranek, który przeciąga się do 15, trudno, czasami dobrze nie mierzyć sił na zamiary. I każdy ma do tego prawo. Mamy do tego prawo. Zauważajcie, ale w sposób normalny. Oswajajcie, nie zdziecinniając. „Dlaczego mnie to spotyka", „nie mogłabyś raz normalnie, jak wszyscy", „ile razy mogę powtarzać", „dopiero podniosłem to z podłogi", „dopiero wyprałam ten sweter", „jedz, nie wydziwiaj" – te wszystkie złote myśli potraktuję hasłem z tegorocznego strajku kobiet – wypier*****, kibicując im/nam jednocześnie całym sercem.

Kinga Strzelecka-Pilch – tłumaczka języka francuskiego, wdowa po Jerzym Pilchu.

Rynek, las choinek i ekspresi. 1905

Tekst: Krzysztof Jakubowski **Zdjęcia** z archiwum autora

Tradycja wigilijnego drzewka pojawiła się na ziemiach polskich na przełomie XVIII i XIX wieku, przywieziona przez niemieckich protestantów. Początkowo zyskiwała popularność w dawnym zaborze pruskim, dopiero później w innych częściach kraju, a stosunkowo najpóźniej na terenie Galicji.

Trudno doprecyzować, od kiedy na krakowskim Rynku rozpoczęła się sprzedaż drzewek (termin choinka upowszechnił się po I wojnie światowej), ale prawdopodobnie popyt na nie rósł wraz z powszechniejącą modą, od lat 70. XIX wieku. W okresie międzywojennym ceny wigilijnych drzewek ustalał magistrat, a sprzedawano je ponadto na Rynku Kleparskim oraz Podgórskim. Cena – jak dziś – uzależniona była głównie od wysokości.

Zamieszczona pocztówka (ok. 1905 r.), przedstawia fragment Rynku z choinkowym targiem na akwareli Adama Setkowicza. To właśnie widoczki malowane przez tego artystę i starszego o pokolenie Stanisława Tondosa zdominowały ówczesne świąteczne pocztówki. Na pierwszym planie widać mężczyznę w sile wieku, w kożuchu i czerwonej rogatywce, niosącego drzewko. To członek Stowarzyszenia Posługaczy Publicznych – założonego w 1886 roku – zwanych popularnie „ekspresami". Czekali oni w kilku punktach miasta (między innymi pod Krzysztoforami) i zanosili za niewielką opłatą pod wskazany adres różne przesyłki, także choinki.

Znana jest anegdota o ekspresie wezwanym do Grand Hotelu przez jednego z gości:

– Mój dobry człowieku. Masz tu list, pójdziesz na Zwierzyniec, tam mieszka pan Juliusz Kossak, malarz. Oddasz list i poczekasz na odpowiedź.

Po godzinie ekspres wrócił.

– No i co, załatwiłeś, jak należy?

– Tak, proszę jaśnie pana. Ino my z kolegą Antonim uchwalili, że on nie nazywa się Kossak, ino Nowak, i nie Juliusz, ino Józef, a miszko nie na Zwierzyńcu, ino na Kleparzu, i wcale nie jest malarz, ino fryzjer. Pedział, co odpowiedzi nijakiej nie bandzie!

Jean Chardin (1699–1779), *Pokojówka kuchenna*, 1738, olej na płótnie, 46,2 cm x 37,5 cm, Narodowa Galeria Sztuki w Waszyngtonie, © Wikimedia Commons /Visipix.com

Kaśki, Maryśki, Hanki..., czyli panny do obowiązku w krakowskich domach

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec

Żaden porządny krakowski dom nie mógł się obejść bez służącej. Jeszcze pod koniec XIX wieku każda zatrudniona w nim dziewczyna pełniła przydzieloną jej funkcję: były pokojówki, kucharki, praczki i prasowaczki w zależności od tego, ile familia liczyła osób i jak duże były jej potrzeby. Po I wojnie światowej mieszczaństwo zubożało i panie profesorowe, panie doktorowe, panie radczynie zatrudniały często już tylko jedną służącą, którą określano mianem „do wszystkiego".

Los tych dziewczyn nie był godny pozazdroszczenia, co opisała najlepiej Gabriela Zapolska w *Moralności pani Dulskiej*. Ale nie ma się czemu dziwić, gdy uświadomimy sobie, że ustanowione jeszcze w galicyjskim zaborze prawo dopuszczało kary cielesne dla służących, choć „umiarkowane i nieszkodliwe dla zdrowia".

*

Tej nocy Maryśka ani na chwilę nie zmrużyła oka. I to nie tylko dlatego, że jej siostra Aniela już tak bardzo podrosła, iż razem nie mieściły się na ciasnym posłaniu. Sen nie przychodził z zupełnie innego powodu. Świtem miała przecież opuścić chałupę, w której się urodziła, i po raz pierwszy pojechać do wielkiego miasta. Mimo że skończyła już 20 lat, nigdy nie była nawet w Wieliczce, która leży tak blisko jej wsi. A teraz miała ze starym Maciejem jechać do samego Krakowa. Obiecał, że zanim dostarczy na targ warzywa, wysadzi ją na Rynku, przy pomniku Adama Mickiewicza, tam gdzie w czwartki zbierają się panie kapeluszowe, które potrzebują służących.

Gdy ostatni raz spoglądała na krytą strzechą chałupę, w oczach dziewczyny pojawiły się łzy. Stojąca przed domem matka, chyba też trochę chlipała, bo Maryśka dostrzegła, jak zapaską ociera twarz. Ale tylko ona, bo reszta rodziny cieszyła się, że ubywa jedna gęba do jedzenia. Po drodze jednak przestała o tym myśleć, gdyż strasznie była ciekawa, jak ten wielki Kraków wygląda. Rozglądała się dookoła, choć gdy wóz Macieja wjechał na brukowane uliczki, straciła nieco rezon. Wysokie kamienice, hałas dorożek i spieszących się gdzieś ludzi, to wszystko coraz bardziej ją onieśmielało i sprawiało, że zaczęła tęsknić za swoją wsią.

Nie pokazała tego jednak po sobie, gdy dojechali na plac Szczepański, a Maciej kazał jej zejść z wozu. Za to z ciekawością przyglądała się okupującym to miejsce babom, które handlowały czym popadnie: masłem, mlekiem, gdaczącymi kurami i drącymi się indykami. Przekrzykując harmider, Maciej wytłumaczył Maryśce, gdzie ma iść. Palcem wskazał ulicę Szczepańską, prowadzącą do Rynku, następnie Sukiennice, za którymi stał pomnik Adama Mickiewicza. Tam miała pytać o pracę. Wystraszona dziewczyna pomaszerowała przed siebie, po cichu odmawiając koronkę do Najświętszej Panienki, jak nauczył ją ksiądz dobrodziej.

*

„Hanka (całuje ją w rękę): Proszę wielmożnej pani! Ja chciałam prosić, że ja od pierwszego pójdę sobie.
Dulska: Co, jak?
Hanka (ciszej): Pójdę sobie.
Dulska: Ani mi się waż. Ja za ciebie zapłaciłam w kantorze".

*

Pod pomnikiem wieszcza stały ustawione w równym rzędzie kandydatki na służące. Wszystkie miały spuszczone głowy, skromnie patrzyły w dół, by żadna z pań kapeluszowych nie mogła ich posądzić o zuchwałość. Na widok podobnych do siebie kobiet Maryśka poczuła się pewniej i stanęła karnie w szeregu, ściskając w ręce tobołek z rzeczami, które dała jej matka. Kiedy podeszła do niej ubrana w suknię z drogiego materiału dama, kandydatka na służącą „do wszystkiego" skuliła się jeszcze bardziej w sobie. – Gdzie wcześniej pracowałaś? Umiesz zrobić leguminę? Potrafisz dokładnie sprzątać? Pokaż książeczkę służącej!

Grad pytań, jaki spadł na dziewczynę, sprawił, że choć bardzo się starała, nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. – Co ty, niemowa jesteś? – zdenerwowała się pani, poprawiając ręką ozdobne nakrycie głowy. – Nie, tylko że ja pierwszy raz – wydukała dziewczyna. – A, nie masz doświadczenia – roześmiała się dama. – To ja takiej nie chcę, nie będę cię wszystkiego uczyć – dodała podniesionym głosem, tak by inne potencjalne chlebodawczynie usłyszały ją i nie zawracały sobie głowy niedouczonym kocmołuchem.

Maryśka stała w szeregu do końca tego targu niewolnic, z którego raz po raz ubywała któraś z dziewczyn, pokornie tuptając za kapeluszową pa-

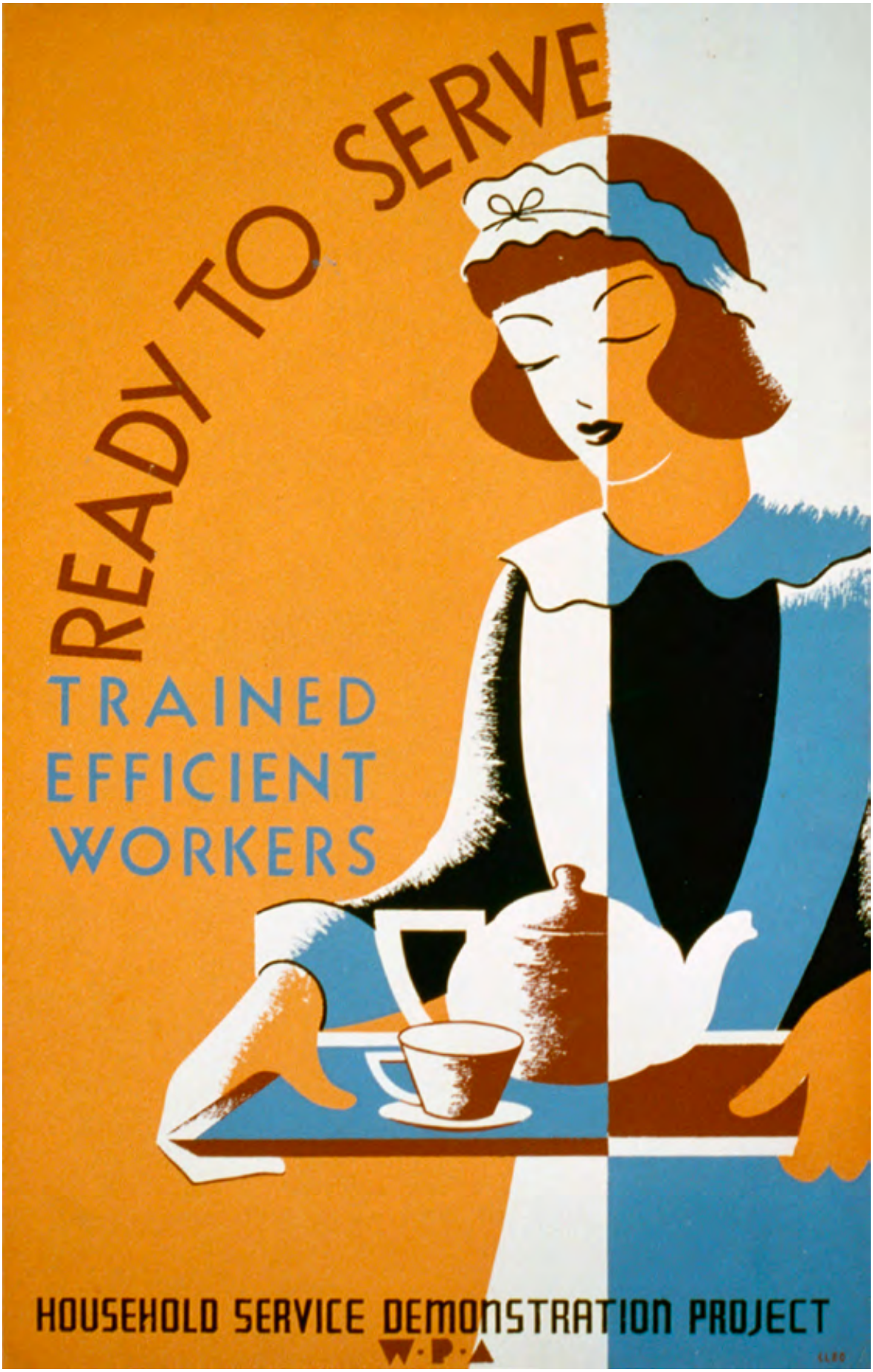

NN, *Pokojówka*, 1939 (plakat administracji rządowej), Biblioteka Kongresu Stanów Zjednoczonych, © Wikimedia Commons

nią. Gdy damy się rozeszły, pod pomnikiem zostało kilka dziewczyn, które nie uznano za godne „pójścia do obowiązku". Maryśka spojrzała na jedną z nich, a w jej oczach rysował się wielki znak zapytania. – Nie wiesz, co masz ze sobą zrobić? – zagadnęła dziewczyna. – Idź, poszukaj kantoru. Tam może ci się poszczęści. Jak chcesz, to chodź ze mną – oświadczyła po chwili zastanowienia, podwijając spódnicę i skręcając w jedną z bocznych uliczek Rynku. Przerażona Maryśka starała się za nią nadążyć, raz po raz pochlipując pod nosem. W końcu doszły do odrapanej kamienicy. Schodząc po ciemnych schodkach, weszły do sutereny, w której na krzesłach rozsiadły się wygodnie kapeluszowe panie, a pod oknem pokornie stały przyszłe służące.

Kobieta w szarym czepku siedziała przy stoliku, przeglądając odłożone na blacie przez dziewczyny książeczki pracy. – A gdzie twoja książeczka? – zwróciła się do Maryśki, która znowu zapomniała języka w gębie. – Ona jest nowa, nie ma – odparła za nią koleżanka. – O, to pójdzie taniej – westchnęła agentka, wzrokiem szukając siedzącej na krześle, ubranej na czarno, dojrzałej kobiety. – To wielmożna pani szukała taniej służącej „do wszystkiego". Ta będzie dobra, bo dopiero zaczyna – wskazała palcem na pąsową ze wstydu dziewczynę.

Kiedy kobiety zaczęły się targować, co do ceny za pośrednictwo, Maryśka stała wciąż pokornie pod oknem ze spuszczoną głową, jakby cała ta transakcja jej nie dotyczyła. Nie miała pojęcia, za ile została kupiona i u kogo będzie pracować. Bez słowa szła za swoją panią, która przystanęła pod kamienicą przy ul. Łobzowskiej, domagając się od dozorcy, by szybciej otworzył bramę. Gdy weszły do mieszkania, zachwycił ją widok ogromnego salonu, jakiego w życiu nie widziała. Nie widziała też tylu kredensów, stoliczków, nie mówiąc już o fortepianie czy ozdobnym żyrandolu, który zwisał z sufitu. A parkiety? Tak się błyszczały, że strach było na nie wejść, żeby się nie pośliznąć.

Dziewczyna nie miała szansy długo się rozglądać, bo pani wskazała jej drogę do kuchni, pytając, jak ma na imię. – Maryśka – odparła już nieco ośmielona dziewczyna. – U mnie zawsze były Kaśki. I tak będę się do ciebie zwracać – oświadczyła dama nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Najpierw będziesz u mnie za wikt i opierunek, bo jeszcze niczego nie umiesz.

*

„Dulska: Jak palisz, skaranie Boże z tym tłumokiem. Do krów, do krów, nie do pańskich pieców. Czego niszczysz tyle smolaków! Czekaj, ustąp się, ty do niczego. Ja ci pokażę".

*

Dzień Kaśki zaczynał się o 5 rano. Wtedy miała wstać i zacząć rozpalać w piecach, by opuszczający łóżka domownicy nie marzli. Gdy już się z tym uporała, pędziła po świeże bułki, a punktualnie o godzinie 7 podawała je państwu z masłem i z kawą zbożową. Oczywiście nigdy nie jadała z chlebodawcami. Jej miejsce było przy kuchennym stole. Białe pieczywo było dla niej za drogie, dla siebie kupowała więc ciemny chleb. Ale Kaśka nie narzekała, bo żołądek miała zawsze pełny. Nie tak jak w domu, gdzie na przednówku brakowało nawet ziemniaków.

Kiedy pan udawał się do pracy, dzieci do szkoły, a pani szykowała się w łazience, zajmowała się ścieleniem łóżek. Najpierw szło jej to opornie, bo nigdy wcześniej tego nie robiła i nieraz dostała od pani po głowie za źle wyrównane prześcieradło. Ale kiedy panienka nauczyła ją już trochę czytać i dała do ręki pismo dla służących, to dowiedziała się z niego wielu praktycznych rzeczy. Na przykład takich: „Przykrycia z łóżek należy porządnie złożyć, pierzyny poodwijać, pantofle przy łóżku położyć, świece i zapałki uszykować na nocnym stoliku, wodę brudną z umywalni wylać i przynieść czystej, tak samo w karafkach do picia".

Z gotowaniem było jednak gorzej. Zanim nauczyła się przyrządzać ulubione dania pana, nieraz pani wymierzyła jej srogi policzek, tak że ledwo następnego dnia mogła pokazać się na targu. Ale przynajmniej kupowanie szło jej dobrze. Na Kleparzu potrafiła znaleźć najtańsze warzywa i tak się targować, że rzeczywiście dostawała je za bezcen. Starała się to robić, bo za to pani pozwalała jej postać wieczorem z innymi służącymi w bramie. Ale oczywiście dopiero wtedy, kiedy już podała państwu kolację, obowiązkowo na ciepło, i pozmywała po niej naczynia. Wtedy to szła na dół, by poplotkować z Rózią, która służyła na drugim piętrze tej samej kamienicy.

Kaśka bardzo ją lubiła. Była w jej wieku, ale wychowana w mieście Rózia dużo więcej niż ona wiedziała o życiu. W każdą niedzielę tuż przed 5 rano szły razem do dominikanów na mszę dla służących. Mogły sobie na to pozwolić, bo pracodawcy tego dnia wstawali nieco później. A co drugą niedzielę obydwie dostawały od państwa wolne popołudnie. Wtedy stroiły się w świąteczne koszule, spódnice i spacerowały niczym prawdziwe damy po ulicach, zatrzymując się przed witrynami sklepów.

Kiedyś Rózia, która chciała znaleźć męża, wymyśliła nawet, żeby poszły na zabawę, ale pani Kaśki nie puściła. – Pójdziesz tam po moim trupie. Żebyś mi później sprowadziła tu jakiegoś absztyfikanta. Jak przyjdzie czas, sama ci znajdę narzeczonego – krzyczała, każąc Kaśce ponownie czyścić srebra. I jakoś nie przeszkadzało jej, że panicz raz po raz podszczypywał dziewczynę, a nawet to, że pan patrzył na nią dziwnie, gdy z podwiniętą spódnicą szorowała podłogi.

*

„Hanka: Proszę wielmożnej pani, to przez panicza.
Dulska: A...
Hanka: Tak... Ja nie chcę – bo to...
Dulska: Znowu.
Hanka: Ciągle – a to to – a to tak... a ja przecież.
Dulska (nie patrząc na nią): Dobrze, ja mu powiem.
Hanka: Proszę wielmożnej pani, to na nic. Przecież wielmożna pani już nie raz, nie dwa mówiła, że mówiła...".

*

Najgorzej było, kiedy pan zapowiadał, że wróci późno, bo ma bardzo dużo pracy. Wtedy zdenerwowana pani kazała wcześniej podawać kolację, po której zaraz szła do łóżka, mówiąc, że ma migrenę. Kiedy Kaśka kładła jej okłady na głowę, już wiedziała, iż sama w nocy się nie wyśpi. Pan wracał wtedy zawsze wejściem dla służby i zataczając się, przechodził przez kuchnię, w której Kaśka spała. W domu

była wprawdzie malutka służbówka, ale pani urządziła tam składzik na różne rzeczy i Kaśka co wieczór musiała rozkładać sobie posłanie koło kuchennego stołu.

Raz pan upadł na jej łóżko i zaczął jej rozpinać koszulę. Nie wiadomo, jakby się to skończyło, gdyby nie był aż tak pijany, że udało się jej go zrzucić z siebie i uciec do łazienki. Następnego dnia wieczorem opowiedziała o tym Rózi, która bardzo się zmartwiła, gdyż jej siostra miała podobne problemy z paniczem, w którego domu służyła. Zaszła z nim w ciążę, a gdy pani się o tym dowiedziała, wręczyła jej książeczkę pracy i kazała odejść. Biedna dziewczyna nie mogła z brzuchem wrócić na wieś, w mieście też nie miała gdzie szukać pomocy. Dopóki ciąża nie była widoczna, spała u Zytek, które prowadziły noclegownię dla panien służących przy ul. Radziwiłłowskiej.

Było to, działające przy kościele św. Barbary, Stowarzyszenie Sług Katolickich pod wezwaniem św. Zyty. Roztaczało ono opiekę nad służącymi, które się do niego zapisały. Oczywiście musiały się one dobrze prowadzić, więc siostra Rózi nie mogła przyznać się do tego, że spodziewa się dziecka. Na szczęście, gdy ciąża zaczęła być widoczna, przygarnęła ją znajoma, która mieszkała z mężem w Podgórzu, a po porodzie pomogła znaleźć rodzinę, która za stosowną opłatą mogłaby się zaopiekować dzieckiem, a dziewczyna znowu pójść na służbę.

To był wówczas dość opłacalny interes, choć jak Kaśka przeczytała kiedyś w zostawionej przez pana na stole gazecie, czasami kończył się tragicznie dla niemowlęcia. Tak jak w wypadku chłopca, którego matka oddała na wychowanie Katarzynie J. z Trzebini. Pewnego dnia owa kobieta wsadziła go do worka i wyniosła do lasu. Uderzała workiem tak długo, aż dziecko umarło. Dziennikarz poetycko nazwał morderczynię „fabrykantką aniołków", a Kaśka czytając to, aż zbladła.

Ona sama miała więcej szczęścia. Niebawem wyszła za mąż za dozorcę z sąsiedniej kamienicy i odeszła „z obowiązku". Pani wręczyła jej książeczkę służącej, pisząc całkiem dobrą referencję, która umożliwiła jej szybkie znalezienie pracy. U nowych państwa służyła aż do wybuchu wojny.

*

Od 1945 roku w Polsce Ludowej nie istniał już ktoś taki jak służąca. Zastąpiły ją gosposie lub pomoce domowe, które nie szły „do obowiązku" czy „na służbę", ale do pracy. Na gosposie pozwalały sobie przede wszystkim wykształcone kobiety, które realizowały się zawodowo i decydowały się poświęcić część swojej pensji, by ktoś inny zastąpił je w prowadzeniu domu. Pomoce domowe miały też żony wysokich działaczy partyjnych. Teraz chlebodawczynie musiały jednak zmienić swój stosunek do pani Kasi czy pani Marysi, bo tak już należało się do nich zwracać. Prawo, które wcześniej pozwalało bić służącą, przestało na szczęście obowiązywać, podobnie jak obowiązek wstawania, gdy pani się do nich zwracała.

Zresztą powojenne gosposie bardzo zhardziały i nie pozwalały sobą pomiatać jak wcześniej. Przeważnie nie mieszkały już z państwem, były pomocami dochodzącymi, z ustaloną liczbą godzin pracy i wynagrodzeniem. Choć większość z nich pochodziła ze wsi i nie miała wykształcenia, to doskonale wiedziały, że jeżeli będą musiały odejść, opiekuńcze państwo się nimi zajmie i zostaną zatrudnione na przykład w fabryce.

Rok 1989 przyniósł kolejną zmianę. Coraz więcej osób stać było na to, by zatrudniać panie do pomocy w domu. Zaczęły powstawać profesjonalne agencje, które nie przypominają już nieszczęsnych kantorów w suterenach. Przeszkolony personel dobiera kobiety zgodnie z zapotrzebowaniami klientów.

– Pierwszą panią zatrudniłem przez agencję. Była to Ukrainka, która robiła to, na co nigdy nie miałem czasu. Sprzątała dokładnie całe mieszkanie, prasowała mi koszule... Kiedyś zrobiła bliny i tak mi posmakowały, że od tego czasu dopłacałem jej za gotowanie przynajmniej jednej potrawy w tygodniu – opowiada krakowski lekarz, który po powrocie Larisy na Ukrainę, kolejne gosposie zatrudniał z jej polecenia. Były to kobiety, które przyjeżdżały do Polski na krócej lub dłużej, by utrzymać pozostawioną za granicą rodzinę.

– Zaczęłam zatrudniać panie do pomocy, kiedy przeprowadziłam się do nowego, dużego domu. Ponieważ nie chciałam wpuszczać do domu kogoś obcego, za każdym razem zatrudniałam gosposie, które polecały mi koleżanki. Uważam, że poczta pantoflowa jest lepsza od agencji – mówi Beata, właścicielka dobrze prosperującej firmy, dodając, że kobiety, które u niej sprzątają, robią to przez całe lata, stając się niemal członkiem rodziny.

Przedwojenne Maryśki, Kaśki i inne służące do wszystkiego pewnie słysząc to, bardzo by się zdziwiły. Choć jak opowiadała mi sprzątająca u jednej z krakowskich rodzin Ukrainka, takie podejście do pomocy domowych nie jest regułą. – Pani, u której sprzątam, traktuje mnie jak śmiecia. Naogląda ła się *Perfekcyjnej pani domu* i biega z białą szmatką, sprawdzając, czy nie ma gdzieś kurzu. Ale do tego się przyzwyczaiłam. Natomiast nie mogę znieść, kiedy przychodzą do niej koleżanki i każe mi zakładać czarną sukienkę, biały fartuszek i czepek, który kupiła dla mnie we Włoszech w specjalnym sklepie dla służących. Czuję się wtedy, jakbym wyskoczyła z *Lalki* Prusa. Bo tak się składa, że studiuję polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ale się do tego nie przyznaję, gdyż mogłabym stracić pracę – mówi Ukrainka, którą poznałam przez internet.

Korzystałam z książki Joanny Kuciel-Frydryszak *Służące do wszystkiego*. Cytaty pochodzą z *Moralności pani Dulskiej* Gabrieli Zapolskiej.

Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Rozmowy istotne przy żurku i pomidorowej

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** z archiwum (i dzięki uprzejmości) Łukasza Maciejewskiego

W trakcie czytania książki Łukasza Maciejewskiego i Krzysztofa Orzechowskiego *Wpadnij, to pogadamy...* ma się ochotę zamówić szybko taksówkę i dołączyć do wymiany ich myśli.

To nie jest zwykły wywiad rzeka. To w ogóle nie jest wywiad. To niewymuszone pogaduchy dzisiejszych inteligentów, których wprawdzie dzieli dość spora różnica wieku, ale łączy erudycja, ten sam zachwyt nad wielką literaturą, klasyką filmową czy teatralną. Bo zarówno Krzysztof Orzechowski – aktor, reżyser, wykładowca akademicki i wieloletni dyrektor Teatru im. J. Słowackiego, jak i Łukasz Maciejewski – krytyk i również wykładowca (a także autor „Krakowa”), wywodzą się z jednego pnia kulturowego. Staje się on platformą ich porozumienia, choć nie zawsze się ze sobą zgadzają. Ale, co istotne dla czytelnika, zawsze potrafią uszanować swój punkt widzenia.

Dzięki temu ich spotkania zmieniają się w rozmowy, podczas których nikt ze sobą nie walczy, za to chce się nawzajem zrozumieć. Niezależnie od tego, czy chodzi o tematy polityczne, obyczajowe czy artystyczne. A szczególnie bliskie są im te ostatnie. Stają się one puntem wyjścia rozważań na temat środowiska teatralnego, zmian, jakie w nim zachodzą, a których obydwaj rozmówcy są uważnymi obserwatorami.

Orzechowski występuje tu w roli nie zawsze wygodnego świadka tych przemian, niemogącego pogodzić się ze znikaniem bliskiej mu sztuki teatru, w której liczył się autor i twórcy interpretujący jego słowa. Zastanawia się choćby nad tym, czy teatr musi odchodzić od linearności fabuły, jeżeli film przy niej zostaje, i czy intelektualną refleksję muszą zastępować efekciarskie pomysły. Anna Dymna, która dołącza czasami do rozmowy, podając panom właśnie ugotowany żurek albo pomidorową, wyraża także swój pogląd na poruszane przez nich kwestie, nie zawsze przytakując mężowi. Jej spojrzenie choćby na jeden ze spektakli Krzysztofa Garbaczewskiego jest odmienne, ale dzięki temu staje się pretekstem do kolejnych refleksji i dygresji, w które Krzysztof Orzechowski po mistrzowsku ucieka. Ale Łukasz Maciejewski, jak na wytrawnego dziennikarza przystało, jest czujny. Z powrotem naprowadza rozmowę na właściwe tory, a momentami prowokuje rozmówcę, skłaniając go do bardziej osobistych wyznań, dzięki którym poznajemy wiele szczegółów z jego biografii.

A gdy powracają wspomnienia, pojawia się główny temat książki, czyli czas. Czas niegdysiejszy, który odcisnął piętno na sposobie myślenia rozmówców, ale też czas przyszły, ten popandemiczny, do którego bohaterowie książki podchodzą z młodzieńczą wręcz ciekawością. Aż chciałoby się z nimi o tym pogadać.

Wpadnij, to pogadamy... Rozmowy Łukasza Maciejewskiego z Krzysztofem Orzechowskim, Universitas, Kraków 2020.

Leszek Balcerowicz – profesor Szkoły Głównej Handlowej (SGH) w Warszawie, twórca planu zmian ekonomicznych w Polsce po upadku komunizmu; wicepremier i minister finansów w pierwszych dwóch niekomunistycznych rządach III RP oraz w latach 1997–2000; prezes Narodowego Banku Polskiego w latach 2001–2007; doktor *honoris causa* 32 uczelni krajowych i zagranicznych; wyróżniany prestiżowymi nagrodami i odznaczeniami – w Polsce między innymi Orderem Orła Białego (2005), a za granicą między innymi nagrodami im. Miltona Friedmana, Ludwika Erharda, Friedricha von Hayeka, mistrz Polski juniorów w biegach przełajowych w 1965 roku. Założyciel i przewodniczący rady think-tanku Forum Obywatelskiego Rozwoju.

Mniej narzekania, więcej działania!

Rozmawiała Ewa Lipska **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Leszek Balcerowicz: Przyszłość jest otwarta – autorytarna transformacja nie musi się zakończyć sukcesem. Wszystko zależy od zmobilizowanej i dobrze zorganizowanej aktywności obywatelskiej. Mniej narzekania, więcej działania!

Ewa Lipska: W artykule *Sprawiedliwość wymiaru sprawiedliwości*, poświęconym profesorowi Janowi Widackiemu, analizujesz problem sprawiedliwości w systemie socjalistycznym i w liberalnej demokracji. Co się dzieje, kiedy następuje odwrót od liberalnej demokracji?

Leszek Balcerowicz: Słowo „sprawiedliwość" jest nadużywane. Częściej na zasadzie lenistwa umysłowego, jakiejś inercji, jeżeli używa się go w odniesieniu do organów takich jak prokuratura czy sądy, nazywając je właśnie wymiarem sprawiedliwości. Inercja języka, jak wiemy, ma swoje znaczenie, wpływa na myślenie poprzez emocje. Dlatego trzeba to demaskować. Jak pierwotne znaczenie słowa odrywa się jaskrawo od rzeczywistości. Wracając do pytania – ja też się interesuję, podobnie jak wielu innych, tym, co się dzieje, gdy po wolnych wyborach dochodzi do władzy partia, która zmierza do tego, aby to były ostatnie wolne wybory.

Oby nie...

Trochę jest tutaj przypadków i trochę badań. Nazywa się to zwykle autorytarną transformacją. Przykład – Aleksander Łukaszenka, który w 1994 roku wygrał autentycznie wolne wybory na Białorusi. Inny przykład – Władimir Putin. On nie zmanipulował wyborów w 1999 roku. On je wygrał, a były to w miarę wolne wybory. Kolejny przykład – Recep Erdoğan w Turcji, gdzie nie były to całkiem wolne wybory, ale nie były ordynarnie sfałszowane. Wreszcie mamy Victora Orbana, który w 2010 roku wygrał wybory – też niesfałszowane.

Z faktu, że ktoś wygrał wolne wybory, nie wynika, że potem dobrze z moralnego i merytorycznego punktu widzenia działa aparat władzy. Powstaje pytanie – co się dzieje potem? Otóż po pierwsze – jak na razie na Białorusi, w Rosji autorytarna transformacja jest zakończona. To znaczy, że opozycja, jeśli istnieje, nie może wygrać wolnych wyborów. Jej przedstawiciele są represjonowani, zamykani w więzieniach albo ordynacja wyborcza jest tak zdeformowana, że nie sposób wygrać. To być może być też przypadek Orbana, choć mam nadzieję, że tam opozycja się zmobilizuje. Drugi przypadek, który znam, to odwrócona demokratycznie transformacja. Dyktatura jeszcze nie jest całkiem zainstalowana i jest w wolnych wyborach zlikwidowana. Tak się stało w Macedonii, gdzie parę lat rządził miejscowy satrapa, który się nazywał Nikola Gruewski. Co ciekawe – poprosił o azyl w Budapeszcie. Trzeci przypadek jest nasz. Przyszłość jest otwarta – to znaczy ta autorytarna transformacja nie musi się zakończyć sukcesem. Wszystko zależy od zmobilizowanej i dobrze zorganizowanej aktywności obywatelskiej. Mniej narzekania, więcej działania!

Z faktu, że ktoś wygrał wolne wybory, nie wynika, że potem dobrze z moralnego i merytorycznego punktu widzenia działa aparat władzy.

We wstępie do książki *Odkrywając wolność. Przeciw zniewoleniu umysłów* piszesz, że „wolność jest jak zdrowie" i że walka o wolność nigdy się nie kończy, że musimy stale być czujni. Z drugiej strony, następuje coś w rodzaju znużenia wolnością. Jest to widoczne szczególnie w sytuacjach kryzysowych, kiedy część społeczeństwa zaczyna tęsknić za silnymi, autorytarnymi rządami.

Tak się często twierdzi. Jako osoba, która stara się trzymać rygorów badań empirycznych, nie przypominam sobie jakichś głębszych badań. Może to jest nadmierna generalizacja. Powiedziałbym tak: w najbardziej skrajnych przypadkach ludzie wiedzą, co im odebrano, to znaczy wolność, ale są zastraszeni. Ryzyko zorganizowanych wystąpień jest zbyt duże. Weźmy jako przykład Koreę Północną albo Kubę. Wtedy potrzebny jest jakiś wstrząs zewnętrzny, przegrana wojna albo jakieś zamieszanie w aparacie władzy, żeby nastąpiła zmiana. Do pewnego stopnia kwalifikuje się

to, co było w Polsce w końcówce lat 80. minionego wieku. Tutaj ważnym czynnikiem był rosnący kryzys gospodarczy i rosnąca świadomość ówczesnych władz, że same nie są w stanie sobie poradzić, to znaczy nie zaryzykują ruchów, które rzeczywiście były ekonomicznie konieczne, żeby wyjść ze stopniowego upadku gospodarki.

W przypadkach mniej skrajnych, jak w Polsce, gdzie jak na razie i oby tak dalej, nie odebrano elementarnych wolności obywatelskich, to jednak nie sądzę, żeby ludzie, którzy rozumieją i czują znaczenie tych wolności, byli już zmęczeni. Mam wrażenie, że oni są tylko wciąż zbyt słabo zorganizowani. To jest do poprawy.

Rząd zyskuje poparcie poprzez finansowe podarunki: 500 plus, obniżenie wieku emerytalnego...

To inna sprawa. Ja tylko odnoszę się do tezy o zmęczeniu wolnością. Nie sądzę, żeby to było zmęczenie wolnością. To raczej słaba organizacja. Tu mamy wiele do poprawy, bo potencjał jest duży. Na przykład w reakcji na ten skandaliczny konstytucyjnie i moralnie wyrok pseudo-Trybunału Konstytucyjnego, potrzebne jest stworzenie potężnej sieci internetowej, która by wpływała na resztę społeczeństwa. I to jest do zrobienia. Ta sieć jednocześnie przygotowałaby potężne wystąpienia w realu, czyli w rzeczywistości nieinternetowej. To też jest do zrobienia. Oraz wskazanie posłów, którzy się podpisali pod wnioskiem do pseudo-Trybunału, którzy mogą przegrać wybory z tego powodu. Tylko trzeba tam działać, żeby oni odczuli ryzyko swoich postępków na własnej skórze.

Nie sądzę, żeby ludzie, którzy rozumieją i czują znaczenie wolności, byli już zmęczeni. Oni są tylko wciąż zbyt słabo zorganizowani. To jest do poprawy.

Generalnie ten aktyw PiS składa się z różnych ludzi. W części, chociaż rzadko, to są fanatycy określonych spraw – na przykład absolutnego zakazu aborcji, ale to, moim zdaniem, jest niewielka grupa. Inni to są tacy, którzy w gruncie rzeczy są oportunistami, ale poszukują ideologicznego usprawiedliwienia. Ale to są łajdacy. A po trzecie – to są tacy, jak moim zdaniem Jarosław Kaczyński, którzy są amoralni. To znaczy, ich to w gruncie rzeczy nie obchodzi, ale próbują sobie kalkulować, co się bardziej opłaci, by zachować władzę. Nie muszą kalkulować poprawnie. Nie wierzę, że Kaczyński jest takim geniuszem, on po prostu miał po 2015 roku niebywały fart. Dwa ostatnie ruchy w ciągu 2–3 tygodni – z jednej strony tak zwana piątka dla zwierząt, która wzburzyła część wsi, a z drugiej – skrajny zakaz aborcji, który z pewnością i zasadnie wzburzył masę ludzi, to jest moralnie haniebne. Zwolennicy to doktrynerzy bez empatii. To jest chyba definicja doktrynerstwa. Jeżeli na czele znajdują się amoralni, to oni, po pierwsze, są bezwstydni, więc nie ma sensu ich zawstydzać, liczą się natomiast z ryzykiem. I takie ryzyko trzeba dla nich tworzyć przez zorganizowane społeczeństwo obywatelskie. To się da wymyśleć i wprowadzić w życie. Nie chaotyczne, tylko zorganizowane akcje. Nade wszystko jest ważne, żeby ludzie popełniający haniebne czyny w różnych dziedzinach – czy to PiS-prokuratorzy, czy PiS-sędziowie byli znani z nazwiska. Anonimowość chroni łajdaków.

A wracając do socjalnej ofensywy rządu, mającej zagwarantować wyborcze zwycięstwo...

Przedstawię swoją krótką teorię trzech narzędzi, których używa każda władza, każda grupa dążąca do likwidowania wolnych wyborów, czyli do wprowadzenia dyktatury. Po pierwsze – przekupują w taki sposób, żeby zwiększyć liczbę zwolenników. Tak samo robi się w niektórych demokracjach, nie tylko w Grecji, więc to nie jest specyficzne dla autorytarnych transformacji, ale jest w ich repertuarze. Po drugie, i to jest specyficzne, opanowywanie mediów, opanowanie tego, co się da. Po trzecie, i to jest broń ostateczna – zastraszenie ludzi.

Co mamy w Polsce teraz? W Polsce mieliśmy przekupywanie przez 500+. Możliwość łatwego sfinansowania wynikała z faktu, że w latach 2016–2017 było ożywienie w Europie, które się skończyło. Liczba Ukraińców napływających do pracy do Polski się podwoiła – ale to się też skończyło. Te zewnętrzne impulsy podbiły wzrost gospodarczy, co umożliwiło sfinansowanie bez większych kłopotów owych socjalnych prezentów. Tylko że ta bonanza się skończyła. Jeżeli będą chcieli finansować wydatki przez masowe drukowanie pieniędzy przez NBP, gdzie jest zainstalowana ekipa PiS-u, to będzie miało swoje konsekwencje dla ludzi.

Ale rządzący wiedzą, że przegrana wyborów może mieć nieprzyjemne konsekwencje, bo ktoś będzie chciał kogoś rozliczyć. A więc zrobią wszystko, aby tej władzy nie oddać. Strach sprzyja demoralizacji, samowoli, arogancji – chociaż Seneka twierdził, że „nikt rządów gwałtu nie utrzyma długo".

To jest typowe dla każdej władzy, która boi się społeczeństwa. Być może Putin chętnie by gdzieś wyjechał i odpoczął w dobrych warunkach, ale nie może, bo się boi. Łukaszenko broni tej władzy nie tylko ze względu na to, że ją zapewne lubi, ale też się boi. To jest typowe. Jak się pali mosty, a myślę, że Kaczyński doprowadził do tego wielu aktywistów PiS, więc się ze strachu konsolidują. Ale konsolidacja nie musi wystarczyć dla zachowania władzy, jeżeli po pierwsze – wysycha źródło łatwego finansowania. A ono wyschło, teraz będzie trudniej. Po drugie – jeżeli chodzi o skalę i zakłamanie oficjalnej propagandy, to nie mogą się posunąć dalej, bo osiągnęli maksimum. Tu nie ma przyrostu, więc gdzie będą się starali? Będą się więc starali i to, jak widać, robią – zastraszać aktywnych ludzi w społeczeństwie obywatelskim poprzez przechwycony aparat pseudosprawiedliwości, to znaczy wybranych prokuratorów i wybranych pseudosędziów. To trzeba i można odeprzeć. Bardzo ważne jest, żeby każdy funkcjonariusz wysługujący się niemoralnie władzy był publicznie znany i nagłaśniany. Pamiętam opowieści o tym, jak w PRL-u esbecy bronili się przed podaniem nazwisk. Ujawnianie złoczyńców to broń społeczeństwa obywatelskiego.

Mamy niestety słabą opozycję.

Tu widzę spore pole do poprawy. Czynnikiem sukcesu jest profesjonalizm. Profesjonalizm oznacza, że się tworzy właściwie dobierane z ludzi struktury do zadań. Jedni przewidują, co może się zdarzyć, inni badają opinię publiczną.

Jeżeli jest się posłem przez dwadzieścia lat i ma się taką świetną posadę, to przestaje się być politykiem. Chcesz tylko wygrać kolejne wybory, aby dalej nic nie robić. To jest demoralizujące. Czy nie uważasz, że powinny być jakieś ograniczenia czasowe? Jesteś posłem przez pięć lat, a potem do widzenia...

Zgadzam się. W Stanach Zjednoczonych od dziesięcioleci walczą o to, żeby był tak zwany *term limit* – aby kongresmani, senatorowie nie mogli, tak jak w praktyce, być prawie dożywotnio. Do tej pory się nie udało, bo ci, którzy mieliby zadecydować o wprowadzeniu tych ograniczeń, głosują przeciw. Ale to jest właściwy kierunek, również w Polsce. Dlatego że, po pierwsze – ci, którzy są przez dwie, trzy, cztery kadencje, potem już tracą zawód i nie mają powrotu do pracy. I dlatego kurczowo trzymają się poselskich posad, blokując napływ nowych ludzi. Wtedy może powstać wrażenie, że wytworzyła się odrębna kasta polityczna, która blokuje innych. Zamiast przeforsować ograniczenie liczby kadencji, to się tworzy ruchy, które nie mają być partią, mają stać się grupą nowych ludzi w polityce. Zgadzam się z tym, że powinno się wprowadzić na wszystkich stanowiskach wybieranych dwie, na przykład, kadencje.

Czasem mi się wydaje, że ich praca sprowadza się do naciśnięcia guzika...

Jednak są różni ludzie. Nie należy wrzucać aktywu PiS-owskiego do worka z innymi partiami. Nie twierdzę, że politycy opozycji są aniołami, ale na pewno się różnią. Pod względem charakterologicznym, poglądów itd.

Ciągle jest za mało dobrej organizacji. Ale ponieważ da się wiele zrobić, to powinno być źródłem optymizmu. Nie jest tak, że opozycja osiągnęła szczyty. Trzeba też pamiętać, że Andrzej Duda nie wygrał uczciwych wyborów, bo te wybory nie były uczciwe. Gdyby nie było takiej agresywnej propagandy PiS-owskich mediów, to najprawdopodobniej by przegrał. Pomimo dość słabej organizacji opozycji.

Carlos Fuentes w jednym z esejów pisze o szkodliwych skutkach globalizacji, która wymyka się wszelkiej kontroli politycznej, państwowej czy międzynarodowej. Uważa, że powinna ona być poddana większej kontroli.

Mam szacunek dla artystów, kiedy występują w roli artystów. Nie zawsze jednak wypowiedzi artystów na nieartystyczne tematy zasługują na szacunek. Tak jest w tym przypadku. Dlaczego? Dlatego że, po pierwsze, trzeba w miarę precyzyjnie zdefiniować globalizację, a nie używać tego słowa jako straszaka.

Ale mu się oberwało... Powinnam go bronić.

Ludzie, którzy są sławni zasłużenie pewnie w swojej dziedzinie, niekoniecznie mówią mądre rzeczy w innych dziedzinach, bo nie poświęcili temu dostatecznie dużo czasu. Wielkie umysły w nauce, choćby Einstein, były używane do tego, aby wypowiadać się poza swoją dziedziną. Kiedy Einstein wypowiadał się na tematy, którymi się nie zajmował i nie używał swojego wielkiego umysłu, to mówił głupstwa. To jest moja teoria wielkich ludzi wypowiadających się na nieswoje tematy.

Nade wszystko jest ważne, żeby ludzie popełniający haniebne czyny w różnych dziedzinach – czy to PiS-prokuratorzy, czy PiS-sędziowie – byli znani z nazwiska. Anonimowość chroni łajdaków.

Globalizacja oznacza świat, w którym ludzie w różnych celach – społecznych, towarzyskich, gospodarczych – mogą się swobodnie komunikować. Nie tylko we własnym kraju,

ale również z innymi krajami. Co jest przeciwieństwem globalizacji? Izolacja. Wiemy z badań, jak szkodliwa jest izolacja, również w gospodarce, w porównaniu z globalizacją, czyli możliwością otwartych kontaktów. Są ludzie, dla których operacje na słowach stwarzają wrażenie, że to są operacje na rzeczywistości niewerbalnej. Ale to jest nieporozumienie. Tu żadna aluzja.

No, w towarzystwie Einsteina jest mi już raźniej... Robert Wilson i Paul Milgrom, tegoroczni nobliści z dziedziny ekonomii, zajmują się między innymi „ulepszaniem teorii aukcji". Na czym to polega?

Nie zajmowałem się tym, dlatego mogę tylko z grubsza skomentować. To są w gruncie rzeczy matematycy, co jest komplementem. W niektórych dziedzinach ekonomii mamy matematyzację. Oni skonstruowali lepsze modele aukcji. Okazało się, że ich modele się sprawdziły w rzeczywistości – to znaczy dają lepsze wyniki niż wcześniejsze. Są rzadkim przypadkiem wynalazców w dziedzinie ekonomii. Tego rodzaju osiągnięcie zasługuje zdecydowanie na Nagrodę Nobla.

Władza będzie się starała – i już to robi – zastraszać aktywnych ludzi w społeczeństwie obywatelskim poprzez przechwycony aparat pseudosprawiedliwości, to znaczy wybranych prokuratorów i wybranych pseudosędziów. To trzeba i można odeprzeć.

Minęło wiele czasu od słynnego planu Balcerowicza, ale znalazłam smakowity cytat Jarosława Kaczyńskiego, który mówił o planie, a więc i o Tobie: „To jego wielkość, wiekopomna zasługa, której nikt odebrać nie może. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że wszystkie działania były zupełnie oczywiste, a już najbardziej oczywisty był kierunek reform w Polsce". Słynne hasło „Balcerowicz musi odejść!" natchnęło nas w Krakowie do zorganizowania twoich urodzin pod tytułem „Balcerowicz musi obejść". Impreza odbyła się w Nowej Prowincji z udziałem między innymi Wisławy Szymborskiej, Grzegorza, Maryny i Tosi Turnauów, Michała Rusinka, Bronisława Maja, Sebastiana Kudasa. Pamiętasz? Czy Jarosław Kaczyński wolałby teraz o tych słowach zapomnieć?

Tego nie wiem. Pamiętam natomiast, że na przełomie roku 1989 i 1990, kiedy on jeszcze był w kancelarii Lecha Wałęsy, to nie należał do oponentów. Szczerze lub nieszczerze – myślę, że wtedy szczerze – uważał, że kierunek szybkiej transformacji gospodarczej jest lepszy niż powolnej czy rozłożonej w czasie albo odłożonej itd. To była prawda. W tej chwili po 30 latach mamy bogaty materiał empiryczny, na podstawie którego widzimy, że kraje, które nie poszły drogą radykalnych i całościowych zmian w systemie polityczno-gospodarczym, osiągnęły dużo gorsze rezultaty i mają o wiele niższy poziom życia niż Polska. Podobną drogą szły kraje bałtyckie – były również zdecydowanymi, śmiałymi reformatorami. Tak mogę skomentować ówczesną wypowiedź, co nie zmienia oczywiście tego, co powiedziałem wcześniej o Jarosławie Kaczyńskim.

Wiem, że z żona Ewą lubicie wędrować po świecie. Które miejsca szczególnie zapadły Wam w pamięci?

Włochy – odbyliśmy z Ewą kilka podróży samochodem po Włoszech. I zachód Stanów Zjednoczonych ze względu na fantastyczną przyrodę – parę razy tam byliśmy. Ograniczę się może do tych dwóch. Oczywiście, wiele miejsc wspaniałych oglądamy tylko w National Geographic.

Też lubię tę stację.

Są też świetne filmy dokumentalne o zwierzętach w Polsacie.

Macie jakieś zwierzęta?

Nie. Jakoś tak się ułożyło. Nasza córka miała i nadal ma silne uczulenie na sierść.

Czego życzyłbyś Polsce na najbliższe lata?

Generalnie życzę ludziom w Polsce mniej narzekania, a więcej dobrze zorganizowanego obywatelskiego działania.

Cyceron mówił: „Bądźmy niewolnikami prawa, abyśmy mogli być wolni".

Mówił oczywiście o dobrym prawie – o takim, które daje szerokie godności obywatelom. Chociaż wiemy, że w starożytnym Rzymie nie dotyczyło to niewolników.

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Marek Braun, projekt *Wracaj,* reż. A. Augustynowicz, Teatr Współczesny w Szczecinie, Teatr Powszechny w Łodzi

Więcej groteski jest, owszem

Rozmawiali Witold Bereś i Krzysztof Burnetko **Zdjęcia:** Grzegorz Kozakiewicz

Marcin Świetlicki: Rewolucję trzeba wspierać. Wszystko, co może doprowadzić do upadku tej władzy, wszystko, co ma szansę unieważnić tę żałosną opozycję, jest niezmiernie cenne. Wyłączyłem na chwilę sceptycyzm. Ale on powróci. Wiadomo.

Witold Bereś, Krzysztof Burnetko: Co się stało, że wybitny poeta nagle oświadcza, że muzyka jest dla niego ważniejsza niż literatura? I robi to na łamach „Jazz Forum”...

Marcin Świetlicki: Niczego nowego nie powiedziałem, zawsze tak było. W muzyce i literaturze szukałem tego samego – zaspokojenia głodów. Ale z muzyką łączą się większe emocje. Ona nie przez przypadek rządzi też moim pisaniem, bo co warte by było ono bez rytmu? Nie przez przypadek, równocześnie z debiutem książkowym, zadebiutowałem jako wokalista zespołu rockowego Świetliki – czego byliście zresztą świadkami. Ale jakoś tego zaspokojenia głodu w rocku nie znalazłem, choć próbowałem – i to długo. Teraz większe nadzieje wiążę z jazzem. I słuchanie, i wykonywanie. Bo tak się składa, że ostatnio uczestniczę w wielu jazzowych przedsięwzięciach.

W tym wywiadzie w „Jazz Forum” boli mnie najbardziej to, że redakcja wyrzuciła wszystkie brutalne sformułowania. Wyszedłem na miłego chłopca, a ja tam sobie szydziłem, tłumacząc wynaleziony przeze mnie termin „fryzjerski jazz”. Wszystkie akapity poświęcone fryzjerskiemu jazzowi redakcja wyrzuciła, gdyż mówiłem źle o pewnym ich powszechnie uwielbianym współpracowniku. Mówiłem, że to jest taki jazz, który nawet para prezydencka zaakceptuje. Taki, który nikogo nie rani. Taki, który sprawia przyjemność. Nie podważając umiejętności twórców fryzjerskiego jazzu. Do ich grona zaliczyłem zresztą kilku różnych osobników.

Kogo jeszcze oprócz Leszka Możdżera?

Jeszcze jest basista Mazolewski. I w ogóle ci wszyscy, którzy grają tak, żeby ten Niemiec o imieniu Manfred to wydał. Ale istnieje oczywiście również fryzjerska poezja i fryzjerska proza.

Kto jest w takim razie fryzjerskim poetą?

Och, wiele nazwisk się ciśnie na usta. Ale to masochiści są, więc nie mam zamiaru ich wymieniać, bo to ich tylko podnieci nadmiernie.

Fryzjerski rock tam wymieniałeś. Dawida Podsiadło na przykład.

Wszystkie te istoty związane z tak zwanym, hi hi, Męskim Graniem. Lecz powtarzam: to nie jest ubliżanie panom fryzjerom i paniom fryzjerkom.

A wracając do twojej muzyki? Zawsze tak było, że stawiałeś ją wyżej od pisania?

Zawsze. Choć się nie spodziewałem, że będę tak aktywnie w muzyce uczestniczyć.

Nie chciałeś w młodości, czyli latach 70. ubiegłego wieku, zostać gitarzystą punkowym?

Nie. Znałem swoje ograniczenia. Tylko wokalistą mogłem być. Ale do tego musiałem dojrzewać długo. Niewielu wokalistów zaczyna tak późno, mając lat trzydzieści.

Raczej tak. Ale taki Mariusz Czubaj, dziennikarz i prozaik, został saksofonistą w późnym dość wieku.

Czubaj został saksofonistą tuż przed pięćdziesiątką. Ale wcześniej był już niedobrym gitarzystą. Był gorszym gitarzystą niż jest saksofonistą. Lecz z drugiej strony późny debiut to nic złego. Taki Andrzej Kuśniewicz był późnym debiutem. Tyle że w muzyce to dziwna rzecz.

A są jeszcze muzycy undergroundowi w Polsce? Jak przed laty?

Wszyscy, którzy są gdzieś ukryci, wcześniej czy później na powierzchnię wylezą. Inne czasy są. Nie ma czegoś takiego, że ktoś gra na przekór. Każdy z tych gatunków zostanie kiedyś przez kogoś kupiony.

W młodych piszących nie wierzę,
a w młodych muzyków wierzę.

A czy nie jest tak, że teraz młodzi artyści nie są buntownikami? Więcej: wojownikami – jak to sam nazywasz?

Takie mam uczucie. Zapytałem takiego młodego: „Ale stanowicie jakąś grupę? Walczycie z kimś? Ktoś jest waszym przeciwnikiem?”. Odpowiedział: „Nie, jesteśmy osobne byty. Niektórych lubimy, z niektórymi się nie lubimy”. I tyle. Kolegów z Gdańska zagadnąłem, czy jest jakieś pismo na przykład, wokół którego mogliby muzycy się zgromadzić... Czy mają jakiegoś teoretyka, który by im manifest napisał? Nie ma nic takiego, bo nie ma potrzeby. Rozczłonkowało się wszystko.

Ale nie mówmy, jak staruszkowie, że jest im za dobrze!

Jest im dużo gorzej, niż nam było. Myśmy mieli nadzieję. Im jest dużo gorzej. Tak naprawdę kompletnie nie mają żadnych perspektyw. Nic w ich życiu się raczej nie zmieni. Co się może zmienić? Nie oczekują tego, że coś się zmieni. A to beznadziejne.

Ale ostatnio się ruszyli. Ty też się ruszyłeś – na Facebooku dajesz jednoznaczne komentarze polityczne w różnych formach, zamieszczasz aktualne rysunki itd.

Rewolucję trzeba wspierać. Wszystko, co może doprowadzić do upadku tej władzy, wszystko, co ma szansę unieważnić tę żałosną opozycję jest niezmiernie cenne. Wyłączyłem na chwilę sceptycyzm. Ale on powróci. Wiadomo. Nic nie jest aż tak proste.

A wracając do relacji: pisarz czy muzyk – nie chodzi nawet o to, że jestem bardziej muzykiem niż pisarzem. Po prostu w młodych piszących nie wierzę, a w młodych muzyków wierzę. Jest choćby taki genialny zespół dziewczęcy ze Śląska. Szklane Oczy się nazywa. Dziewczyny mają po 20 lat. Inteligentny dziewczęcy punk rock. Teksty niegłupie, rozwijają się gwałtownie. Bardzo w nie wierzę. A w Krakowie jest duet, który się Kirszenbaum nazywa. Chłopcy koło trzydziestki. Na naszej nowej płycie, którąśmy właśnie nagrali z koleżanką Teklą, skrzypek z Kirszenbauma piękne solo wycina. W nich też wierzę, bo są niegłupi i wrażliwi.

Sam wydajesz w bardziej niszowych wydawnictwach. A płytę z zespołem Zgniłość sprzedajesz jedynie w sklepie we Wrocławiu.

To jest świadome. Chociaż raz pojawiła się możliwość pójścia, hi, hi, w komercję. To nie był mój pomysł, bo bym nigdy na to nie wpadł. To kolega wpadł na to, żeby pójść do Kajaxu z tą płytą. Po jednej rozmowie w Kajaxie ubawiłem się po pachy. Musielibyśmy się jakoś ubierać, uczestniczyć w Męskim

Wielu kolegów nie rozmawia ze mną, a wielu kolegów ostrożnie rozmawia ze mną. Ale być może to dobrze, że się dowiedziałem, kim są ci koledzy.

Graniu i tym podobnych. Byliśmy zaakceptowani, ale pod pewnymi warunkami.

Musielibyście się ubierać?

Na pewno. Mielibyśmy „różową", „pomarańczową", „tęczową" trasę. Bym musiał wykonywać swoje piosenki, siedząc na kolanach Katarzyny Nosowskiej albo Tomasza Organka.

Dwie płyty ze Świetlikami wydaliśmy w dużym wydawnictwie Universal. Zarobiliśmy na nich pewnie najmniej i najwięcej upokorzeń dzięki temu przeżyłem. Niesmak. Więc żadnych dużych wydawnictw. Dlatego płyta Zgniłości wydała się nakładem małego, kompletnie nieistotnego wydawnictwa.

Z książkami to samo. Tylko małe wydawnictwa. Żadnej przyjemności nie mam, rozmawiając z kierownikiem marketingu z dużego wydawnictwa. Po co mam to robić? Być jakimś dodatkiem do wielkich dalekosiężnych planów jakichś nieprzyjaznych obcych osobników? Tylko małe wydawnictwa, gdzie pracują góra dwie osoby.

Co z pisaniem? Piszesz teraz, na przykład, jakąś prozę?

Mam napisanych dużo chaotycznych zdanek, ale jakoś do prozy teraz nie mam serca ani temperamentu. Kiedyś może siądę i coś zrobię. Jeśli już miałbym pisać prozę, to raczej malutkie formy, bo pisanie dużych form już mnie słabo interesuje. Marnowanie czasu.

Opowiedz o tej nowej płycie, którą z Teklą Tekiel nagraliście.

To będzie ciekawe, bo z Teklą gramy tak poważnie od roku. Wcześniej próbowaliśmy wielokrotnie, ale nigdy to się w nic konkretnego nie przemieniło. Występujemy jako zespół Morświn. Jedyną stałą członkinią, oprócz nas, jest Paulina Owczarek, która na saksofonie barytonowym gra. Bardzo free dźwięki. Poważne koncerty zagraliśmy w grudniu tamtego roku. Później przyszła pandemia. Siedząc w wannie któregoś dnia, pomyślałem, że skoro jest pandemia, to napiszę do różnych muzyków, których znam, żeby przysłali mi cokolwiek i z tego zrobię kolaże.

Ty komputerowo rzeczywiście jesteś taki mistrz, że sam byś to miksował?

Nie jestem. Ale dwunastu muzyków przysłało mi różne rzeczy. Pytali, w jakiej tonacji, ile, w jakim tempie. Ja mówiłem: – Co mnie to obchodzi, zagrajcie cokolwiek! Trębacza znajomego z zespołu Zgniłość poprosiłem, żeby nie grał na trąbce, bo wymyśliłem, że na trąbce będzie grał Ziut Gralak, z którym zawsze mi się gra wyśmienicie. Więc powiedziałem trębaczowi: – Zagraj na świniaku. To jest taka potężna trąba. I zagrał trochę.

Poprzysyłali mi te różne próbki. Usiedliśmy w maju u Tekli przy jej komputerku i kleiliśmy. Wyszła 15-minutowa suita, która ma ręce i nogi. Muzycy są porażeni. Mówią, że nie wierzyli, że to ma sens, a to ma sens. Numer nazywa się *Rewolucjaaa*. W sumie 14 osób w tym uczestniczy. Nawet mój pies tam wykonuje wielką partię wokalną.

Z Teklą pomyśleliśmy, że trzeba to wydać. To będzie zupełnie niekomercyjne, ale ciekawe wydarzenie. Już mamy wydawcę. Miało być w grudniu, ale teraz wydawca przesunął na styczeń, ale to też nie takie pewne. Uważam, że nie wolno przesuwać rewolucji!

Miałeś jechać na serię koncertów, ale kraj został strefą czerwoną. Da się w internecie uprawiać muzykę?

Ograniczenia raczej podniecają i powodują, że się jest bardziej twórczym. Jakby było wszystko można i wszędzie można byłoby, toby się nie robiło nic. Tę suitę wymyśliłem właśnie dlatego, że nie było co robić.

Ze Świetlikami daliście koncert internetowy. Jak się czuliście nagrywani w sterylnych, antypandemicznych warunkach?

Człowiek się czuje głupio i faktycznie nie ma tej emocji. Prawdziwy koncert to prawdziwy koncert. Wiadomo. Ale z drugiej strony, skoro nie można, to nie można i już. Podobało mi się na ulicach tego miasta, jak wprowadzili ostre zakazy. Nie było nikogo. A przez to nie było brzydkich ludzi, architektura ładniejsza się wydawała. Nie było turystów angielskich. Było cudownie.

Ale nie było ładnych kobiet.

Kobiety w maskach są bardzo pociągające. To był maj, bo ciepło było – widziałem kobietę w masce szczelnie zakrywającej twarz i było widać tylko oczy oraz imponujący dekolt. Estetyczna przyjemność.

Jak się czujesz politycznie w Polsce?

Tak jak zawsze.

Nie gorzej?!

Nie. Bo jaką ja politykę pamiętam? Świadomie pamiętam rok 1968, bo wtedy szedłem do podstawówki. U nas w miejscowości żadnego Żyda nie było, nikt nie wyjechał. Tak, przed wojną w miejscowości było ich 70 proc., ale po wojnie żadnego. Do liceum poszedłem w 1976. Wtedy Radom był i ścieżki zdrowia. Na studia poszedłem w 1980 roku. I tak dalej. Ale zawsze było tak samo. Zawsze była jakaś opre-

sja u góry i niechęć do opresji u dołu. I tyle. To się nie zmieniło. Zawsze tak było. Komorowski był tak samo straszny jak Duda.
Pisałem o każdym prezydencie. Żadnej łaskawości dla żadnego nie miałem. O Tusku chyba tylko nie pisałem. Ale nie był prezydentem.
O Gowinie napisałeś brutalnie – zwłaszcza że uchodził kiedyś za wrażliwego intelektualistę.
Napisałem o nim dwa wiersze brutalne. Brylewski, Maleńczuk, Gowin i ja jesteśmy z jednego rocznika. Czuję odpowiedzialność za chłopaków ze swojego rocznika. Brylewski skończył tragicznie, Maleńczuk skończył tragicznie. Ja się jeszcze jakoś trzymam. A gdzie jest Gowin?
Nie wkurwia cię to wszystko?
Ja trochę złagodniałem. Ale jasne – nadal wkurwia. Wiadomo. Teraz u władzy są ci, którzy są idiotami i są ludźmi złymi, bo już ci dobrzy się pokończyli widocznie. Ale następni też będą wkurwiać, wiem. Oni bardzo umiejętnie wszystkich skłócili. Wielu kolegów nie rozmawia ze mną, a wielu kolegów rozmawia bardzo ostrożnie. Ale być może to dobrze, że się dowiedziałem, kim są ci koledzy.

Jestem starym człowiekiem i wiem, że ograniczenia raczej podniecają i powodują, że się jest bardziej twórczym. Jakby było wszystko można i wszędzie można byłoby, toby się nie robiło nic.

Są tacy, którzy z tobą niechętnie rozmawiają?
Teraz coraz więcej.
O co mają pretensje?
Za czasów poprzednich rządów byłem uważany za prawaka, a teraz jestem za lewaka. Co ciekawe, ja ich pytam, tych, co mnie tak widzą, o pozytywy. O dobrych ministrów. O dobrych działaczy partii, na którą głosowali. Oni nie wymieniają. Oni mówią: – Ale minister z poprzedniego rządu...
Zawsze jest jakaś opresja. Nie wierzę w kraje, w których wszyscy kochają tego, co jest u góry.

Idziesz cholernie swoją drogą.
Ja się czasem widuję z ludźmi, zadaję się z nimi – bez tego bym umarł, natomiast z żadnym nie wchodzę w bliskie związki. Ale czy to samotność? E, nie. Nie jestem w żadnej organizacji, w żadnej sekcie. Nie muszę się żadnej masie podporządkowywać. To świadomy wybór.
Jest coś takiego, jak duch Krakowa? Coś charakterystycznego, innego niż we Wrocławiu?
Wrocław lubię. Wszyscy ludzie ze wschodu tam mieszkający są cudowni. W kawiarni Literatka przy dużym stole siadywali starsi panowie, wszystkich kochałem. Siadałem z nimi, gawędziłem i to było urocze.
W Krakowie tego nie ma. Ale nie przeniosę się już do Wrocławia. Niech będzie już zawsze Kraków. Tu mieszkałem w różnych miejscach. To, w którym mieszkam dziś, to moje dziesiąte krakowskie mieszkanie. Policzyłem – równo dziesiąte. Wokół każdego jest jakaś przestrzeń. Tu, na Dietla, mieszkam już osiem lat i już mam obcykane okolice. Wiem, gdzie z psem pójść. Najgorsze jest to, że następują zmiany,

Zawsze jest jakaś opresja. Nie wierzę w kraje, w których wszyscy kochają tego, co jest u góry.

że miejsce, w które się chodziło, nagle umiera. Łysy – nasz wspólny przecież kolega – zamknął sklep. Na ulicy Podbrzezie miał sklep z płytami...
A co do Krakowa: czy nie jest tak, że klimat w mieście był kiedyś lepszy?
Był lepszy, ale ja to zrzucam na to, że byliśmy młodsi, lepiej się bawiliśmy. Więcej mogliśmy. Dłużej się siedziało w nocy. Teraz o dwudziestej już myślę, żeby pójść do łóżka. To też jest sprawa wieku.
Myślę, że pokolenie mojego syna bawi się dobrze w tej sytuacji – jaja z maseczkami i zakazami. To jest ich młodość. My na bazie stanu wojennego świetne zabawy żeśmy uprawiali, a oni teraz. Nie za dużo narzekam.
Był okres, kiedy mieszkałem przez dziewięć lat na Małym Rynku i to stało się męczące. Nie dawało się tam pisać. Przeniosłem się na Kazimierz i od razu się pisało lepiej. Na Rynek nie chodzę, ale mam świadomość, że do Rynku mam 12 minut! Do ścisłego centrum Kazimierza mam pięć minut. Ale mieszkam na granicy. Więc wycieczkowość, tłumy mnie nie dotyczą. Lubię to mieszkanie. Boję się tylko dowiadywać, kto w nim mieszkał, bo pewnie są jakieś tragiczne historie.
Brak twojej komórki – legendarna sprawa. Dalej tak będzie?
Trzeba być konsekwentnym! Żadnych szatańskich wynalazków! Wiele złych rzeczy mnie w ten sposób omija i bardzo się z tego cieszę.
Mailowo działasz perfekcyjnie.
Jakoś ze światem muszę się kontaktować. Na maila mogę nie odpowiedzieć.
Jakie masz dziś marzenie? Co by pan chciał teraz, panie Świetlicki? Płytę, książkę?
Nie lubię mieć marzeń nie do zrealizowania. Całe życie miałem marzenie, żeby wykonywać piosenki Gainsbourga. Ci, którzy znają francuski, bo ja niestety nie znam, mówią, że to teksty nieprzetłumaczalne. Ale jakoś czułem, że to jest mój ojciec duchowy i że bardzo chcę to robić.
Jak pojechałem do Paryża, było chyba miesiąc po jego śmierci. Nieopodal widziałem wielu ludzi palących świece. Zapytałem: – Co ci ludzie tak tu chodzą? Wytłumaczono mi, że tam było jego mieszkanie. Pomyślałem: – On umarł, to ja przyszedłem. Urodził się w roku, w którym urodziła się moja matka, czyli w 1928. Mógł być moim ojcem.
A teraz wydarzyło się coś niesłychanego. Pewien człowiek, przeczytawszy w mojej biografii o tym moim marzeniu, żeby wykonywać te teksty, usiadł i przetłumaczył kilkadziesiąt. Nie tak, jak tłumaczą zawodowi tłumacze, ale filologicznie – z tysiącem przypisów. Tu jest gra słowna, która jest nieprzetłumaczalna i polega na tym i na tym. Tu jest żarcik, którego nikt z Polaków nie zrozumie, tu jest nawiązanie do czegoś.
Skądinąd nawet Francuzi nie rozumieli, co on śpiewa, bo był rosyjskim Żydem i francuski był dla niego językiem obcym. On się nim tak bawił. Pewnie to jest porównywalne z Leśmianem albo z Białoszewskim – że nie jest przetłumaczalne. Ale wierzę, że to się uda.
Napiszesz sam teksty?
Na podstawie tego, co on napisał. Pewne pomysły są. Moje wielkie marzenie się spełni. To się nagra i to uhonoruje mojego duchowego ojca. Palił więcej ode mnie. Tylko że on miał wszystkie najpiękniejsze kobiety świata, ja nie wszystkie.
A ponadto wszystko mam. Psa mam, dziewczynę mam, mieszkanie mam, parę zespołów. O czym mam marzyć?
Owszem, nie mam samochodu. Ale mam prawo jazdy od roku 1978. Bo wszyscy koledzy z klasy robili. Był tani kurs.
A masz jakiegoś agenta, który ci prowadzi ten cały interes?
Nie wierzę w dobrego agenta. W tym kraju nie ma takich. Wszyscy, z którymi się stykałem, to ściemniacze. Mam siebie i kolegów oraz koleżanki. Na tym to polega.
59-letni pisarz...
Jeszcze nie skończył 59 lat! 58-letni.
... muzyk, poeta, pisarz. I nie narzeka.
Nie narzeka. W zasadzie nie ma na co narzekać. Więcej groteski jest, owszem. Ale to podnieca!

Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego", później tygodnika „Polityka" (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Marek Braun, projekt *Arszenik i stare koronki,* reż. K. Babicki, Teatr im. W. Gombrowicza w Gdyni

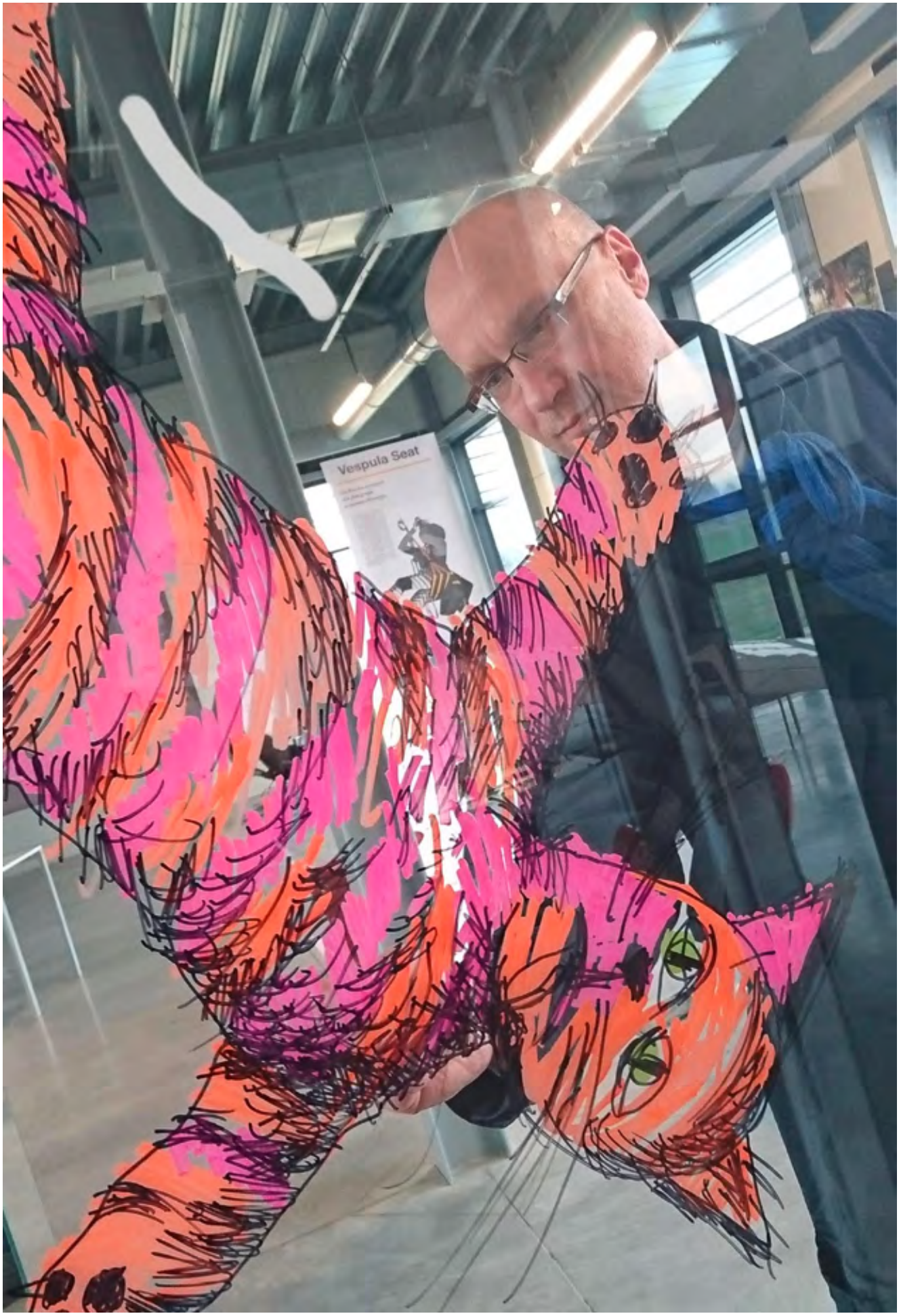
Vespula Seat

Wyobraźnia to zwierzę, które muszę codziennie karmić

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Wojciech Kapela

Marek Braun swoich teatralnych projektów nie nazywa scenografią. Woli mówić o rodzącej się w jego głowie przestrzeni, którą wypełniają trójwymiarowe postaci i teatralne znaki.

Ten tekst miał nosić tytuł *Na początku była ciemność*. Wydawało mi się bowiem, że pogrążona często w mroku, minimalistyczna scenografia Marka Brauna musi wyłaniać się z nocy. Miałam tylko po części rację. Nie wiedziałam, że zanim stanie na ciemnej scenie, najpierw przeżywa radość jasnego poranka, kiedy to, niesiony euforią sprowokowaną przez składającego mu propozycję reżysera, wyskakuje z łóżka z głową pełną przeczuć. Wtedy nie tylko kot domaga się od niego otwarcia puszki. Od razu musi też zacząć karmić swoją głodną jak zwierzę wyobraźnię, która jeszcze przed przeczytaniem tekstu podsuwa mu obrazy. Na razie intuicyjne, niedookreślone. Dopiero na scenie nabierają konkretnych kształtów.

– Już na samym początku mojej pracy w teatrze zorientowałem się, że istnieją trzy przestrzenie. Jedna została wymyślona przez autora i zapisana w didaskaliach albo w tekście, druga rodzi się w mojej głowie, a trzecia jest ściśle związana z miejscem, gdzie będzie grany spektakl. Dlatego staram się zawsze pospacerować samotnie po wyciemnionej scenie, posłuchać, jak brzmi jej przestrzeń, jakie dźwięki wydają deski, na których staję. To wbrew pozorom bardzo ważne, szczególnie kiedy pracuję w teatrze muzycznym i muszę zbudować ściany, które wzmocnią głosy artystów. Ale na tym etapie wyznaczam sobie tylko pewne wektory, pojedyncze linie, geometryczne siatki... Dopiero z nich rodzi się przestrzeń – mówi scenograf.

Będę go tak czasem nazywać, choć wiem, że nie przepada za tym słowem, kojarzącym się z pudełkowym teatrem, w którym powstają tekturowe dekoracje przedstawiające na przykład mieszczańskie salony. Kto zna prace Brauna, wie, że na scenie pozwala on zaistnieć jedynie zredukowanym do minimum znakom teatralnym, fragmentom rzeczywistości, detalom wydobytym z mroku za pomocą światła odkładającego się w scenicznej przestrzeni i budującego pożądany nastrój. Jednym z tych wizualnych elementów może być człowiek. Dlatego scenograf często przychodzi na pierwsze próby, by popatrzeć na aktorów. Twórcy, z którymi pracuje, wiedzą, że będzie siedział na widowni, obserwował ich i coś tam szkicował. – Robię to na egzemplarzu albo w szkicowniku, który zawsze mam przy sobie. W myśleniu o spektaklu niezmiennie wychodzę od rysunków. Poza tym to jest mój sposób komunikowania się ze światem. Chętnie rozdaję te rysunki, choć czasami niejednego mogą one zdziwić – śmieje się Braun, który na tym etapie wykorzystuje też komputer ze specjalnym oprogramowaniem, pozwalającym mu w wirtualnej przestrzeni weryfikować kolejne pomysły.

Wsiada z nimi do samochodu i wozi ze sobą nieraz setki kilometrów, gdyż pracuje w różnych częściach Polski. Przyjeżdżając do teatrów, odwiedza pracownie, gdzie czekają na niego stolarze, ślusarze, krawcy. To oni nadają realne kształty jego wizjom. Ceni u nich dobre rzemiosło i solidne wykonanie elementów scenografii, gdyż prowizorka, szczególnie w przypadku minimalistycznych przestrzeni, jakie tworzy, zawsze będzie widoczna na scenie.

– Bardzo lubię próbę techniczną, te pierwsze momenty, kiedy na pustej scenie coś się wyłania. Lubię też, gdy w tym dotąd niezaludnionym świecie pojawiają się aktorzy. Patrzę, jak się poruszają, próbują oswoić przestrzeń. Cieszę się, kiedy dostrzegam, że dobrze się w niej czują – dodaje.

Mogłoby się wydawać, że największa jednak radość przychodzi podczas premiery, kiedy na widowni zasiada publiczność, ogląda spektakl, a później bije brawo, wywołując na scenę twórców. Braun jednak wyprowadza mnie z błędu. Premierowe przedstawienia najczęściej ogląda z kabiny elektryków albo kręcąc się niespokojnie za kulisami. Napięcie jest zbyt duże, żeby patrzeć na efekty wielomiesięcznego wysiłku, kiedy tak naprawdę nie ma się już na nic wpływu, a przedstawienie, jak dorastające dziecko, idzie samodzielnie w świat.

Znacznie przyjemniejsze są dla niego próby generalne, podczas których wciąż nie opuszczają go twórcze emocje. Wyobraźnia pracuje wówczas na najwyższych obrotach, przetwarzając dostarczany jej pokarm i pozwalając jeszcze coś ulepszyć. Najgorzej, że następnego poranka, kiedy brzask przykryje premierową noc, to nienażarte zwierzę znowu domaga się jedzenia. Jego żądań nie jest w stanie zagłuszyć ani miauczenie czekającego pod lodówką kota, ani nawet wynikający z premierowego przemęczenia lekki ból głowy. Potrzebuje ono nowych wyzwań, które nadają artystycznej pasji sens.

*

Marek Braun jest absolwentem Wydziału Architektury Wnętrz i podyplomowego Studium Scenografii krakowskiej ASP, gdzie obecnie, już jako profesor, prowadzi Pracownię Mediów i Scenografii w Przestrzeni Publicznej. Jest autorem scenografii przedstawień w wielu polskich teatrach. Obecnie najczęściej pracuje z Anną Augustynowicz, Krzysztofem Babickim, Józefem Opalskim i Pawłem Szumcem.

Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

KWESTIONARIUSZ PROUSTA

PO KRAKOWSKU

Odpowiada Marek Braun

Jaki obecnie jest stan twojego umysłu?
Jak na Bugu we Włodawie. Dolny stan stanów średnich.

Jak sobie radzisz z pandemicznym nastrojem, który nas osacza?
Oganiam się kijem niczym przed zły psem.

Co w tej sytuacji jest w stanie postawić cię do pionu?
Wspomnienie pana pułkownika K. ze Studium Wojskowego.

Gdy potrzebujesz rady, do kogo najczęściej się zwracasz?
Do braci Karamazow.

Gdybyś mógł wejść w skórę zwierzęcia, jakieś stworzenie byś wybrał?
Kota, ale nie jakiegoś lwa czy tygrysa, tylko takiego zwykłego, niebieskiego.

Twój ulubiony malarz?
Cenię wielu, ale często myślę o tym nikomu nieznanym panu artyście, który pomalował grotę Lascaux.

Twój ulubiony pisarz?
Lubię czytać różne bzdurki autorstwa mojej córki.

Piosenka, którą najczęściej sobie przypominasz, gdy chcesz coś zanucić?
„Nie martwcie się o mnie, ja zawsze sobie dam radę…" – to piosenka Pippi Langstrumpf.

Wspomnienie z dzieciństwa, które do ciebie wraca?
Często przypomina mi się okrutna historia. Gdy miałem trzy lata, przyszła do nas do domu siostra PCK, by zrobić mi zastrzyk. A trzeba zaznaczyć, że miałem brać te zastrzyki do ukończenia czwartego roku życia. Gdy przystąpiła do dzieła, wykrztusiłem, że właśnie skończyłem trzydzieści sześć lat. Kobieta zakrztusiła się ze śmiechu i wbiła mi igłę w jakiś nerw tak, że niekiedy jeszcze dzisiaj to czuję.

Smak, który zapamiętałeś z dzieciństwa?
Cytryny, jej kwaśny smak i kolor. Zjedliśmy ją z kolegą Januszem pod stołem.

Zapach kojarzący ci się w młodzieńczymi wyskokami?
Zapach wilgotnych bzów, bo, wędrując wiosną, nocowaliśmy niekiedy w krzakach.

Co ci się najczęściej śni?
Moje sny? Są różne i raczej się nie powtarzają.

Czy opowiadasz komuś swoje sny?
Niestety tak. A mam świadomość, że to potworna nuda wysłuchiwać streszczenia cudzych snów.

Gdybyś dysponował nieograniczonymi funduszami, jaką zachciankę spełniłbyś w pierwszej kolejności?
Kupiłbym moim kobietom gwiazdki z nieba.

Jaką cechę najbardziej cenisz u mężczyzn?
To, że gdy uda im się dorosnąć (chociaż nie jest to zbyt częste), pragną zostać bohaterami albo zbawcami narodu.

Jaką cechę najbardziej cenisz u kobiet?
To, że kobiety mają dość sceptyczne podejście do takich pomysłów i w dodatku potrafią je okazać.

Mikołaj Trzaska, około 2006/z archiwum i dzięki uprzejmości Mikołaja Trzaski

Wrzask Trzaski

Tekst: Krzysztof Burnetko

Muzyczny samouk, który próbuje najtrudniejszego jazzu. Improwizator (niektórzy mówią: radykalny) i eksperymentator (jak wyżej). Nie stroni od łączenia różnych muzycznych kultur i gatunków, ale też sztuk. Opowieść o nim jest ważną częścią historii rodzimej muzyki ostatnich trzech dekad.

Urodził się pół wieku temu w Gdańsku. W 1988 roku zaczął studia na wydziale malarstwa tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. Ale że równocześnie rosła w nim fascynacja jazzem lat 60., zwłaszcza poczynaniami Johna Coltrane«a i Ornette'a Colemana, podjął – samodzielną! – naukę gry na saksofonie altowym (z czasem sięgnął też po saksofon sopranowy, c-melody, klarnet basowy, a końcu saksofon barytonowy). Jako saksofonista występował w rockowo-awangardowych akcjach trójmiejskiego podziemia artystycznego. Co jednak najważniejsze: współtworzył (między innymi z Tymonem Tymańskim, Leszkiem Możdżerem, Jerzym „Mazzolem” Mazolewskim, Maciejem Sikałą i Jackiem Olterem) kolejne składy najważniejszego zespołu ówczesnej jazzowej rewolucji, czyli tak zwanej sceny yassowej – grupę Miłość, ale też chociażby grupę Trupy. W 1991 roku porzucił uczelnię, by skupić się na muzyce. W 1993 roku założył Łoskot, z którym zadebiutował jako lider na pierwszym festiwalu Gdynia Summer Jazz Days. W tym okresie grał między innymi z Lesterem Bowiem i Tomaszem Stańką. Rozpoczął też współpracę ze Świetlikami, a potem występował w duecie z Marcinem Świetlickim, wygrywając improwizacje do recytacji wierszy. Z nim, Tymańskim, Olterem oraz Milo Kurtisem i Robertem Brylewski stworzyli też rockowy The Users. Inicjatywy literacko-muzyczne podejmował także z Andrzejem Stasukiem i Jurijem Andruchowyczem.

Tę listę rozmaitych przedsięwzięć Mikołaja Trzaski można ciągnąć długo. Z czasem przybrały one wymiar międzynarodowy – zaczął występować z muzykami żydowskimi, brytyjskimi, skandynawskimi, francuskimi, amerykańskimi. A z żoną Olą założył wydawnictwo płytowe Kilogram Records, wydające muzykę z kręgu impro-free jazz. Ale prócz improwizacji tworzył też muzykę teatralną i filmową – tu choćby do produkcji Wojciecha Smarzowskiego.

Trzydzieści lat niebywale twórczej artystycznej (ale i społecznej) aktywności.

O tym wszystkim Trzaska opowiada z humorem, autoironią, swadą, szczerością i bezkompromisowością, ale i ciepłem oraz nutą melancholii. Mówi nie tylko o muzyce, tej światowej i rodzimej – w tym o sporym i ważnym rozdziale polskiego jazzu i rocka. Ale także o dorastaniu w Gdańsku lat 70. i 80. ubiegłego wieku – podwórkowych bijatykach, strajku w Stoczni, demonstracjach i imprezach (dzisiaj powiedzielibyśmy: domówkach) w stanie wojennym. O znaczeniu grupy The Beatles i odkrywaniu jazzowych nut u Gingera Bakera, na płytach King Crimson oraz w dźwiękach trąbki imitującej rżenie konia w czołówce telewizyjnego programu *Zwierzyniec* Michała Sumińskiego. O słynnych performansach trójmiejskiego Totartu i o pracy przy zdrapywaniu farby z przeznaczonych do remontu domów w Norwegii, by zdobyć pieniądze na wymarzony saksofon. O odkrywaniu swoich żydowskich korzeni. O dysleksji i chorobie afektywnej dwubiegunowej. O roli przyjaźni i przyjaciołach – wśród nich Marcinie Świetlickim i Andrzeju Stasiuku. A wreszcie o życiu codziennym muzyka – choćby wyzwaniach rodzinnych.

Jest też dużo o całkiem już współczesnej Polsce. Tu cytat: „Czasami trzeba się opowiedzieć po którejś stronie”.

Wrzeszcz! Mikołaj Trzaska. Autobiografia. Rozmawiają Tomasz Gregorczyk i Janusz Jabłoński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

Nowa Huta – raj, w który uwierzyły tłumy

Rozmawiała Katarzyna Domagała **Zdjęcia:** Grzegorz Kozakiewicz

Leszek Konarski (autor zbioru reportaży *Nowa Huta – wyjście z raju*): „Uwielbiałem włóczyć się po wydziałach kombinatu i rozmawiać z robotnikami. Szczególnie w nocy – wtedy huta była zupełną egzotyką. Ze skupieniem obserwowałem, jak z wielkiego pieca wypływa surówka, a z konwertorów stal, by zapamiętać najwięcej szczegółów. To był absolutny kosmos. Wracałem do domu i pisałem".

Katarzyna Domagała: Podobno nikt jeszcze nie zebrał całej historii Nowej Huty, czyli 70 lat, w jednej publikacji. Panu się udało.

Leszek Konarski: Przez tyle lat ukazało się wiele ciekawych reportaży o budowie tego miasta i kombinatu, są też wiersze i filmy, ale wciąż nie ma rzetelnej i poważnej historii Nowej Huty obejmującej zarówno okres socjalistyczny, jak i dzisiejszy. A wszystkie prace naukowe dotyczą jedynie wybranych okresów: początków budowy czy strajków „Solidarności". Niestety, w publikacjach książkowych i artykułach prasowych nadal powielane są brednie, choćby takie, że lokalizacja huty miała być karą dla Krakowa za przegrane przez rząd referendum w 1946 roku, a świeckie miasto miało stanowić przeciwwagę dla katolickiego Krakowa.

W przypadku dziejów Nowej Huty historycy nie potrafią zgrabnie połączyć ze sobą dwóch systemów politycznych: socjalistycznego z tym po 1989 roku. Działa to na zasadzie dziwnego mechanizmu: kiedy pochwalą budowniczych Nowej Huty, narażą się tym, którzy obalili komunę i odwrotnie.

Mówi Pan o książce: „To moja własna, reporterska wizja Nowej Huty". Powstała, bo chciał się Pan rozprawić z mitami na jej temat?

Powiedziałbym, że to raczej podziękowanie i apel. Od dawna czułem potrzebę wykrzyczenia sprzeciwu wobec przemilczania wielkich osiągnięć polskiego społeczeństwa po II wojnie światowej w kraju biednym i zrujnowanym – w tym budowniczych Nowej Huty. Dlatego powstała ta książka.

To zbiór minireportaży, przeplatany narracją historyczną, powstałych na podstawie moich wspomnień, ale też materiałów, które przez wiele lat zbierałem i publikowałem jako dziennikarz. 70-lecie Nowej Huty wydawało się dobrą okazją, aby w końcu wydać książkę.

A dlaczego dotychczas żaden z historyków nie podjął się stworzenia monografii na jej temat?

Mam wrażenie, że w przypadku dziejów Nowej Huty historycy nie potrafią zgrabnie połączyć ze sobą dwóch systemów politycznych: socjalistycznego z tym po 1989 roku. Działa to na zasadzie dziwnego mechanizmu: kiedy pochwalą budowniczych Nowej Huty, narażą się tym, którzy obalili komunę i odwrotnie. Wygodniej jest nie podejmować tematu.

Ale ta nieustanna niezgoda to efekt braku rzetelnej i powszechnie dostępnej historii Nowej Huty.

Można tak powiedzieć. Przez wiele lat dla polityków i historyków Nowa Huta była tematem wstydliwym, a samo mówienie dobrze o budowie miasta i kombinatu było uważane wręcz za propagowanie komunizmu.

W tej kwestii podstawową rzecz trzeba wyjaśnić: budową miasta i huty rzeczywiście dowodziło kierownictwo Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – fakt ten nie podlega wątpliwości. Ale nie można wciąż powielać mitu, jakoby Nowa Huta została zbudowana dla partii. Ludzie zbudowali idealne miasto dla siebie. Nie można ich więc potępiać za przeszłość, a konkretnie za to, że uwierzyli w ideę miasta, w którym wszyscy żyją na równych prawach. W którym każde mieszkanie jest tak samo piękne i słoneczne – aby nikt nie czuł się gorszy i gdzie każdy ma pracę w wielkim kombinacie metalurgicznym.

24 lutego 1949 roku, w czasie obrad sekretariatu Komitetu Centralnego PZPR, podjęto decyzję o budowie miasta wiecznej szczęśliwości we wsi Mogiła pod Krakowem. Udało się stworzyć raj?

Udało się zrealizować większość planu budowy idealnego miasta, jednak raj trwał krótko – może pięć, sześć pierwszych lat.

A dla kogo był to raj?

Dla wszystkich ludzi, którzy przyjechali go budować z całej Polski. Proszę pomyśleć, że udało im się wyrwać z wielkiej biedy, dostać pracę i mieszkanie, a później założyć rodzinę. Dla wielu tamten czas był najszczęśliwszy w całym życiu.

Jak wyglądało miasto wiecznej szczęśliwości?

Każde osiedle miało szkołę, żłobek, przedszkole, obiekty kulturalne i sportowe, place zabaw dla dzieci, jadłodajnię i restaurację. Wokół osiedli było bardzo dużo zieleni. W piwnicach bloków zaś pralnie, na strychach suszarnie bielizny, a pomiędzy blokami drzewa i ławki, na których można było posiedzieć i porozmawiać z sąsiadami. Wszystko po to, by mieszkańcy czuli się tam bardzo dobrze zorganizowani i szczęśliwi. Do dzisiaj stare osiedla Nowej Huty to takie minimiasta, gdzie jest dostęp do wszystkiego. I, co istotne, w społeczności Nowej Huty nie było podziału na biednych i bogatych. Mieszkania dyrek-

torów były takie same jak robotników, a na ulicach nikt nie żebrał i nie prosił o wsparcie. Wszystko jak w bajce, a mimo to ludzie się buntowali.

Dlaczego?

Bali się tego społecznego eksperymentu, mimo że w niego wierzyli. Podejrzewali, że pod idealnym planem może kryć się polityczny podstęp. Strzegli więc tradycyjnych wartości wyniesionych z domów rodzinnych – to dawało im poczucie bezpieczeństwa.

W jaki sposób ich strzegli?

Nie korzystali z tego, co dawała im partia. Nie chcieli oddawać dzieci do żłobków, bojkotowali stołówki, restauracje i tak zwane czerwone kąciki na klatkach schodowych.

Nie rozumiem, dlaczego nie chcieli chodzić do restauracji. Przecież tam był na pewno większy wybór trunków niż w sklepach.

Oczywiście, ale i ceny były wyższe. Mężczyźni woleli więc kupić butelkę w sklepie i napić się w plenerze. I tak restauracje padały jedna za drugą, zresztą inne punkty gastronomiczne też.

Ale jednej z nich udało się przetrwać do dziś. W Stylowej na osiedlu Centrum C 3 wszystko wygląda dokładnie tak samo, jak w 1956 roku. Chodzi Pan tam?

Byłem niedawno, żeby sprawdzić, czy niewielka figurka Lenina stoi jeszcze na środku sali czy może IPN kazał ją już zlikwidować.

I co?

Wciąż jest. Pracownice restauracji bardzo bronią odlanego w brązie Lenina, bo ściąga im do Nowej Huty turystów poszukujących śladów socjalizmu. Ludzie przychodzą tam, aby zjeść PRL-owski kotlet z ziemniakami i kapustą lub na wieczorek „w duchu polskiego socjalizmu". I to nie żaden kult minionej epoki.

Tylko?

Coś w rodzaju poszukiwania tożsamości dla tej dzielnicy. Gdy kiedyś w krakowskiej gruzińskiej restauracji kelner zaproponował mi czerwone wino i dodał po cichu, że jest to „ulubione wino Józefa Stalina", to nie znaczy, że w tym lokalu panował kult Stalina.

Nowa Huta często przywoływana jest jako przykład najlepiej zaprojektowanej dzielnicy Krakowa. W czym tkwi siła tego projektu?

Od placu Centralnego ulice rozchodzą się gwiaździście, jak na paryskim Place de l'Étoile. To ten widok – szczególnie z lotu ptaka – robi największe wrażenie. Jednak cały projekt miasta powstał na wzór osiedli amerykańskich.

Głównym projektantem miasta wiecznej szczęśliwości był inżynier Tadeusz Ptaszycki. Z kolei najdłużej żyjący architekt Nowej Huty Stanisław Juchnowicz podobno wyjątkowo mocno oburzał się, gdy mówiono, że Nowa Huta budowana jest na wzór miast sowieckich.

Profesor Stanisław Juchnowicz niestety zmarł w styczniu tego roku. Podczas naszych rozmów wielokrotnie prosił mnie, abym wszystkim przekazywał, szczególnie ludziom młodym, że „Nowa Huta to nie żadne sowieckie miasto".

Tylko polskie.

To piękny przykład polskiego socrealizmu i bardzo się cieszę, że na terenach najstarszej części Nowej Huty został ustanowiony Park Kulturowy. Ta dzielnica nie jest żadną kopią Magnitogorska ani innego radzieckiego miasta, choć można tak sądzić po szerokości ulic czy pałacowym wyglądzie budynków publicznych. Jednak elementy dekoracyjne na budynkach Nowej Huty nawiązują do polskiego rene-

Leszek Konarski – dziennikarz tygodnika „Przegląd”, wcześniej „Dziennika Polskiego” i „Przeglądu Tygodniowego”. Autor sztuk teatralnych, scenariuszy filmowych i reportaży.

sansu czy baroku, na przykład do attyk spotykanych w Krakowie, Tarnowie czy Zamościu.

Gdy czytałam, z jakim zaangażowaniem opisuje Pan historie mieszkańców Nowej Huty, wydawało mi się, jakby mieszkał Pan tam od lat.

A faktycznie były to tylko trzy lata. W 1973 roku redakcja „Dziennika Polskiego" załatwiła mi mieszkanie w Nowej Hucie, na osiedlu Kościuszkowskim, żebym nie musiał codziennie dojeżdżać z Krzeszowic. Myślano, że będę narzekał, bo to daleko i wielki mrówkowiec z 15 klatkami, a dla mnie to była wielka przygoda. Szybko zaprzyjaźniłem się z mieszkańcami osiedla. Zapraszali mnie do siebie, żeby się wygadać, wyżalić na wszystko. A mnie to szalenie ciekawiło!

Dostrzega Pan w mieszkańcach Nowej Huty cechy, które ewidentnie odróżniają ich od pozostałych mieszkańców Krakowa?

Są bardziej autentyczni.

W jakim sensie?

Nie zakłamują swoich życiorysów. Przyznają otwarcie, z jak wielkiej biedy wyszli. To właśnie w Nowej Hucie poznałem liczne opowieści o strasznej biedzie, jaka panowała na wsi przed wojną, w czasie okupacji i tuż po wyzwoleniu.

Tam nie musiałem mówić do nikogo „panie doktorze" i „panie profesorze". Nikt nie chwalił się pochodzeniem. Za to ludzie opowiadali mi o czasach, kiedy byli analfabetami. O tym, jak uczyli się czytać i jak wielką trudność im to sprawiało. Albo jak w hotelach, przed wyjściem do pracy, sypano im do spodni proszek DDT, bo wszędzie były wszy. Zarówno ci z bloku, jak i ci z kombinatu, to byli ludzie wyjątkowo prawdziwi. Jeśli ktoś urodził się w rodzinie Burdelów, to teraz też jest Burdel, a nie Potocki.

A czy to społeczność solidarna?

Jak najbardziej. Niebywały jest patriotyzm mieszkańców Nowej Huty, co można zobaczyć choćby po liczbie portali internetowych poświęconych dzielnicy. Ciągle przybywa też grup dyskusyjnych na Facebooku – co ciekawe – zazwyczaj integrujących mieszkańców tylko jednego bloku.

Nie wiem, czy Pani się z tym spotkała, ale duża część osób z Nowej Huty raczej nie powie, że mieszka w Krakowie, tylko w Nowej Hucie. Czasem jeżdżą „do Krakowa". Z kolei do czerwca tego roku przy placu Centralnym działał jeszcze sklep firmy Unicut, produkującej gadżety i pamiątki związane z dzielnicą. To ciekawy przykład lokalnego patriotyzmu.

Ciekawi mnie, jak wyszukiwał Pan swoich informatorów z kombinatu.

Nie było to trudne, bo uwielbiałem włóczyć się po wydziałach kombinatu i rozmawiać z robotnikami, którzy chętnie opowiadali, co się dzieje na zmianach – i nie tylko. Szczególnie w nocy – wtedy huta była zupełną egzotyką. Ze skupieniem obserwowałem, jak z wielkiego pieca wypływa surówka, a z konwertorów stal, by zapamiętać jak najwięcej szczegółów. To były dla mnie przeżycia księżycowe, absolutny kosmos. Po powrocie do domu siadałem i to wszystko spisywałem.

Czuł Pan, że ma do spełnienia misję dziennikarską i obywatelską?

Bardzo wyraźnie. Miałem wrażenie, że moje dziennikarstwo miało wtedy szczególną moc. Poza tym, wiedziałem, że ludzie z huty liczą na moją pomoc.

Jak miał Pan im pomóc?

Długo przed strajkami hutnicy wyczuwali, że nadchodzi kryzys gospodarczy i musi dojść do zmian politycznych. To napięcie pojawiło się zarówno w 1980, jak i w 1988 roku. Wszędzie politykowano, a pracę jedynie pozorowano. Rewolucja wisiała w powietrzu. Potrzebny był tylko zapalnik.

Czułem, że muszę opisać te wszystkie wydarzenia, ale przede wszystkim protest hutników i ich postulaty. Pamiętam taką sytuację: był chyba marzec 1988, na jednym z wydziałów HiL pracownicy zwołali zebranie na szóstą rano, żeby ogłosić decyzję o strajku, ale wcześniej upewnili się, czy na nie przyjadę. Pech chciał, że zaspałem. Obudził mnie telefon z pretensjami. Okazało się, że hutnicy nie podjęli decyzji o strajku, bo nie zjawił się żaden dziennikarz.

No właśnie, niby rządziła klasa robotnicza, ale z tą klasą robotniczą mało kto rozmawiał.

Mało tego, w hucie starano się unikać określenia „klasa robotnicza".

> Mieszkańcy Nowej Huty nie zakłamują swoich życiorysów. Przyznają otwarcie, z jak wielkiej biedy wyszli. Jeśli ktoś urodził się w rodzinie Burdelów, to teraz też jest Burdel, a nie Potocki.

A Pan na własnej skórze przekonał się, jak nieprzyjemne konsekwencje wiązały się z nieprzestrzeganiem tej zasady. Właśnie przypomniałam sobie ten fragment!

To z kolei spotkało mnie w 1976 roku, w biurze przepustek Huty im. Lenina, gdy szedłem na zebranie na wydziale slabingu. Powiedziałem, że mam zaproszenie od klasy robotniczej. Pracownik biura przepustek wpadł w totalny szał.

I tak trafił Pan na dywanik partyjny.

Musiałem się tłumaczyć przed szefem ochrony, a potem przed sekretarzem partii, choć nie byłem w PZPR. Całą tę historię opisał Bruno Miecugow w felietonie *Niezgodnie z planem* w „Życiu Literackim". I co było najzabawniejsze w jego tekście? Cenzura zamieniła określenie „klasa robotnicza" na „robotnicy". Eh.

A jak to się stało, że posiada Pan odznakę „Budowniczego Nowej Huty" nr 1962? Przecież całe życie jest Pan dziennikarzem.

Też się zdziwiłem, gdy dostałem wiadomość, że ją otrzymam. Kompletnie nie wiedziałem, co odpowiedzieć znajomym hutnikom, gdy na Wawelu, 22 lipca 1974 roku, prezydent Krakowa Jerzy Pękala przypinał mi do garnituru to odznaczenie. Oni przecież pracują w kombinacie w potwornie ciężkich warunkach, nadwyrężają zdrowie, a tu taki młody goguś z „Dziennika Polskiego" zostaje uznany za budowniczego, którym nigdy nie był.

Kto wpadł na pomysł, żeby Pana odznaczyć?

Przewodniczący Dzielnicowej Rady Narodowej napisał do redakcji, że chcą mnie odznaczyć, bo jestem jednym z nielicznych dziennikarzy, którzy rozmawiają z pracownikami Huty im. Lenina podczas ich pracy. Faktycznie było tak, że większość moich kolegów po fachu nie chciała przychodzić do huty, bo

brudno tam, gorąco, zadymienie i hałas ogromny... A mi się to tak podobało.
To były czasy, gdy w kombinacie pracowało 40 tysięcy ludzi i produkowano stal. W listopadzie ubiegłego roku władze ArcelorMittal podjęły decyzję o wygaszeniu wielkiego pieca i zostało około dwóch tysięcy pracowników.
Dokładnie śledziłem historię wygaszenia ostatniego wielkiego pieca, przy okazji obserwując, jak dzisiaj związki zawodowe nic nie znaczą. W krakowskiej hucie ArcelorMittal działa obecnie około dziesięciu związków zawodowych, w tym sześć większych. Kiedy przekazano pracownikom informację o wygaszeniu pieca, wszystkie związki zjednoczyły siły, protestowały w różnych formach, apelowały do rządu i premiera Mateusza Morawieckiego.
Nic nie pomogło.
Nic, bo właściciela huty nie obchodzi, czy protestuje „Solidarność" czy inny związek. Liczy się tylko światowa koniunktura. Ten ostatni piec był bardzo nowoczesny, trzy lata temu go remontowano. Mógł jeszcze z dziesięć lat popracować.
Również w ubiegłym roku Nowa Huta świętowała jubileusz 70-lecia, hucznie i różnorodnie. Śledził Pan te obchody?
Owszem. Program był faktycznie bardzo bogaty, jednak miałem wrażenie, że po raz kolejny zapomniano o ludziach, którzy to miejsce budowali.
Ale przecież niedawno powstał Skwer Budowniczych Nowej Huty między Nowohuckim Centrum Kultury a osiedlem Centrum E. Z moich informacji wynika, że sami mieszkańcy Nowej Huty zgłaszali krakowskim radnym propozycje jego umiejscowienia.
Dobrze, że rada miasta podjęła taką decyzję, jednak do tej pory nie odbyło się oficjalne otwarcie skweru.
A Pan by chciał, żeby w Nowej Hucie stanął – na przykład – pomnik pamięci budowniczych miasta i kombinatu?
Tylko nie pomnik! Nigdy nie zabiegałem o uczczenie ich pamięci w takiej formie, zresztą pomników w Nowej Hucie jest już za dużo. Jan Paweł II ma trzy pomniki, kolejne trzy „Solidarność", a dwa ksiądz Jerzy Popiełuszko. Nawet smok wawelski ma swój pomnik przy ulicy Kornela Makuszyńskiego!
W takim razie jaka forma byłaby odpowiednia?
Tę książkę napisałem po to, by przypomnieć społeczeństwu o zasługach budowniczych Nowej Huty. Dla mnie historia tego miejsca jest zarówno piękna, jak i tragiczna. Nowa Huta z miasta szczęśliwości stała się miejscem, które do dziś ponosi karę za ideę, która przecież sama w sobie była piękna. A że nie wszystko wyszło...
Najsurowszą karę płacą budowniczowie Nowej Huty.
Od lat żyją z garbem komunistycznej przeszłości. Mało kto o nich pamięta, rzadko są gdzieś zapraszani. Na co dzień siedzą sobie w Parku ZUS-u, bo tak nazywają Park Ratuszowy, i patrzą na zbudowane przez siebie domy, które są bardzo solidne i wierzę, że będą ludziom służyły jeszcze przez wiele lat.

Katarzyna Domagała – absolwentka Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej oraz Zarządzania Kulturą i Mediami; interesuje się kulturą współczesną oraz tematami społeczno-politycznymi. Miłośniczka kina Bergmana, rocka i jazzu progresywnego. W wolnych chwilach pisze i maluje.

Motoryzacja w służbie tradycji. 1932

Tekst: Krzysztof Jakubowski **Zdjęcia** z archiwum autora

Ta scena rozgrywała się w grudniu 1932 roku na krakowskim Rynku, dokładnie pod Szarą Kamienicą. Przypomnijmy, że naprzeciw odbywał się coroczny wielki targ z choinkami.

Jak widać, w latach 30. ubiegłego wieku zamożniejszym klientom nie wystarczała już posługa ekspresa. Elegancki pan w płaszczu z bobrowym kołnierzem przyjechał po drzewko własnym automobilem. Fotografia nie jest zbyt wyraźna, ale to najprawdopodobniej czterodrzwiowy Ford A, model 1928. Jeden z około 1200 pojazdów osobowych zarejestrowanych wówczas w Krakowie.

Ówczesne samochody nie miały jeszcze bagażników ani relingów, toteż przewożenie bagażu na dachu nie było na porządku dziennym. Właściciel auta deliberuje zapewne ze swym szoferem – to ten lżej ubrany mężczyzna, po prawej – jak zabezpieczyć ten nietypowy ładunek. Na pewno potrzebna będzie długa linka, którą owiną drzewko, przewiązując następnie wewnątrz kabiny, pod dachem. Zamknięte drzwi docisną linkę i spowodują, że nietypowy bagaż nie powinien się przesuwać. Ale łatwo nie będzie...

W tle, po lewej widać kamienicę Bidermanowską (Rynek Główny 5), należącą wówczas do rodziny Rose, prowadzącej popularną restaurację z wejściem od ul. Siennej. Kiosk okrąglak, charakterystyczny element krajobrazu miasta od połowy lat 20. XX stulecia, przetrwał tam aż do smutnej przebudowy Rynku, rozpoczętej w lipcu 1962 roku.

Miasta online

Tekst i zdjęcie: Agencja Wenecja

Kiedy Jan Gehl, architekt i urbanista, pisał kilka lat temu książkę *Miasta dla ludzi*, upowszechniał tezę, że dobre miasto musi być miejscem spotkań o uwarunkowaniach dla trzech podstawowych ludzkich aktywności: patrzenia, słuchania i mówienia.

Miało ono stanowić swoistą platformę do wyrażania emocji zarówno podczas spotkań sąsiedzkich, kulturalnych, jak i demonstracji społecznych. Zacznij od życia, poczekaj na budynki – tymi słowami określał kolejność tradycyjnego projektowania urbanistycznego opartego na życiu miasta. Czas pandemii zmusił nas niejako, by w przestrzeni miejskiej na jakiś czas... przestać żyć. Przenieśliśmy swój świat realny do sfery cyfrowej – nie wiadomo, na jak długo. I niemal nie wychodzimy z budynków.

Dlatego przez ostatnie miesiące Polacy znacznie intensywniej korzystają z sieci. Obserwujemy wysokie przyrosty dotyczące internetu stacjonarnego – zgodnie z raportem Urzędu Komunikacji Elektronicznej w godzinach od 8 do 16 wzrosły one o 140 procent w stosunku do stycznia i lutego. Jest to związane nie tylko z pracą czy nauką zdalną, ale także innymi formami spędzania czasu wolnego niż przed wprowadzonymi obostrzeniami. I kiedy okazuje się, że ciągłe korzystanie z internetu staje się kluczowe dla naszego codziennego życia, należy pamiętać, jakie niesie to za sobą ryzyka – bo przecież nadal mamy do czynienia z wykluczeniem cyfrowym niektórych grup, na przykład mieszkańców małych miejscowości czy osób starszych.

Czy „architekci" cyfryzacji w tym trudnym momencie stworzą nam równie dobre podstawy miast online? Jak zmieni się rola technologii w zarządzaniu miastem? Czy jesteśmy gotowi na wirtualną rzeczywistość, w jakiej się znaleźliśmy? Te i wiele innych pytań pojawia się w głowach samorządowców i ekspertów, którzy przygotowują gminy i metropolie na nieuchronny proces informatyzacji. Samorządy od pewnego czasu nieśmiało zabierały się do wprowadzania zmian związanych z dostępnością swoich usług przez internet. Proces uzależniony od wielkości miasta i środków finansowych był raczej powolny, a jego celem stworzenie do-

datkowej drogi, alternatywy dla osobistego stawiennictwa w urzędach, nie zaś całkowite przejście na obsługę mieszkańców online. Konieczność walki z koronawirusem jednak przyspieszyła postępującą cyfryzację. To, co kilka lat temu było nowością, dziś stało się codziennością.

Jesteśmy na takim etapie rozwoju cywilizacji, że ograniczenia, jakie tworzy pandemia, są możliwe do nadrobienia. Technologia pozwala nam w miarę sprawnie funkcjonować – wystarczy włączyć komunikatory czy wybrać numer w telefonie. W pewien sposób miasta zbliżyły się do swoich mieszkańców – szukają z nimi kontaktu, intensywniej prowadzą media społecznościowe, poszerzyły dostęp do informacji. Przywołać tu można Kraków, Warszawę czy Poznań – gdzie prezydenci nagrywają dla społeczności lokalnej filmiki informujące o swojej działalności i walce z wirusem. Urzędnicy, zamiast patrzeć na skrzynkę mailową z niechęcią, widzą w niej możliwość sprawnego działania i lepszego kontaktu z interesantem.

Kraków jest przykładem miasta wzorowo przygotowanego do internetowej obsługi mieszkańców. Za pomocą elektronicznej skrzynki podawczej można złożyć wnioski, zgłoszenia czy oświadczenia. Zdalną obsługę oferują również spółki i inne jednostki miejskie. Dzięki platformie Play Kraków dostęp do miejskiej kultury jest jeszcze łatwiejszy niż dotychczas. Ponadto Kraków aktywnie wspiera w swoich mediach społecznościowych lokalnych przedsiębiorców, których biznesy ucierpiały w wyniku obostrzeń, zachęcając mieszkańców chociażby do zamawiania jedzenia na wynos.

Tarnów i Zgierz sesje rady miasta prowadzą online, prowadzą też zdalną obsługę mieszkańców. Promują między innymi korzystanie z platformy ePUAP oraz eBOI.

Aby ograniczyć przemieszczanie się komunikacją miejską, władze Wiednia uruchomiły nowe stacje WienMobile dające możliwość szerszego korzystania z rowerów czy hulajnóg miejskich. Jednak po zamachu na początku listopada wiedeńczycy zostają w domach i mają możliwość kontaktu z urzędami zdalnie oraz za pomocą infolinii.

Premier Włoch przyznał, że przy tak wysokiej skali zachorowań trudne staje się śledzenie kontaktów osób zakażonych – dlatego wszelkie interakcje społeczne muszą zostać ograniczone. I tak wszystkie kongresy i konferencje mogą odbywać się wyłącznie w formie połączeń internetowych. W liceach, technikach i szkołach zawodowych 3/4 uczniów objętych jest trybem nauki zdalnej. W dekrecie, który wszedł w życie z końcem października, zawarto informację o zwiększeniu pracy zdalnej w administracji publicznej, a także „silną rekomendację" przejścia na tryb online w przypadku prywatnych firm.

Andrzej Kulig, wiceprezydent Krakowa

Trudno dziś wyobrazić sobie nasze życie bez nowych technologii. W dobie pandemii tym bardziej, bo wielu z nas zaczęło na przykład pracować zdalnie. Także Urząd Miasta Krakowa nie mógłby funkcjonować bez szkody dla mieszkańców, gdyby kontakt z nami w tych trudnych miesiącach był możliwy tylko przez „okienko". Pandemia spowodowała upowszechnienie tak zwanego e-Urzędu. Obecnie realizujemy 159 usług publicznych przez internet – 82 z nich w pełni elektronicznie, zatem mieszkaniec może załatwić je bez wychodzenia z domu. Widzimy, że sytuacja epidemiczna zachęciła krakowian do korzystania z tego rozwiązania. Na przykład – w 2018 roku w Wydziale Spraw Administracyjnych procedury z zakresu ewidencji ludności załatwiane drogą elektroniczną stanowiły 7 proc., rok później – 12,3 proc., a w okresie od marca do lipca 2020 roku – aż 51 proc. Dodatkowo w tym roku uruchomiliśmy urzędomaty, które są nie tylko odpowiedzią na potrzebę usług bezkontaktowych, ale także krokiem naprzód w realizacji idei zarządzania miastem opartym na założeniach „Smart Cities".

Wiemy jednak, że nie jest to droga idealna, bo na razie obejmuje tylko część procedur, którymi zajmuje się urząd. Nie jest to też droga dla wszystkich – nie możemy zapominać na przykład o osobach starszych, które z wiadomych powodów nie skorzystają z tego typu rozwiązań. Oczywiście w przyszłości katalog usług elektronicznych będzie się powiększał – to naturalna konsekwencja cyfryzacji naszego życia. Jednak z pewnością nowe narzędzia, które z założenia mają ułatwić nam życie, nie zastąpią tradycyjnej formy kontaktu mieszkaniec–urzędnik, która jest ważna dla obu stron tej relacji.

Przemysław Staniszewski, prezydent Zgierza

Szczęśliwie jako Miasto Zgierz już od lat podejmujemy działania zmierzające do cyfryzacji usług publicznych czy choćby digitalizacji dokumentacji. Urzędnicy intensywnie promują między innymi platformy ePUAP oraz eBOI poprzez własne media i w indywidualnych rozmowach z mieszkańcami. Instruujemy, jak się zalogować, informujemy o sprawach, które można załatwić online, przekonujemy, że to duża oszczędność czasu. Posiedzenia Rady Miasta także w naturalny sposób przeszły do świata online. Przyszłość wymusi na nas dalszy rozwój narzędzi internetowych, bo czy tego chcemy czy nie, świat idzie właśnie w stronę cyfryzacji i młode pokolenia będą preferowały załatwianie spraw przez internet.

Jakub Kwaśny, przewodniczący Rady Miasta Tarnowa

W Tarnowie zakres e-usług administracji publicznej ciągle rośnie. Na drzwiach każdego urzędu jest wykaz adresów mailowych do urzędników, można je również znaleźć w internecie. Kwestie takie jak podatki, meldunki, dokumenty załatwiane są online. Sesje tarnowskiej Rady Miejskiej w całości przeszły w tryb online. Dla niektórych rzecz wydaje się prosta – bo co to za filozofia połączyć się za pomocą komputera. Ale dla wielu – szczególnie starszych osób – to było wyzwanie. Na szczęście pierwszą sesję poprzedziliśmy kilkoma szkoleniami. Niektórzy wolą kontakt z człowiekiem, ale ja upatruję w rozwoju e-administracji szansę na wzrost zadowolenia mieszkańców z kontaktów z urzędem. Z tego, co wiem, Kraków w tym zakresie jest w Małopolsce liderem!

76. SEZON ARTYSTYCZNY

FILHARMONIA im. KAROLA SZYMANOWSKIEGO w KRAKOWIE

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

ANTONI WIT – Dyrygent Honorowy

KONCERT ORATORYJNY
87. rocznica urodzin Krzysztofa Pendereckiego /1933-2020/

ORKIESTRA I CHÓR FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

Antoni **WIT** dyrygent

Jarosław **BRĘK** baryton

Teresa **MAJKA-PACANEK** chórmistrz

TRANSMISJA ONLINE

6.12.2020
niedziela, godz. 18.00

YouTube

w programie:

Rafał JANIAK *Postscriptum 8':37" ≈ 8(.)6…*
Utwór pamięci prof. Krzysztofa Pendereckiego (prawykonanie)

Krzysztof PENDERECKI
Epitaphium Artur Malawski in memoriam
VI Symfonia *Pieśni chińskie*
O gloriosa virginum
Agnus Dei z *Polskiego Requiem*
Stabat Mater z *Pasji wg św. Łukasza*

fot. B. Fidych

KONCERTY ORATORYJNE

ORKIESTRA I CHÓR FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

Łukasz **BOROWICZ** dyrygent

Teresa **MAJKA-PACANEK** chórmistrz

w programie:

Arcangelo CORELLI
Concerto grosso g-moll op. 6 nr 8 *Na Boże Narodzenie*

Francis POULENC
4 motety na Boże Narodzenie

Camille SAINT-SAËNS
Oratorium na Boże Narodzenie

18.12.2020	**19.12.2020**
piątek, godz. 19.30	**sobota, godz. 18.00**

ODNOWIONA SALA FILHARMONII KRAKOWSKIEJ
ul. Zwierzyniecka 1

fot. J. Mielniczuk

WWW.FILHARMONIA.KRAKOW.PL

FILHARMONIA im. Karola Szymanowskiego W KRAKOWIE

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

„I na sam koniec horroru / miejmy nadzieję obudzimy się…”

Tekst: Krzysztof Burnetko **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Po siedmiu latach przerwy, a na dodatek w słabo rokującym (nasuwa się słowo „martwym”, ale brzmiałoby ono niesmacznie) czasie panowania Covid-19, zespół Świetliki ogłosił kolejną płytę. Już ta decyzje może zaskakiwać. Intrygujący jest też jej tytuł (na wszelki wypadek wydawnictwo zaopatrzono też we wkładkę w formie pocztówki z grzeczną jego wersją *Zbudź mnie, zanim mnie pocałujesz*). Kwestię pierwszą (termin wydania) Marcin Świetlicki wyjaśnia częstym wśród artystów tłumaczeniem, że nigdzie nie jest powiedziane, że płyty trzeba wydawać co roku, przeciwnie – należy to robić jedynie wtedy, gdy nadejdzie stosowny moment. Co do kwestii drugiej po egzegezę tytułu poleca zwrócić się do jego pomysłodawcy Grzegorza Dycha.

Muzycznie, jak zawsze u Świetlików, nie ma nawału dźwięków, nastroje ponure mieszają się z prześmiewczymi parodiami. Czasem jest – jak piszą krytycy – psychodelicznie, czasem leniwie, czasem transowo (jest nawet elektronika). Słychać oczywiście stare fascynacje śpiewaka i grajków – a to The Stooges i Iggy Popem, a to choćby Morphiną. Ale nie ma mowy o monotonii kojarzonej z tą ostatnią – owszem, bywa, że muzyka snuje się oszczędnie, ale jest przecież chociażby ekspresja (tak, tak!) wokalisty oraz zacna altówka Zuzanny Iwańskiej i klawisze Michała Wandzilaka.

W napiętym emocjami – zarówno egzystencjalnymi, jak politycznymi – czasie teksty Świetlickiego wybrzmiewają szczególnie. Taka *Śmiertelna piosenka*: „A to moja śmiertelna piosenka / To rodzaj żywiołowej stypy / na którą się trafiło przypadkiem / To jest przedśmiertny dansing / To jest przedśmiertny taniec”. A równocześnie jakże aktualne *Nie otwieraj nikomu*: „Namolny świat tutaj dzwoni / chce koniecznie coś ci sprzedać / powiedzieć coś zatrutego / chce czegoś zabronić / jakąś ulotkę wcisnąć / i pogrzebać w twoim śmietniku / i pogrzebać ciebie / nikomu nie otwieraj”.

Płytę zamyka zaś *Lepsza wersja* z taką oto wizją: „I na sam koniec horroru / miejmy nadzieję obudzimy się pod wodą / jeden zdecydowany ruch ramion, silne odbicie od zimnego dna nogami / powietrze słońce / wynurzymy się blisko bardzo blisko…”.

„Nie otwieraj nikomu, nikomu nie otwieraj, bo ten, który dzwoni, to na pewno nie Jezus”.

Co ważne – nie jest już ponoć tak, że w Świetlikach wokalista śpiewa (a raczej mówi, recytuje, syczy i szumi) wiersze poety Marcina Świetlickiego. Teraz wokalista Świetlików śpiewa teksty pisane przez Marcina Świetlickiego specjalnie dla zespołu. (O swojej hierarchii sztuk Marcin Świetlicki opowiada szerzej w rozmowie zamieszczonej w tym numerze „Krakowa”). Dlatego wielbiciele i wielbicielki talentu poetyckiego Marcina Świetlickiego, którzy z racji rozmaitych ortodoksji czy zahamowani wzbraniali się uparcie przed słuchaniem Świetlików, już bez żadnego „ale” muszą zacząć to robić.

Świetliki, *Wake me up before you fuck me **, Karrot Komendo, 2020.

Grudzień 1920 roku

Tekst: Krzysztof Jakubowski

1 grudnia. Z kroniki „Nowej Reformy”: „W niedzielę wieczorem znany i ceniony artysta teatru »Bagatela« , p. Zbucki, uległ tragicznemu wypadkowi. Jadąc tramwajem ul. Długą, wyskoczył on z wozu i wpadł nieszczęśliwie pod koła nadjeżdżającego tramwaju, które zdruzgotały mu prawą nogę powyżej kostki. Zawezwany lekarz dokonał na miejscu amputacji, jednakże po przewiezieniu p. Zbuckiego do szpitala św. Łazarza konieczna okazała się reamputacja nogi prawie po kolano. Lekarze zapewniają, że możliwe jest zastąpienie nogi protezą, która pozwoli p. Zbuckiemu kontynuować karierę. Wiadomość o tragicznym wypadku rozeszła się po mieście, budząc żywe współczucie wśród wielbicieli artysty”.

Wskutek ostatnich silnych mrozów 16 grudnia 1920 roku zamarzła Wisła pod Krakowem. Powierzchnia wody pokryła się grubą warstwą lodu, jedynie wzdłuż brzegów, na wąskiej przestrzeni płynęły jeszcze strumyki wody.

Istotnie, mimo wypadku i inwalidztwa Leopold Zbucki (1886–1955) z powodzeniem kontynuował karierę. Był cenionym aktorem charakterystycznym, wykonywał też partie wokalne w operetkach.

1 grudnia. Z kroniki „IKC”: „Podczas wiecu zwołanego w niedzielę przez ks. Lutosławskiego w sali »Sokoła« niejaka Eugenia Rydlówna, lat 40, prywatna nauczycielka, wznosiła okrzyki »Niech żyje Trocki«, wskutek czego aresztowano ją. Rydlówna tłumaczy, że chciała w ten sposób zdemaskować partię polsko-socjalistyczną, wskazując jej rzekomo bolszewicki kierunek polityczny”.

3 grudnia. „W nocy z 28 na 29 listopada nieznani sprawcy wywrócili pięć popiersi ludzi zasłużonych w parku Jordana. Bandy opryszków grasujące po nocach w parku Jordana i okolicy posługują się bronią palną. W zeszłym roku bandyci zastrzelili dużego psa dozorcy parku. Bezpieczeństwo publiczne na Błoniach i w parku Jordana w porze nocnej pozostawia wiele do życzenia” – ubolewał reporter „Czasu”.

3 listopada. „Wczoraj o godz. 9.15 wieczorem zawezwano Pogotowie Ratunkowe do Jana Wawrzusiaka, gospodarza zamieszkałego na Zwierzyńcu, ul. Królowej Jadwigi 67, który będąc w stanie silnego podchmielenia, wypadł z wozu koło rogatki na Woli Justowskiej i kopnięty przez konia w głowę poniósł śmierć na miejscu. Wawrzusiak osierocił żonę i sześcioro dzieci – odnotował „Głos Narodu”.

Rogatka na granicy miejskiego już (od 1910 r.) Zwierzyńca i podmiejskiej Woli Justowskiej stanęła w 1919 roku przy ul. Królowej Jadwigi 155, u zbiegu z obecną ul. Borowego. Budynek mieszczący mieszkania i sklep zburzono w 2001 roku.

3 grudnia. Jak „Gazeta Lwowska” podała za „Nową Reformą”: „Generalny delegat rządu zamianował kancelistę Teofilę Rydlińską oficjałem dyrekcji policji w Krakowie, w X klasie rangi”.

Rydlińska była pierwszą kobietą zatrudnioną w krakowskiej policji. Warto wspomnieć, że terminologia „oficjał”, czyli urzędnik, i „klasa rangi” pochodziła z austriackiej jeszcze pragmatyki służbowej. Takich rang, czyli zaszeregowań, było XI.

4 grudnia. „Nowa Reforma” zamieściła komunikat-zaproszenie: „W niedzielę o godz. 9.30 odbędzie się w Dębnikach poświęcenie nowego kościoła parafialnego, zbudowanego z drzewa drogą składek przez obywateli dębnickich. Uroczystego aktu dokona ks. biskup Sapieha. Obecność swą na uroczystości przyrzekli: prezydium miasta, generalicja, starosta Kowalikowski oraz reprezentanci władz. Zarząd kościoła dębnickiego, przeznaczonego dla ludności Dębnik, Zakrzówka i Pychowic, sprawować będą księża salezjanie”.

6 grudnia. Anons z „IKC”: „Pianino sprzedam, chętnie za prowianty, ul. Filarecka 15 II p., w godz. 10–13”.

8–9 grudnia. Dzienniki donosiły o obławie na nielegalnych handlarzy walutą przeprowadzonej przez policję. U około tysiąca zatrzymanych zakwestionowano waluty obce, papiery wartościowe oraz złote i srebrne monety o wartości ponad 10 mln marek.

Ówczesna „czarna giełda” funkcjonowała wtedy zwyczajowo w okolicy skrzyżowania ulic Starowiślnej i Dietla.

8 grudnia. „Czas” przedrukował komunikat Dowództwa Okręgu Garnizonu: „Ażeby zapobiec szerzeniu się fałszywych i anonimowych wiadomości, godzących nieraz tendencyjnie w honor i cześć żołnierza polskiego, a równocześnie dać możność obrony atakowanemu, pod adresem którego kierowane są krzywdzące zarzuty, DOG w Krakowie oświadcza, że na wszelkie anonimy z zasady reagować nie będzie, natomiast poddaje rozpatrzeniu każde otwarte, śmiałe z podpisem doniesienie”.

9 grudnia. Notatka z „Czasu”: „Aresztowano Wasyla Wyczaję, lat 50, reemigranta

Wnętrze restauracji Wentzla w Rynku Głównym 19. Na gotyckim sklepieniu widać dawne lampy gazowe, sąsiadujące z „nowoczesnym" oświetleniem elektrycznym, fot. ok. 1907, „Nowości Ilustrowane"

Pierwszy drewniany kościół w Dębnikach, fot. ok. 1925, archiwum K. Jakubowskiego

Ignacy Zbucki, tragicznie doświadczony aktor, fot. 1921, domena publiczna

z Ameryki, który w szynku przy ul. Lubicz wyrażał się ujemnie o rządzie i państwie polskim".

☞ **11 grudnia.** „W ubiegłym miesiącu powołany został do życia i rozpoczął swą działalność pierwszy Inspektorat Farmaceutyczny w Małopolsce, z siedzibą w Krakowie" – odnotował „Głos Narodu".

☞ **13 grudnia.** „»Bolszewizm na tle mesjańskich nadziei u Żydów« – odczyt na powyższy temat wygłosi w klubie Polskiego Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji przy pl. Mariackim 2 II p., we wtorek 14 bm. o godz. 7 wieczór, profesor UJ, ks. dr Józef Kaczmarczyk" – zachęcał „Głos Narodu".

☞ **17 grudnia.** Z kroniki „Czasu": „Wskutek ostatnich silnych mrozów zamarzła wczoraj Wisła pod Krakowem. Powierzchnia wody pokryła się grubą warstwą lodu, jedynie wzdłuż brzegów, na wąskiej przestrzeni płyną jeszcze strumyki wody".

☞ **19 grudnia.** Notatka z „IKC": „Handlarze drzewek na Rynku nie trzymają się cen ustalonych przez magistrat i żądają za choinki zawyżonych cen. Wobec tego przypomnieć należy, że Zarząd Ogrodów Miejskich przy ul. Lubicz 23 sprzedaje tamże oraz w szkółkach po pałacu Lasockich w Dębnikach drzewka poniżej cen maksymalnych".

☞ **20 grudnia.** Z informacją powyżej korespondował anons z „IKC": „Polskie ozdoby na drzewko poleca pracownia »Bluszcz«, Kraków ul. Szczepańska 7 I piętro".

☞ **20 grudnia.** Dzienniki alarmowały w sprawie zaopatrzenia w węgiel prywatnych odbiorców. Pomiędzy 10 a 19 grudnia nie doszedł do Krakowa nawet jeden wagon z węglem. Niemal wszystkie transporty węgla rekwirowała kolej.

☞ **20 grudnia.** Z kroniki „IKC": „Żegluga Polska zawiadamia, że sprowadziła dwa wagony ryb, które sprzedawać będzie od wtorku 21 bm., na pl. Na Groblach, pomiędzy godz. 10 a 2 po południu".

☞ **21 grudnia.** Prasa podała informację o ucieczce z obozu w Dąbiu internowanych tam komunistów. W związku z tym Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Ministerstwo Spraw Wojskowych powołało specjalną komisję, która przeprowadzić miała dochodzenie po przybyciu do obozu.

☞ **22 grudnia.** Z kroniki „Nowej Reformy": „Wczoraj rano we własnym mieszkaniu przy ul. Pędzichów odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru w usta adiunkt policji Józef Kubicki, lat 50. Zmarły, który miał opinię człowieka bardzo uczciwego i pracowitego, pozostawił listy, w których oświadcza, że przyczyną jego samobójstwa jest niechęć do życia".

☞ **22 grudnia.** W sali Teatru Powszechnego przy ul. Rajskiej 12 odbył się wiec zwołany przez Radę Robotniczą PPS. Wśród licznych krytycznych postulatów domagano się wyborów do rady miasta na podstawie nowej pięciostopniowej ordynacji. Wiec zakończył się sformowaniem pochodu, który udał się pod siedzibę starosty, przekazując żądania zgromadzonych. Tak poważne wydarzenie pominęły milczeniem dzienniki konserwatywne, a odnotował jedynie „IKC".

Budynek ówczesnego Teatru Powszechnego przetrwał do 2009 roku, mieszcząc po ostatniej wojnie warsztaty teatralne. Dziś stoi w tym miejscu Małopolski Ogród Sztuki.

☞ **27–28 grudnia.** Dzienniki relacjonowały pobyt w Krakowie premiera Bułgarii Aleksandyra Stambolijskiego. Gość zwiedził zabytki miasta, a na sarkofagu Władysława Warneńczyka w katedrze wawelskiej złożył wieniec z napisem na szarfie: „Obrońcy Warny – wdzięczna Bułgaria".

☞ **30 grudnia.** „Porucznik Fedorowicz, dowódca odwachu w dniu wigilijnym, nadesłał firmie Jan Wentzl serdeczne podziękowanie za sprawienie żołnierzom pełniącym w tym dniu służbę sutej staropolskiej wieczerzy wigilijnej. Jak się dowiadujemy, firma Pana Jana Wentzla, jedna z najstarszych mieszczańskich firm w Krakowie, od szeregu już lat praktykuje ten obywatelski, a piękny czyn, by tym sposobem wartującej załodze uprzyjemnić wigilijny wieczór".

Firma Wentzl (Wentzel) szczyciła się tradycją handlową od 1749 roku (w Krakowie od 1792 roku). Początkowo był to handel korzenny (zwany później kolonialnym) w pałacu Krzysztofory, następnie także restauracja, już pod nowym adresem, w domu Pod Obrazem przy Rynku Głównym 19.

☞ **30 grudnia.** Z kroniki „Nowej Reformy": „Wczoraj w godzinach wieczornych z karetki Pogotowia Ratunkowego, przejeżdżającej przez ul. Straszewskiego, wyskoczył wieziony do szpitala umysłowo chory i począł uciekać w stronę Uniwersytetu. Ponieważ obłąkany rzucał się na przechodniów, zawezwano silny patrol policyjny, który po formalnej obławie obezwładnił nieszczęśliwego i oddał go w ręce lekarzy. Obławie przypatrywały się tłumy publiczności".

☞ **31 grudnia.** Dzienniki donosiły o podwyżce cen energii elektrycznej i gazu. Metr sześcienny gazu był niemal dwukrotnie droższy od jednej kilowatogodziny.

☞ **31 grudnia.** „Jak się dowiadujemy, obecnie prawie nie ma w Krakowie chorób zakaźnych, a tyfus plamisty, który grasował w zeszłym roku epidemicznie, niemal wygasł w naszym mieście. Najgłówniejszą przyczyną tego pocieszającego objawu jest brak ewakuowanych ze wschodu, którzy byli roznosicielami zarazy" – odnotował „Głos Narodu".

☞ **31 grudnia.** Dzienniki anonsowały wieczory sylwestrowe, organizowane we wszystkich teatrach, a także między innymi w sali Kasyna Oficerskiego przy ul. Zyblikiewicza.

Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Kraków

www.biblioteka.krakow.pl

BIBLIOTEKA KRAKÓW • INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Gęste życie Marii Jaremy

Tekst: Paweł Głowacki

Wtorek

„Nie jestem pewna, czy go kochała...". Kto kogo? Ona – Maria Jarema. On – Henryk Wiciński. Ich status? Studenci Akademii Sztuk Pięknych. Kierunek? Rzeźba. Profesor? Xawery Dunikowski. Epoka? Cisza przed ostatnią wojną. Miejsce? Kraków... Wystarczy. Siedem odpowiedzi. Siedem faktów z dalekiej przeszłości, faktów nie do obalenia, nie do przemilczenia ani rozmiękczenia. Siedem prawd, a każda – kamyk jasny, nieomylny. Nawet cienia szansy na spekulacje brak, jest sama siedmiogłowa pewność, nic więcej zatem nie pozostaje, jak tylko wierzyć bez szemrania. Skąd zatem to nagłe wahanie? „Nie jestem pewna...". Potężna biografia *Jaremianka* niechybnie jest sprawdzona we wszystkich detalach, których milion albo i dwa. Myślę, że każda z ponad sześciuset stronic słów bądź fotograficznych śladów tamtych lat między 1908 a 1958 rokiem, gdy trwa życie Marii Jaremy – każda jest stronicą z certyfikatem prawdomówności. Kto więc w ten potężny gmach biograficznego spokoju – na stronie 84 wkracza naraz ze swoją bezradnością? Kto niemo wyznaje, iż

Tadeusz Kantor był wobec Jaremianki pokorny, jak choćby wobec Marcela Prousta i kilku, lecz rzeczywiście tylko kilku twórców. Tak, wyśnił wraz z nią Cricot 2, a później, wiele lat po jej śmierci na raka krwi, wyśnił sekwencję pięciu seansów, pięciu opowieści o widmach, co wracają na naszą stronę.

głowy nie da ani za to, że miłość to była wielka, ani za to, że tylko równie wielka przyjaźń, ani że było to coś pomiędzy dwiema rzeczonymi wielkościami? „Nie jestem pewna, czy go kochała...". Kto to mówi? Kto i dlaczego?

Czwartek

Można odpowiedzieć prosto, zgodnie z prawdką naskórkową. Że natury jednej uczuciowej pestki, wydłubanej z cudzej przeszłości, nie jest pewna – to na stronie 84 wyznaje Agnieszka Dauksza, autorka biografii *Jaremianka*. I można zamilknąć. Tylko że... Gdy te zdania kreślę, zbliża się grudzień, miesiąc wielu jubileuszy Teatru Cricot 2, na czele z rocznicą śmierci Tadeusza Kantora, który z Marią Jaremą tworzył Cricot 2 i miał dla jej niebywałej osobowości, jak i dla jej sztuki malarskiej, rzeźbiarskiej i scenograficznej podziw niekłamany. Nie skłamię, mówiąc: był wobec Jaremianki pokorny, jak choćby wobec Marcela Prousta i kilku, lecz rzeczywiście tylko kilku twórców. Tak, wyśnił wraz z nią Cricot 2, a później, wiele lat po jej śmierci na raka krwi, wyśnił sekwencję pięciu seansów, pięciu opowieści o widmach, co wracają na naszą stronę. I wyśnił figurę w czarnym garniturze, białej koszuli, czarnym szalu i takim kapeluszu, która, jak wyznał, krążyła na krawędzi między dziejącym się na scenie seansem a widownią, między iluzją a realnością, między gośćmi stamtąd a nami, grzecznymi na krzesłach widowni, gdyż działało odwieczne memento: „Gość w dom – Bóg w dom!". Kim była ta figura w czarnym kapeluszu, z nadludzką finezją dyrygująca wizytą widm? Najprawdziwszą prawdę mówiąc – Kantorem. Owszem. Tyle tylko, że to prawda tak bezsilna, jałowa i oczywista, że martwa zupełnie. Jak długo przetrwasz, sycąc się rewelacją, że Kantor – to Kantor? Zatem – jakie jest imię tej postaci? Istnieje słówko Narrator, lecz wolę dwa inne. Wolę imię przezroczystej postaci, co w prologu *Wybrańca* Tomasza Manna pociąga za sznury we wszystkich kościelnych wieżach Rzymu, imię tego dzwonnika jak powietrze, więc o figurze w czarnym kapeluszu mówię: Duch Opowieści.

Sobota

Duch, żeńskiego rodzaju duszek opowieści Daukszy o Marii Jaremie – w istocie to on wyznaje bezradność. „Nie jestem pewna, czy go kochała". Bezradność? Tu chodzi raczej o świadomość niewystarczalności prawdy samej, o pulsującą w intonacji przez ponad sześćset stronic książki Daukszy przeczucie, że mocarnie obiektywny katalog samych tylko sprawdzonych faktów to za mało, by dotknąć przeszłość. Coś trwa pod oczywistościami. Dlatego Dauksza nie jest sama. Dlatego duszek książki Daukszy o Marii Jaremie od pierwszej strony cudnie się kolebie na linie rozpiętej pomiędzy Daukszą katalogującą i sprawdzającą prawdziwość, wagę i znaczenie miliona solennie zbieranych śladów po gęstym życiu Marii Jaremy a niepewnością, dziwnym niepokojem, co spod wszystkich pozornie oczywistych, jasnych, niewzruszonych znaków biografii uporczywie wysyła mgliste, nieczytelne, trudno uchwytne sygnały, które nie dają spokoju, hipnotyzują, każą do siebie wracać.

Choćby to zdjęcie, co zdobi okładkę, fotografia Marii Jaremy z tych dni, tygodni może, kiedy nic już nie dało się zrobić z nieuchronnie bliską przyszłością – ani jej zatrzymać, ani jej zmienić, ani jej ominąć, ani o niej zapomnieć – pozostało więc tylko czekanie. Cóż bardziej oczywistego nad takie zdjęcie? Cóż jaśniejszego? Cóż mniej wątpliwego?

Niedziela

A jednak jasność niewzruszonej pewności – to za mało. „Doszło do tego, że przez długie godziny wgapiałam się w portret Jaremy". Tak duszek otwiera księgę Daukszy, to wyznaje na kanwie rzeczonego zdjęcia, może ostatniego, może przedostatniego. A kiedy się urodziła Jarema? W jakim dniu, miesiącu? W którym roku? Gdzie? Jakie miasto? A kraj? A rodzice? A rodzeństwo? I co dalej? Spokojnie, wszystko zjawi się, wszystko będzie i będzie po kolei, ale nie będzie podane do bezdyskusyjnego wierzenia, lecz

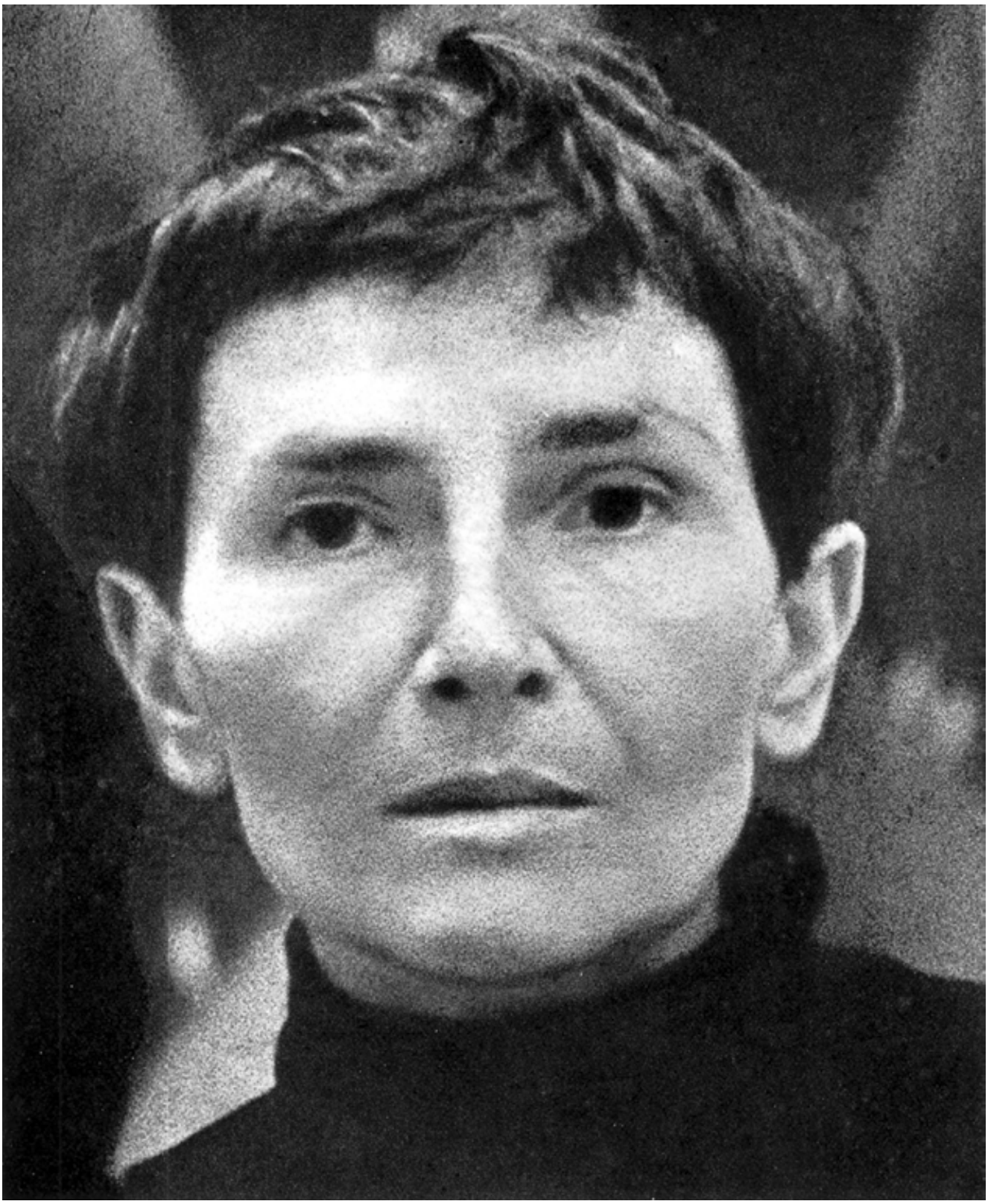

Maria Jarema / © Wikimedia Commons

będzie – opowiedziane. Mawiał bezlitośnie Vladimir Nabokov: „Rzeczywistość nic nie znaczy bez cudzysłowu". Także rzeczywistość przeszłości, zwłaszcza przeszłości cudzej. Należy ją od nowa snuć, nie zmieniając faktów samych. Bo tylko tak wróci przeszłość na chwilę. A czy da się snuć, całkiem rezygnując ze swojej obecności w snutej przez siebie bajce prawdziwej? Początek cudzysłowu Daukszy to początek spowiedzi wyśnionego przez Daukszę duszka opowieści, wpierw dręczonego sowimi zagadkami zdjęcia odchodzącej Jaremy, a potem sowimi zagadkami kolosalnej reszty prawdziwych ingrediencji jej życia krótkiego.

Poniedziałek

„Doszło do tego, że przez długie godziny wgapiałam się w portret Jaremy. Czekałam, aż się poruszy. Liczyłam, że wraz z tym ruchem odsłoni się rąbek tajemnicy, zobaczę Marię pod innym kątem. Dalej" – błaga duszek alabastrową twarz Marii, tę zamarłą na fotografii grudkę przeszłości o najdrobniejszy gest, o mrugnięcie choćby albo milimetrowe drgnięcie włosa nad czołem. Prowokuje twarz. Bezczelnie gapi się w ciemne oczy Marii, zapatrzonej w dal, o której ludzie mówią, że sina. W wyobraźni farbuje krótką fryzurę Marii na różne kolory, prostuje lub gnie zmarszczki, próbuje wcisnąć się w pory jej policzków. „Dawałam jej czas, chciałam, żeby dojrzała do tego ruchu" – tak ciągnie duszek spowiedź swoją. W końcu notuje to, co najistotniejsze: „Rozpoznawałam w niej inne osoby, inne twarze, obce, znajome, pokrewne". I jeszcze: „Miałam poczucie straty za te wszystkie nasze niespotkania, niebycie i nierozmowy". Tak, swym duszkiem opowieści Dauksza wchodzi w obcą sobie przeszłość, cudzemu istnieniu, przepadłemu w glinie, dodaje szczyptę siebie, na kanwie ostatniej, przedostatniej fotografii Jaremy sprawdza moc siwej reguły. Tej, że z człowieka, który czemuś się przygląda – zawsze sporo osiada na tym, co człowiek ogląda. Świat tedy zaczyna się wciąż od nowa pod każdym spojrzeniem, pod okiem każdej opowieści, więc niemożliwe jest, aby wciąż taki sam był, bo każda opowieść to nowa intonacja. Podobnie z przeszłością, z każdym minionym faktem. Jeden był, lecz później mnożą się i tyle ich, ile wspomnień o nim ludzie z siebie wysnują. Duszek dobrze to wie, dlatego łatwo mu było oznajmić: „ Pozyskiwanie Marii trwało długo. Tak długo, aż zrozumiałam: ona nie poruszy się beze mnie". I porusza się Maria! W nanizanych przez Daukszę na narracyjną nić faktach wszechstronnie sprawdzonych – genialna, osobna artystka metaforycznie drży, gdyż Dauksza nie poprzestaje na mozole katalogowania zacnych oczywistości. A jeden raz Maria porusza się nawet – rzeczywiście.

Czwartek

Na stronie 37 – zdjęcie Marii i Nuny, jej siostry bliźniaczki. Zdjęcie odświętne, pozowane, owalne, robione w zakładzie fotograficznym w rodzinnym Starym Samborze. Dwie prawie identyczne dziewczynki, dziesięcioletnie, w prawie identycznych białych sukienkach w czarne grochy – stoją przy kamiennym stole. Na blacie – wysoki wazon z polnymi kwiatami i tycia pod nim serwetka. Maria – po prawej stronie, patrząc od strony fotografa. Nuna – po lewej. Nie mogę się mylić: Maria lewą dłonią dotyka blatu, a prawą ręką, leżącą na blacie, obejmuje wazon. I nie mogę się mylić: łokieć lewej ręki Nuna wspiera na blacie i obejmuje lewą dłonią wazon u samej góry, tuż przy łodygach, zaś prawa jej ręka zwisa swobodnie wzdłuż ciała. Nie chce być inaczej. Na zdjęciu bliźniaczek jest tak, bo tak było w tamtej chwili roku 1918, gdy fotograf rzekł: „Uwaga! Zaraz przeleci ptaszek!". Ale na wcześniejszej stronie duszek, próbując dowieść wrodzonej zaborczości Marii, powiada jasno, bez cienia zawahania, że ekspansywna Maria: „Obejmując wazon, opiera się obiema rękami o kamienny postument oddzielający ją od siostry, podczas gdy Nuna przyciska ręce do ciała". Nie mogę się mylić. „Przyciska ręce do ciała...". Przeczytałem raz jeszcze. Że ręce Nuny wzdłuż jej ciała. Czyli że jej prawa ręka i lewa jej ręka – tak samo, swobodnie, wzdłuż ciała... Co takiego zdarzyło się między rokiem 1918 u fotografa w Starym Samborze a rokiem, powiedzmy, 2019, a dokładniej – pewnym dniem, pewną chwilą pewnego dnia roku 2019, gdy Dauksza patrzyła w Krakowie na owalne zdjęcie bliźniaczek, zaś w kajecie otwartym na blacie biurka tuż koło owalnego zdjęcia, dobry duszek portretował w słowach to, co widziała Dauksza, a co on przeczuwał?

Sobota

Myślę, że zdarzyło się podobnie, jak gdy Kantor patrzył na zdjęcie uczniów szkoły w Tarnowie, na zdjęcie rekrutów idących na front, na zdjęcie swoich rodziców. Coś drgnęło, ktoś dygnął pod spojrzeniem Kantora – i powstały sceniczne opowieści jego pamięci: *Umarła klasa*, *Wielopole, Wielopole*, *Dziś są moje urodziny*. I też podobnie się zdarzyło, jak kiedy Kornel Filipowicz, mąż Marii Jaremy, wiele lat po jej odejściu patrzył w swej pamięci na kliszę powtarzającą pierwsze ich spotkanie w kawiarni. I też drgnęło coś w kliszy nagle – i z drgnienia tego wysunęło się nostalgiczne opowiadanie Filipowicza *Fizjologia*, opowiadanie falujące niczym trzy pamiętliwe seanse Kantora, tylko ciszej, o wiele dyskretniej.

Niedziela

Nie, nic nadzwyczajnego się nie zdarzyło w pewnej chwili pewnego dnia roku 2019. Po prostu – pod czułym spojrzeniem Daukszy przeszłość zdjęła lewą dłoń Nuny z wazonu i ułożyła ją wzdłuż ciała Nuny, czego nikt poza Daukszą i duszkiem nie dostrzegł. I tyle. Zrobiła to przeszłość, wykonała sztuczkę magika, piękną jak wyciągnięcie królika z pustego kapelusza, uczyniła ten gest wielkoduszny, aby duszek opowieści Daukszy mógł gęste życie Marii Jaremy opowiedzieć. Właśnie opowiedzieć, nie skatalogować.

Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

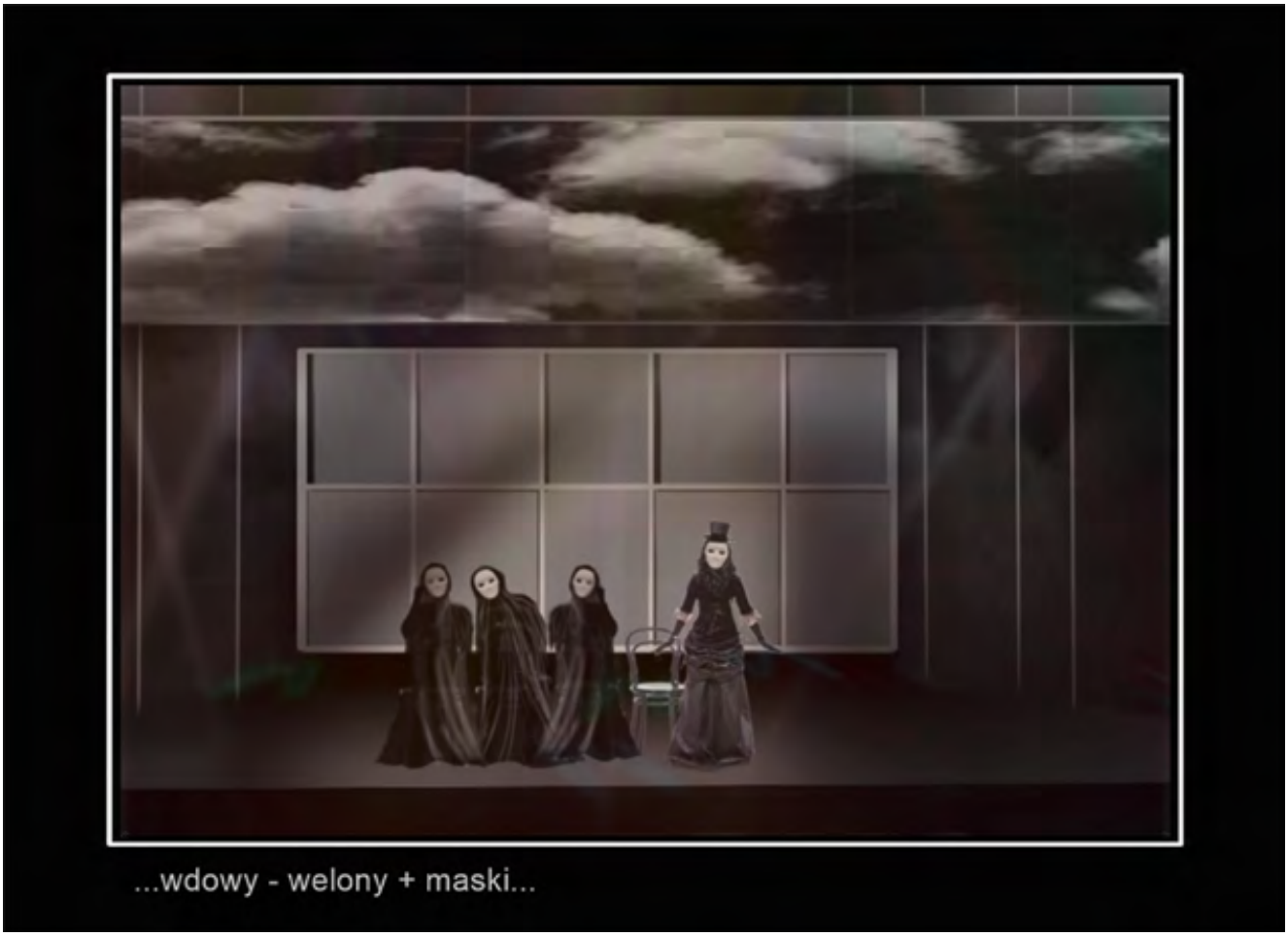

Marek Braun, projekt *Czarne wdowy,* reż. J. Opalski, Teatr Miejski im. W. Gombrowicza w Gdyni

Przysiadalni

Zdjęcie: Jacek Poremba

Fragmenty książki *Wrzeszcz! Mikołaj Trzaska. Autobiografia. Rozmawiają Tomasz Gregorczyk i Janusz Jabłoński*, którą dzięki Wydawnictwu Literackiemu jeszcze w tym roku będzie można znaleźć w księgarniach.

Okres między późną Miłością a okrzepnięciem na scenie muzyki improwizowanej nazywasz niekiedy czasem swojego dryfu. Ale właśnie wtedy robiłeś wiele ciekawych rzeczy, a na pewno z ciekawymi ludźmi. Marcin Świetlicki – jak się poznaliście?
Poznałem go na festiwalu w Opolu. Słyszałem *Nieprzysiadalność*, byłem świadkiem awantury na scenie w czasie próby przed koncertem, kiedy Świetlicki palił papierosy. Wszyscy od organizacji sceny krzyczeli na niego, że nie wolno, a on, że ma to w dupie, bo dostał pozwolenie od lekarza. Bardzo mnie wtedy rozbawił, słodki był maksymalnie. Oni panikowali, a on się świetnie bawił.
Świetlicki wspomina, że muzyków z grupy Miłość traktował jak półbogów. Odczułeś to uwielbienie?

Wszystko, co mnie pociąga i inspiruje, zarówno w literaturze, jak i w muzyce, to rzeczy, które widać, obrazujące świat. Coś, co przepowiada rzeczywistość, która niekoniecznie ma nastąpić, ale na pewno jest poza naszym wpływem. Coś, co ma magiczną siłę i jest w tym element nadprzyrodzony, choć nie ma nic wspólnego z Bogiem. Słyszę to u Coltrane'a, widzę w Nowosielskim, czytam to u Pounda.

Tak. Kiedyś Miłość została zaproszona do przygrywania na uroczystości wręczenia jakichś nagród w Qchni Artystycznej w Zamku Ujazdowskim, coś tam było o zasługach w zakresie postmodernizmu. Taka warszawska śmietanka artystyczna. Organizatorem tej imprezy był Bolek Rok, późniejszy wydawca płyty The Users, a nagrodą — wieszak, który otrzymał również Marcin Świetlicki. A jak już go dostał, to się do mnie przyczepił. „Proszę pana", do mnie mówił. Nie wiedziałem, o co chodzi z tym „panem", bo rzadko spotykam ludzi mówiących w ten sposób. „Proszę pana, byłoby z panem ogromnie miło...". Zachowywał się strasznie lizusowsko! Że Miłość, że *I love you* i w ogóle. Bardzo chciał mnie zaciągnąć do Świetlików na następną płytę. Potem spotkałem jeszcze wielu ludzi z Krakowa, którzy sobie „panowali".

Ciekawe, że to ciebie wybrał z tej całej zgrai.
Po prostu chciał mieć saksofon w zespole postpunkowym. A może wiedział, że jeśliby wybrał Tymańskiego, toby się zjedli? Po jakimś czasie rzeczywiście pojechaliśmy z Olą do Krakowa na próby ze Świetlikami. Mieszkaliśmy w tym ich miejscu w Borku Fałęckim, Marcin pracował wtedy w „Tygodniku Powszechnym" jako korektor. Zresztą pewne nawyki zostały mu do dzisiaj, bo czasami bierze gazetę – wydrukowaną! – i długopisem poprawia wszystkie literówki. Pokochałem Marcina za to, że jest taki, jaki jest. Zobaczyłem też, że wcale nie jest nieprzysiadalny. Że ma wielką tęsknotę za kontaktem i ta zgrywa to tylko kokieteria – wdzięczna i zabawna. U Marcina pod tą śmieszną bardo-rockandrollową pozą drzemie poeta. Jeśli się odkręci głowę Świetlickiego od jego ciałka, odłączy się jego postać od Świetlików i zacznie czytać sam wiersz, to nagle się okazuje, że Świetlicki na łączeniu swojej poezji z muzyką czasem ogromnie traci. Może się wydawać, że zyskuje, ale to zysk pozorny – publiczność Świetlickiego bardziej lubi i dziewczęta bardziej płaczą (choć chłopcy czasami też). Ale kiedy dziś, już jako człowiek starszy, słucham tego, co Marcin ze Świetlikami wtedy zrobił, nie mogę się z tym pogodzić, bo słyszę jakąś ściemę. Świetlicki był dla mnie kimś zupełnie innym, niż był w tym zespole. Próbowałem więc Marcina – bo tak zwykle z ludźmi robię – podzielić na osobę prywatną i na artystę. Bo czasem nie da się żyć z artystą, więc szukasz w nim człowieka. Artystą zaś jesteś tylko na scenie, to trwa godzinę, a potem masz do czynienia z człowiekiem. Ze Świetlikami nie graliśmy dużych tras, choć w sumie tych koncertów było całkiem sporo. Zresztą przyjaźni sobie w zespole Świetliki nie zdobyłem, chociaż próbowałem. Ale chyba tam zazdrość jakaś była, bo w jakimś sensie chciałem im tego Marcina zabrać.
Chciałeś?
Tak. Miałem wizję, że jeśli będziemy grać w duecie, to ocalę Świetlickiego przed sztampą rockowego show, na którym wszyscy machają zapalniczkami. To, co Marcin robił jako poeta, było bardzo awangardowe. I rockandrollowe brzmienie go ugładzało. Pamiętam, jak robiliśmy w studiu *Cacy cacy Fleischmaschine*, zespół nagrał pierwszą setkę, nałożył gitary, Świetlicki zaśpiewał do tego tekst – i to było fenomenalne! Dograłem saksofony, poszedłem sobie, wróciłem po jakimś czasie... i zobaczyłem, że oni ponagrywali jakieś skrzypaczki,

piękne, krakowskie wiolonczelistki, zapięli na tym koszmarny pogłos i cała ta kapitalna, garażowa płyta, do której się dogrywałem, stała się strasznym, rozmytym syfem. A ja wtedy chciałem zostać awangardowym muzykiem, choć jeszcze nie improwizowałem za dobrze. Ale poczułem, że to nie jest moja droga.

Świetlicki trochę walczył z zespołem o zachowanie surowości na płytach. Tylko że Kraków to Püdelsi, Maanam...

Nawet powiedziałbym, że trochę Anawa.

Piwniczność.

Piwnica z bananami. Może dlatego nie polubili mnie muzycznie. Ja dla nich za dziwny. Nieułożony, niegrający, jak należy, niespójny, niezborny, raz wychodzi, raz nie wychodzi... Właśnie dlatego chciałem im tego Świetlickiego wykraść. I wykradałem na trochę, dlatego nie było między mną a Świetlikami miłości. Był szacunek – i do Dyducha, i do Mareczka Piotrowicza, perkusisty, i do Tomka Radziszewskiego, którego niezwykle cenię, bo jest bardzo dziwnym gitarzystą. Bardzo tam na niego krzyczeli i trochę mi przypominał mnie samego w Miłości. „Zagrałbyś normalnie, jak prawdziwy rockandrollowy gitarzysta", mówili. A Tomka to w ogóle nie obchodziło. Miał taką osobowość, że jemu wewnętrznie „mama nie kazała". Chyba ten konflikt miał wpływ na pozytywny charakter muzyki Świetlików, dziwność jakąś.

Wszystko, co mnie pociąga i inspiruje, zarówno w literaturze, jak i w muzyce, to rzeczy, które widać, obrazujące świat. Coś, co przepowiada rzeczywistość, która niekoniecznie ma nastąpić, ale na pewno jest poza naszym wpływem. Coś, co ma magiczną siłę i jest w tym element nadprzyrodzony, choć nie ma nic wspólnego z Bogiem. Słyszę to u Coltrane'a, widzę w Nowosielskim, czytam to u Pounda.

Dobrze ci się z nimi grało?

Tak, te koncerty były sympatyczne. Przyjeżdżałem na próby, rzucałem instrumenty w redakcji „Tygodnika", więc miałem okazję poznać Turowicza, księdza Tischnera... Przyjechałem do „Tygodnika" z Olką i pani Kasia Morstin, sekretarz redakcji, przedstawiła ją Tischnerowi: „A to jest właśnie nasza piękna Kaszubka". Kiedy ksiądz Tischner, ubrany w spodnie i kurtkę khaki, zobaczył moją żonę, oko mu się zaświeciło i prawie ją za tyłek złapał. „A to jest Mikołaj, mąż naszej pięknej Kaszubki". Mina mu zrzedła, zwiesił głowę, no, ale co było robić, przywitał się. Wtedy w „Tygodniku" dużo się działo, był tam Tomek Fiałkowski, był Krzysztof Burnetko, który chętnie wychodził na wódkę. „To co – mówił Marcin – może pójdziemy, Krzysiu, do Zwisiku?" I wychodzili na chwilę. A gdy wyszli, wiadomo było, że Marcin już do redakcji nie wróci. I siedział w Zwisie naprzeciwko tej cholernej rzeźby Mitoraja na Rynku krakowskim, co ją trochę później postawiono. Ciągle ktoś znajomy przechodził przez ten Rynek, co chwilę! „No, cześć!", „No, cześć!" – podchodził, chwilę pogadał i szedł dalej. „O, widzisz, idzie..." – mówił Marcin. I zaczynały lecieć krakowskie historie i obrabianie ludziom tyłka. Potem pojawiali się Wilczyk i Fiałkowski i była pompa. Starka była pita. I te panie ze Zwisu... Dzisiaj celowo tam nie chodzę, żeby sobie tego nie przypominać. Ale to był czas beztroski, kiedy wódka nie szkodziła tak jak dzisiaj. Odwrotnie nawet — człowiek się wtedy uczył, a wódka była świętym płynem, który otwierał wrota percepcji. Materiałem edukacyjnym. Potem zachodziło słońce i szło się do knajp, do Rentgena albo do Psa, nie na Kazimierz, bo wtedy jeszcze Kazimierza, takiego jak dziś, nie było. Marcin dla mnie znaczył Kraków i *vice versa*. Świetlicki robił na mnie duże wrażenie. Odnajdywał się w muzyce, nie miał z tym kłopotu, zawsze lądował na raz.

No i ma głos.

Ma rewelacyjny głos. Marcin właściwie nie śpiewa, tylko mówi albo robi coś, co nie jest ani śpiewaniem, ani mówieniem. To jest Świetluchowate na wskroś. Nie ma takiego drugiego. Wszystko wie – kiedy wejść i kiedy wyjść.

Pomówmy chwilę o poezji, bo ten literacki trop jest wyraźny w twojej dyskografii. Kiedy w ogóle zainteresowało cię słowo jako tworzywo muzyki?

Jak mówiłem, miałem w domu płyty Ewy Demarczyk, Bułata Okudżawy, Kabaretu Starszych Panów czy Grzesiuka. Potem zetknąłem się z poezją Dylana Thomasa, na przykład pamiętam jego wiersz o Milesie Davisie. Czułem i wiedziałem, że on pisze swoje teksty razem z muzyką. Pamiętam dobrze, kiedy po raz pierwszy w „Literaturze na Świecie" przeczytałem wiersze Ezry Pounda. Później się dopiero dowiedziałem, że Pound był naziolkiem. Zresztą Emil Cioran, mój ulubiony filozof, też miał taki romans w młodzieńczych latach. Widocznie trzeba się poonazizować, kiedy się jest dzieckiem, w końcu ja też byłem harcerzem. W każdym razie Pound zrobił na mnie ogromne wrażenie.

Zobaczyłem go, ale też usłyszałem.

A nie jest to najprostsza poezja. Połowa po łacinie albo w grece.

To po pierwsze, a po drugie Pound operuje kodami, których młody człowiek w drugiej klasie liceum, nieznający jeszcze literatury, nie ma szans odczytać. To bardzo erudycyjna, potwornie trudna poezja. Ale myślę, że nie musiałem jej rozumieć, żeby mnie pociągała.

Co takiego cię u Pounda ujęło?

Monumentalność. „Jam jest sam, który wiem drogi. Po niebie, a wicher niebny jest moim

ciałem". Jaki to obraz wywołuje! Wizjonerstwo! Wszystko, co mnie pociąga i inspiruje, zarówno w literaturze, jak i w muzyce, to rzeczy, które widać, obrazujące świat. Coś, co przepowiada rzeczywistość, która niekoniecznie ma nastąpić, ale na pewno jest poza naszym wpływem. Coś, co ma magiczną siłę i jest w tym element nadprzyrodzony, choć nie ma nic wspólnego z Bogiem. Słyszę to u Coltrane'a, widzę w Nowosielskim, czytam to u Pounda. To jakiś pierwiastek zapowiadający niespodziewane. Albo istotę najwyższą, która niekoniecznie jest istotą. Nie wiem, czy dobrze mówię, ale mówię, jak potrafię. W każdym razie zauważyłem, że to mi buduje taki wózek, na który mogę wsiąść i zapierdalać. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem i usłyszałem Świetlickiego, pomyślałem sobie: „Aha, facet budzi we mnie jakiś rodzaj hormonu, coś mi się z nadnercza wydziela! I chciałbym być częścią tego wydarzenia, w którym Marcin uczestniczy". Rozumiem, o czym śpiewa, wiem, o czym do mnie mówi. Nie jestem nastolatką, ale bierze mnie to. Zobaczyłem światło, więc przyszedłem.

Najpierw usłyszałeś czy przeczytałeś?

Usłyszałem, dopiero potem zacząłem go czytać. Marcin nie jest osobą, która rozdaje tomiki swoich wierszy.

Świetlicki ma dar pisania fraz, które w czytelniku zostają na długo. „Wraca świat. Śpi ze mną".

Albo: „Robisz mi nieporządek w chaosie".

Siła bon motu to jedno. Ale ta poezja ma też charakterystyczny rytm. A do tego zwykle jest oparta na jakimś miejskim konkrecie.

Mam to w uszach: „Moment, kiedy się zapalają jednocześnie wszystkie lampy uliczne w mieście". Wiem dokładnie, o czym on mówi. To jest kapitalnie znalezione! On to jakoś zobaczył. Marcin potrafi doświadczyć tego, czego każdy człowiek doświadcza – to zresztą cecha wielkiego pisarza czy poety – ale potrafi to zamknąć w trzech słowach. Potrafi wydobyć z rzeczywistości ten kadr.

To taka reportażowa wręcz umiejętność. „W tramwaju nie siadać, bo trzeba zaraz ustępować" — to z wiersza *Polska trzy*.

Stasiuk robi to jeszcze inaczej, ale ta umiejętność ich łączy. Tyle że jeden pisze prozę, a drugi poezję.

Świetlicki w tym celnym chwytaniu rzeczywistości miał coś z rysownika w typie Wiktora Zina czy Szymona Kobylińskiego.

Prawda, oni też określali rzeczywistość trzema ruchami. Tylko że w ich wypadku to był cyrk, pusty popis, a akurat od tego Świetlicki jest absolutnie wolny. Nie robi ekwilibrystyki: „Zobaczcie, jak potrafi wywijać słowem" (czego nienawidzę), ale tworzy rzeczy suche i proste. Tak, Marcin mnie zachwycał. Stawał z tymi nóżkami do środka, z tymi rękami wygiętymi jak rak, z papieroskiem – taki pan misio – i był charyzmatyczny na maksa. I te tłumy kobiet... W pewnym momencie postanowiliśmy, że zrobimy duecik, z którym pojeździmy sobie po Polsce na małe koncerciki. Festiwale literackie nas chciały. Przyjeżdżał Trzaska z Miłości, ale nie trzeba było tak dużo płacić, jak całemu zespołowi, więc wszystko w tym dueciku się zgadzało. „Zobaczyłem światło, więc przyszedłem. Zadzwoniłem i otworzyłaś. Nie przyszedłem rozmawiać. Nie przyszedłem namawiać. Nie przyszedłem zbierać podpisów. Nie przyszedłem pić wódki. Ja przyszedłem się kochać". Marcin mówił ten słynny tekst. I któregoś razu zakończył go: „Ja przyszedłem napić się frugo". Publiczność nie wiedziała, co z tym zrobić, ale w końcu wszyscy leżeli na ziemi ze śmiechu. Chciał pożyczyć od Miłości ten śmieszny sposób na rozmontowywanie samego siebie.

Przekłuwanie balonika patosu.

Tak, Marcin to robił. I to było kapitalne. Wzruszałem się, gdy robił coś śmiesznego. Gdy śpiewał: „Teraz chcę być twoim psem", co było najlepszym polskim tłumaczeniem piosenki I Wanna Be Your Dog The Stooges. „Teraz kiedy zostaliśmy sami, teraz możemy to robić na gazetach, sztandarach". Bezgranicznie mu wierzyłem. Lubiłem podróże z Marcinem, pociągiem, tylko we dwóch. A to do Legnicy, a to do jakiegoś krakowskiego klubiczku, a to do Poznania, a jeśli już do Poznania, to potem do Zielonej Góry. Trochę piliśmy, czasem spaliśmy w jakichś dziwnych miejscach – albo w ogóle nie spaliśmy, bo już nie było sensu. Spanie w ogóle nie było wtedy takie istotne i modne jak dzisiaj. Pamiętam nasz koncert w Andrychowie (zaprosił nas dziwny kolega). Nie zapłacono nam po tym koncercie i trzeba przyznać, urocze to było niezapłacenie: „A wiesz, no, nie mam kasy". Ale koncert się odbył. (śmiech) Następnego dnia jechaliśmy przez Wadowice, myślałem o kremówkach, a tu nagle Świetlicki mówi: „Wiesz? Ja już wszystko rozumiem. Ty jesteś podobny do Jana Pawła II. Może ty jesteś jego synem?". Strasznie był z siebie zadowolony. Chichraliśmy się jak głupki. Potem kilkukrotnie przedstawiał mnie na koncercie jako syna Jana Pawła II. Co zresztą bardzo mi się podobało.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem i usłyszałem Świetlickiego, pomyślałem sobie: „Aha, facet budzi we mnie jakiś rodzaj hormonu, coś mi się z nadnercza wydziela! I chciałbym być częścią tego wydarzenia, w którym Marcin uczestniczy". Rozumiem, o czym śpiewa, wiem, o czym do mnie mówi. Nie jestem nastolatką, ale bierze mnie to.

W pełni lata. 1961

Tekst: Krzysztof Jakubowski **Zdjęcia** z archiwum autora

Jednym z wielu absurdów epoki PRL-u było wykorzystanie fotografii wykonanej w pełni lata do widokówki na święta Bożego Narodzenia.

Na pocztówce mamy zatem Rynek z czasu tuż przed nieszczęsną przebudową, rozpoczętą – przypomnijmy – w lipcu 1962 roku i trwającą niemal dwa lata. Na płycie obowiązywał wtedy normalny ruch, z parkingami po obu stronach Sukiennic. Wrysowane choinki i gałązka igliwia nie pozostawiają wątpliwości, o jakie święta chodzi.

Ta oryginalna widokówka spełniła jednak swą rolę. Wysłana z Laskowej 19 grudnia 1961 roku doszła wraz z życzeniami do Kudowy Zdroju na czas.

Kantor a Schultz

Ostatnio coraz częściej sięgam do miesięcznika „Kraków" i czytam go z zainteresowaniem. W numerze 10/2020 trafiłam na artykuł *Schulzowi podałabym ciasteczka imbirowe*. Magda Huzarska-Szumiec pisze o artystce i pisarce Annie Kaszubie-Dębskiej w kontekście wydania przez nią biografii Brunona Schulza. Jestem w trakcie czytania tej książki, ale nie jej dotyczy ten list. W artykule znalazł się błąd merytoryczny i choć nie lubię wytykania błędów, postanowiłam odnieść się do tego. Wszak błąd wydrukowany jest błędem utrwalonym. Autorka tekstu wspomniała o projekcie artystycznym Kaszuby-Dębskiej *Emeryty*, w którym nastąpiła kontaminacja wątków dotyczących Brunona Schulza i Tadeusza Kantora. Twórca Teatru Śmierci zajmuje mnie od lat, dlatego nie uszło mojej uwadze zdanie: „W jego *Umarłej klasie* pojawiły się worki z wizerunkiem matki w różnych okresach życia, stając się znakiem przemijania". Nic podobnego! *Umarła klasa* miała premierę w 1975 roku, a instalacja *Portret matki* nosi datę 1976. W *Umarłej klasie* nie ma worków z portretem matki. Te dwa dzieła łączy oczywiście tak ważny w tym czasie dla Kantora temat powrotu do przeszłości i metoda „klisz pamięci", ale są to dwa osobne utwory w dorobku ich twórcy. Kantor miał dla instalacji *Portret matki*, znajdującej się dziś w Muzeum Sztuki w Łodzi, stosunek bardzo osobisty. Jak pisał: „Tą moją metodą opakowywania wykonałem portret / najdroższej mi osoby, mojej Matki. / Od młodości do grobu".

Anna Kaszuba-Dębska, inspirując się w swoim wielowątkowym projekcie *Umarłą klasą* i *Portretem matki*, miała swoje artystyczne powody. Ale nie zmienia to faktu, że Kantor widział oba dzieła inaczej – jako odrębne całości.

Anna Baranowa

Przyczyna śmierci Pyjasa wciąż nie jest znana

„Nigdzie tak mocno nie wybrzmiałaby pewnie wystawa poświęcona Stanisławowi Pyjasowi jak w Bunkrze Sztuki. W końcu to parę kroków od Plant, w kamienicy przy ulicy Szewskiej 7 został zamordowany student polonistyki UJ" – czytam w Portretach 2020 (październik) w „Krakowie" 10/2020. Tyle że to drugie zdanie jest kłamliwe.

Piszę o tej sprawie od lat, ostatnio w książce *Antykomunizm, czyli upadek Polski*. I nie po raz pierwszy widzę, że legenda jest silniejsza. Wystawę Doroty Nieznalskiej mogę jeszcze traktować jako wyraz artystycznej ekspresji. Zdania powyższego, przesądzającego o czymś, co nie jest przesądzone, nie sposób już zaakceptować.

Sprawa Stanisława Pyjasa ma bogatą literaturę. Tu chcę przypomnieć dwie tylko okoliczności. Po pierwsze: mimo uporczywych starań, podejmowanych po roku 1989, nigdy nie udało się znaleźć sprawców rzekomego morderstwa. Po drugie, ważniejsze: gdy w kwietniu 2010 przeprowadzono zleconą przez IPN ekshumację Pyjasa, biegli medycy sądowi z Wrocławia, Bydgoszczy i Gdańska uznali za przyczynę śmierci upadek z wysokości. Czyli nawet nie pobicie, nie mówiąc już o morderstwie. Ekspertyzę tę dość powszechnie przemilczano – dla SKS-owskich „kombatantów" była niewygodna, potwierdzała przy tym „PRL-owski" werdykt prof. Zdzisława Marka z roku 1977. Toteż tylko niestrudzony IPN 15 lutego 2011 roku zadał biegłym 23 dodatkowe pytania. Ale do dziś nie są znane ani te pytania, ani udzielone na nie odpowiedzi – wszystko utajniono przed opinią publiczną.

Ostatnie fakty, jakie przedostały się na zewnątrz, to informacje, że: a/ Pyjas w dniu śmierci był pod wpływem alkoholu, b/ Pyjas rzeczywiście mógł spaść ze schodów, choć nie da się ustalić, czy spadł sam czy ktoś go zepchnął. Obie informacje mogą budzić dalsze wątpliwości. Teza, że w chwili śmierci Pyjas był pod wpływem alkoholu, pojawiała się w przestrzeni publicznej niejednokrotnie, lecz jako niefachowiec nie wiem, czy po 33 latach dało się to potwierdzić. Natomiast jeżeli ktoś zepchnął Pyjasa, to można dywagować, czy zepchnął umyślnie czy przypadkiem (na przykład wskutek ciemności panujących na klatce schodowej). Lecz nawet w przypadku działania umyślnego fakt, że spychający nie dokończył swego dzieła, automatycznie wyklucza tezę o morderstwie.

W tej sytuacji musimy przyjąć, że ostatnim głosem nauki w sprawie Pyjasa jest wymieniony werdykt medyków sądowych z lutego 2011. Czyli (nie wchodząc w przytoczone szczegóły), można stwierdzić, że według obecnego stanu wiedzy przyczyną śmierci Pyjasa był upadek ze schodów. A zatem: dopóki nie pojawią się nowe okoliczności, możemy – jak kto chce – mówić, że przyczyna śmierci Pyjasa jest nieznana, natomiast z całą pewnością nie mamy prawa mówić o morderstwie.

Andrzej Romanowski

Last Christmas: Boże Narodzenie w polskim kinie

Tekst: Łukasz Maciejewski **Zdjęcie:** dystrybutor Kino Świat

Sanki, rozżarzone neony i jeszcze *Last Christmas*, koniecznie *Last Christmas*. Czujecie tę oprawę? Magia świąt, popowa magia świąt. Akceptujemy ją: czy nam się to podoba czy nie. W tym roku święta mogą być inne z powodów tak oczywistych, że nie będę ich tutaj przytaczał. Last Christmas będzie na pewno, ale co z resztą?

I dlatego, z racji na niepewność świąt w klasycznym wydaniu, ale i niepewność stałego repertuaru kinowego w grudniu (tekst piszę oczywiście wcześniej, w połowie listopada, kiedy kina są zamknięte ze względu na pandemię), chciałbym zaprosić państwa na świąteczną podróż po najciekawszych polskich filmach świątecznych albo tych, dla których okołoświąteczna tematyka pełniła ważną rolę.

Kino i święta Bożego Narodzenia to temat rzeka. Kino żyje ze świąt w tym sensie, że w zasadzie w każdym sezonie, w wielu krajach powstaje co najmniej kilkanaście filmów o tematyce świątecznej. Są często evergreenami – kto w Polsce wyobraża sobie święta bez *Kevina samego w domu*, czasami to niemal arcydzieła – jak brytyjski komediodramat *To właśnie miłość*, najczęściej jednak chodzi o jednosezonową rozrywkę z udziałem gwiazd, mającą jasno określone cele. Pocieszyć, wzruszyć, rozśmieszyć. Upraszczając, w świątecznych komediach romantycznych intryga jest w gruncie rzeczy pretekstowa – do listopada świat jest ponury, zły i niebezpieczny, ale kiedy zaczyna się sezon świąteczny, w ludzi, również w bohaterów filmów świątecznych, wstępuje nadzieja. Bohaterowie zmieniają się lepszych, przebaczają sobie winy. Happy end jest w zasadzie nieunikniony, a chusteczki podczas seansu stają się niezbywalną częścią ceremoniału. W napisach końcowych prawie zawsze słyszymy... *Last Christmas* (w ubiegłym roku powstał nawet cały film o tym przeboju).

Kino i święta Bożego Narodzenia to temat rzeka. Kino żyje ze świąt w tym sensie, że w zasadzie w każdym sezonie, w wielu krajach powstaje co najmniej kilkanaście filmów o tematyce świątecznej.

W Polsce te reguły najlepiej przyswoili producenci i pomysłodawcy serii *Listy do M.* Zaczęło się od ewidentnego zapożyczenia ze scenariusza wspomnianego już wspaniałego angielskiego filmu *To właśnie miłość*. Mitja Okorn, reżyser pierwszej części serii, zręcznie połączył kilka wątków wokół okołobożonarodzeniowej scenerii, obsadzając główne role najpopularniejszymi polskimi aktorami, między innymi Maciejem Stuhrem, Romą Gąsiorowską, Tomaszem Karolakiem, Agnieszką Dygant czy Piotrem Adamczykiem. Narracyjnie było słodko przy pozorach gorzkości, trochę banalnie, w efekcie wzruszająco. O sukcesie komercyjnym zdecydowali oczywiście widzowie. Miliony sprzedanych biletów zdecydowały o powstaniu drugiej i trzeciej części serii, ale *Listy do M.* w mojej dziurawej pamięci układają się w jeden, niezbyt ambitny film, z tymi sami problemami, niemal z taką samą obsadą i z podobną, utrzymaną w duchu świątecznej reklamy telewizyjnej stroną wizualną, w której Warszawa niebezpiecznie przypomina Nowy Jork lub inny Londyn, stając się stolicą bożonarodzeniowego cudu i zamieniając ludzi w anioły. Zapowiadana na listopad tego roku premiera czwartej części sagi została przełożona na nieznany bliżej termin. Być może film trafi zresztą od razu do sieci.

To, co komercyjnie udało się w *Listach do M.*, czyli, pisząc w skrócie, popbiznes wynikający z wykorzystania tematyki świątecznej, nie powiodło się kilka lat wcześniej w kompletnie zapomnianej – i może słusznie – *Hani* w reżyserii Janusza Kamińskiego. Tak, tak, słynny operator hollywoodzki, stały współpracownik Stevena Spielberga, raz jeden nakręcił film w Polsce. Miało być wzruszająco, wyszło cynicznie. I, pomimo starań Agnieszki Grochowskiej i Łukasza Simlata w rolach rodziców przyjmujących na czas świąt chłopca z Domu Dziecka, film kompletnie się nie udał.

Listy do M. czy *Hania* powstały stosunkowo niedawno, ale ci, którym wydaje się, że to jedyne filmy bożonarodzeniowe, jakie powstały w Polsce, są w błędzie. W *Wieczorze przedświątecznym* Heleny Amiradżibi i Jerzego Stefana Stawińskiego z 1966 roku bohater grany przez Krzysztofa Chamca szuka miłości, z którą mógłby spędzić wieczór wigilijny. W *Świątecznej przygodzie* Dariusza Zawiślaka, podobnie jak w *Hani*, znowu mamy Dom Dziecka, nieszczęśliwe buźki, Świętego Mikołaja i Anioła Śmierci. Jest niemal wszystko, tylko sensu brak.

Dickens i jego *Opowieść wigilijna* odcisnęła, zdaje się, decydujący ślad na niemal wszystkich polskich filmach okołoświątecznych – ponieważ również w nieco bardziej udanej od poprzedników *Nieznanej opowieści wigilijnej* Piotra Mularuka, nawiązującej

do klasyki bożonarodzeniowej literatury już w tytule, Scrooge'em jest bezwzględny biznesmen dążący do likwidacji – co za niespodzianka – Domu Dziecka. W *Nocy świętego Mikołaja* w reżyserii nieodżałowanego Janusza Kondratiuka dwóch resocjalizujących się rzezimieszków dostaje przepustkę z więzienia, żeby w przebraniu świętego Mikołaja i Anioła przywieźć dzieciom prezenty. Czy muszę dodawać, że znowu chodzi o Dom Dziecka?

Interesującymi, ale już niefamilijnymi tytułami, dla których święta Bożego Narodzenia stanowią dramaturgicznie ważny wątek scenariusza, są powtarzane często w telewizji komediodramat *Wesołych Świąt* Jerzego Sztwiertni z Krzysztofem Majchrzakiem i Januszem Kłosińskim oraz *Wigilia '81* – psychodrama w reżyserii Leszka Wosiewicza, opowiadająca o kobietach czekających na swoich mężów w przygnębiającą noc stanu wojennego. W filmie Wosiewicza wybitne role stworzyły Zofia Mrozowska, Barbara Wrzesińska czy Ewa Błaszczyk. Warto może też wspomnieć o utrzymanym w estetyce horroru retro *Markheimie* Janusza Majewskiego czy o ciekawym widowisku telewizyjnym *Wigilijna opowieść* w reżyserii Piotra Trzaskalskiego.

Jednak najlepszym polskim filmem świątecznym pozostaje bez wątpienia *Żółty szalik* Janusza Morgensterna z 2000 roku. Telewizyjny obraz powstał w ramach cyklu „Święta polskie" na podstawie scenariusza samego Jerzego Pilcha, co na pewno w dużym stopniu zadecydowało o sukcesie. Zmagający się z chorobą alkoholową bohater, grany przez fenomenalnego Janusza Gajosa, na dzień przed wigilią spotyka się z synem i z kobietami swojego życia, wszystko po to, żeby wyruszyć na święta do domu, do matki. *Żółty szalik* miał wszystko to, czego zabrakło w większości pozostałych rodzimych filmów o Bożym Narodzeniu – pokazywał człowieka. Uwikłanego, cierpiącego, szukającego szczęścia na swoją własną, wcale nieszczególną miarę. Życie, nie kolorowa podróbka z życia. Szara kolęda Młynarskiego, nie *Last Christmas*.

Łukasz Maciejewski - wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszynie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach", kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film", członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.

Jastrzębie zostaną zastąpione przez gołębie, rys. Andrzej Zaręba

Imperium Lechitów

Tekst: Mieczysław Czuma

Za oknem szaroburo i ponuro. Takie czasy – jesień, zima. Najchętniej skreśliłbym te pory roku z kalendarza albo wyjechał do jakiegoś słonecznego i szczęśliwego San Escobaru. Na razie jednak z całym tym zalewem ponuractwa zmagam się sposobami domowymi.

Sadowię się więc wygodnie w fotelu, wciskam „enter" i buszuję po wszelakich zakamarkach internetu. I nagle – bingo! Rozkoszne olśnienie, skrzydła u ramion, odlot do rajskiej krainy! Po którymś kliknięciu na ekranie otwiera się przede mną świat, w którym właśnie tu, pod naszą szerokością geograficzną, mogę wreszcie pękać z dumy, pychy i radości.

A więc było tak. Dawno, dawno temu królowało na naszych ziemiach wielkie i wszechmocne Imperium Lechitów, które decydowało o losach Europy. Była to największa potęga całego antycznego świata. Lechici walczyli zwycięsko z wojskami Aleksandra Macedońskiego, brawurowo gromili całe zastępy rzymskich legionów. Przewagę nad wszystkim co obce zapewniała im noszona na czole słowiańska opaska, poprawiająca pracę ludzkiego mózgu. No i toczony na wiosnę sok z brzozy, magiczny napój wojów lechickich. Dziś nikt już tego nie wie, ale to my cywilizowaliśmy całą zachodnią Europę. Takie miasta jak Orlean, Metz, czy Brest założyli nasi przodkowie, a ich pierwotne nazwy obrzmiały Orlin, Miecz i Brześć.

Imperium Lechitów stało się niewygodnym konkurentem dla całej zachodniej cywilizacji łacińskiej. Zmuszono Mieszka I do przyjęcia chrztu, a przez to zniszczono wszelkie dowody na istnienie Wielkiej Lechii. Z czasem w antylechicki spisek wciągnięci zostali archeologowie i historycy. Za pieniądze wrogich sił fałszują naszą historię i robią wszystko, by prawda o naszej dawnej świetności nie ujrzała światła dziennego.

Ale dzięki swoim dzisiejszym żarliwym apostołom Wielka Lechia jest obecna w internecie (blogi, YouTube, Facebook). Ma być alternatywą dla tego, co płynie w naszą stronę z Paryża, Londynu, Berlina, Rzymu i Brukseli. Ma ratować naszą słowiańską tożsamość przed wszelakim bezeceństwem. Do tego mocarnego świata, którego nie pamiętają już nawet najstarsi górale, wprowadziła mnie wędrówka po internecie. Wędrówka wspomagana przez Artura Wójcika, historyka, autora książki *Fantazmat Wielkiej Lechii*. Fantazmat to urojenie, wytwór wyobraźni. Za podjęcie tematu kłaniam się autorowi czapką krakowską do ziemi nisko. Ale opisywanych przez niego apostołów dawnej świetności muszę zmartwić. I to zmartwić niewyobrażalnie głęboko.

Bo to my, krakusy, byliśmy zawsze potężniejsi od tego całego Imperium Lechitów. Jak podają poniektórzy badacze, Krak był wikingiem. A to znaczy – ho, ho – że to my panowaliśmy na morzach i oceanach, władaliśmy, czym chcieliśmy, buszowaliśmy po brzegach Afryki, podbijaliśmy Amerykę, Grenlandię i Sycylię. Krak des Chevaliers, czyli twierdza rycerzy, to potężny zamek w Syrii, położony na szczycie 650-metrowego skalnego uskoku. To dawna siedziba joannitów, czyli Szpitalników św. Jana z Jerozolimy, Rodos i Malty. Miejsce o tak wspaniałej legendzie wyrosło z naszego pnia i odwołuje się w swej nazwie do samego Kraka, założyciela naszego miasta. I jeszcze jeden dowód na nasze nieograniczone wpływy i możliwości: Kraken – gigantyczny smok morski, o którym Pliniusz Starszy, historyk rzymski, pisał, że miał blokować Cieśninę Gibraltarską i nieprzepuszczać przepływających tamtędy statków. Ale panował i pewnie panuje nadal na wszystkich morzach i oceanach. I to jego krewniakiem jest nasz smok wawelski. Tacy to my jesteśmy.

Dzięki swoim dzisiejszym żarliwym apostołom Wielka Lechia ma być alternatywą dla tego, co płynie w naszą stronę z Paryża, Londynu, Berlina, Rzymu i Brukseli. Ma ratować naszą słowiańską tożsamość przed wszelakim bezeceństwem.

A więc nie mam żadnych wątpliwości – byliśmy zawsze wspaniali i o wiele potężniejsi od tego ich Imperium Lechitów, tworu przywoływanego ostatnio przez coraz to liczniejsze zastępy nowych wyznawców.

PS Ale tak na wszelki wypadek zamieruję założyć sobie na czoło słowiańską opaskę, a na wiosnę zacznę pijać sok z brzozy.

Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Same znaki zapytania

Tekst: Magda Miśka-Jackowska

Krąży wirtualnie taki żart: „2020 – scenariusz: Stephen King, reżyseria: Quentin Tarantino". Każdy spragniony sztuki człowiek o zdrowym rozsądku już dawno by oszalał, patrząc na to wszystko.

Już jakiś czas chciałam o tym napisać, ale sytuacja zmieniała się bardzo dynamicznie. I nawet na moment, choć bardzo krótki, mieliśmy nadzieję, że jednak będzie dobrze. Niestety, nie jest.

Nie chodzi mi jednak o to, aby tu uderzać w jakieś pogrzebowe tony. Przeciwnie, przyglądam się temu wszystkiemu z dużym zainteresowaniem i tak też chcę teraz napisać o 2020 roku w kulturze, najtrudniejszym od czasów II wojny światowej, a może najtrudniejszym w ogóle. Czy mamy do czynienia z trwałymi zmianami, jakie czekają sztukę i ludzi sztuki? Czy pandemia zmieni to, jakimi jesteśmy widzami, słuchaczami, czytelnikami i wreszcie – artystami?

Zima i wiosna to czas pracy kreatywnej, samodzielnej lub w małych zespołach. O ile można sobie na nią pozwolić. Znam też takich artystów, którzy malują dziś ściany, jeżdżą taksówką, czeszą i farbują innych.

Przez jakiś czas się wydawało, że tę sytuację trzeba po prostu przeczekać. Wczesnym latem zaczęto znowu grać i choć widownia siedziała w maseczkach, a więc trudno było odczytać jakiekolwiek emocje, lepsze to niż nic. Grzech Piotrowski, nasz znakomity saksofonista i kompozytor, zapytał mnie jednak ostatnio, czy zauważyłam, jak zmienił się sezon kulturalny. Teraz lato i wczesna jesień są najbardziej pracowitymi okresami. Wtedy się gra. Im mniejsze koncerty, tym lepiej. Zima i wiosna to czas pracy kreatywnej, samodzielnej lub w małych zespołach. O ile można sobie na nią pozwolić. Znam też takich artystów, którzy malują dzisiaj ściany, jeżdżą taksówką, czeszą i farbują innych. Niektórzy nawet nie narzekają, bo im to wyjście ze strefy komfortu nie naruszyło odporności psychicznej. Rozumiem jednak tych, którzy nie wiedzą, co dalej.

W chwili, kiedy piszę ten felieton, sale kinowe i koncertowe w Polsce są zamknięte. I nikt nie zna odpowiedzi na pytanie, na jak długo. Kiedy jeszcze działały i zapewne tak samo będzie, gdy zaczną działać ponownie, nastąpił jakiś przełom w planowaniu życia kulturalnego. Znajomi z polskich filharmonii opowiadają, że dzisiaj bilety są kupowane w ostatniej chwili. Na wszelki wypadek, by ich potem zaraz nie zwracać, bo takie sytuacje nikogo już nie dziwią ani nawet nie denerwują. Wydarzenia organizuje się tak, aby je przenieść w całości do sieci, gdyby kontakt z publicznością nie był w ogóle możliwy. Ale odpowiedzi na pytanie, jak i czy na trwałe zmieni się sezon kulturalny, nie przyniesie zapewne ani ten rok, ani przyszły.

Londyński West End nie zagra przynajmniej do marca. Nowojorski Broadway skasował wszystko do maja 2021, choć na początku tego roku tamtejsze teatry proponowały ponad 30 przedstawień. Liczy się straty, nie tylko związane z branżą artystyczną, ale również gastronomią. Mniej więcej 15 milionów dolarów. Ale to tu, to tam trwają przynajmniej jakieś próby, bo okres przygotowania premiery to co najmniej kilka miesięcy. Najsmutniejsza sytuacja jest chyba w legendarnej Metropolitan Opera w Nowym Jorku, która odwołała cały sezon 2020/2021 aż do jesieni przyszłego roku. Są tam muzycy, na przykład mama wracająca wiosną z urlopu macierzyńskiego, którzy nie zagrali w tym roku ani jeden raz z orkiestrą MET.

Londyn i Nowy Jork są oczywiście poza Krakowem, ale to nic nie zmienia. Pandemia jest w tych kwestiach sprawiedliwa. Zarówno dla gigantów, jak i dla naszych rodzimych instytucji. Ameryka czeka. Paradoksalnie, im większe budżety, tym trudniej zagrać „mimo wszystko". Czeka, zamarznięte, także amerykańskie kino.

Europa jeszcze walczy. Działają kina, teatry. W pięknym belgijskim teatrze operowym La Monnaie De Munt w Brukseli w październiku odbyła się premiera *Umarłego miasta* Ericha Wolfganga Korngolda w reżyserii Mariusza Trelińskiego. Ekipa wykazała się elastycznością i zrozumieniem. Spektakl skrócono, zmieniono układ na scenie. Wszystko dla bezpieczeństwa. Ale i tak opera musiała zniknąć z afisza niemal natychmiast po premierze, bo lokalne władze zdecydowały o ograniczeniach w kulturze. To one teraz mają na świecie więcej do powiedzenia niż rządy państw.

Krąży wirtualnie taki żart: „2020 – scenariusz: Stephen King, reżyseria: Quentin Tarantino". Każdy spragniony sztuki człowiek o zdrowym rozsądku już dawno by oszalał, patrząc na to wszystko. Ja postanowiłam jednak jeszcze nie szaleć i trochę poczekać. Z czystej ciekawości, co będzie dalej.

Magdalena Miśka-Jackowska – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

Dziennik pandemiczny 2020: w gwiazdach widzę moją przyszłość

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Ktoś w sieci wrzucił zadanie z treścią: Sasin ma 51 lat, a jego syn 19. Wykonaj dodawanie. 51 + 19 = 70. Ninę bardzo rozbawił ten post.

Był to wprawdzie śmiech zafastrygowany pogardą, bo sprawa w gruncie rzeczy była wyjątkowo paskudna i nawet wyszukiwarka Google doskonale wiedziała, że nazwisko ministra zawsze występuje w symbiozie z 70 mln zł. Ale Nina siedziała już czwarty tydzień w domu, dni rozpadały się jak topniejące lodowce, a we wszystkich wiadomościach mówili, że Kraków jest już drugą Lombardią. Co chwilę pojawiały się też doniesienia, że na COVID-19 umierają nauczyciele i to coraz młodsi. Nina wciąż miała poczucie, że żyje nieswoim życiem, przegryza cudze emocje i lęki, wychodząc tylko do Żabki po taniego drinka, który w smaku nie przez przypadek przypomina Kamikaze. Od rana do nocy siedzi przy biurku albo na kanapie i dławi się informacjami z portali.

Ta bezsilność stawała się nie do zniesienia. Wydawało się, że tak to już będzie – słota dotknie ulice śliskim paluchem, a my będziemy i tak obserwować to wszystko przez szybę, schodząc w maseczce nawet do piwnicy. Ale tym razem Nina nie miała racji. Rewolucja stała tuż za rogiem.

22 października na telefonie Niny było chyba ze sto powiadomień z kobiecych forów. Gdy Nina kliknęła na treść postów, szybko zrozumiała, jak doszło do wybuchu reaktora w Czarnobylu. Miała poczucie, że sama jest tym reaktorem, wyje w niej tysiąc alarmów i miga tysiąc czerwonych lampek. Przez kolejne dwa tygodnie nie piła kawy, bo jeden łyk chyba by ją zabił na miejscu – tak jej skoczyło ciśnienie. Oczywiście stało się to, o czym już dawno mówiono w feministycznych środowiskach, zmiany zapowiadał też Genialny Strateg i jego jedynie słuszna partia. Nie było zdziwienia, a raczej pierwotny, barbarzyński w swojej sile wkurw.

Nina zupełnie zapomniała o tym, że jeszcze wczoraj krztusiła się kolejnymi zapowiedziami „wypłaszczania" efektów pandemii, w ogóle zapomniała o wszystkim. Myślała jedynie o kartonach. Gdzie do cholery jest jej transparent z sierpnia, gdy demonstrowała przeciwko aresztowaniu Margot? Może się jeszcze do czegoś nada. W tym kraju nie można na długo chować kartonów, powinny stać w korytarzu obok szafki na buty. Nina poszła na strych, przerzucała jakieś papiery, walizki, w końcu znalazła. Jest! Czarną farbą napisała: „Wypierdalać!".

Przypomniała sobie rysunek Raczkowskiego – ludzi, którzy stoją z transparentem „Kurwa mać!". Trudno uwierzyć, że humor z komiksu zamienił się w rzeczywistość. „Wypierdalać".... jakie to piękne słowo. Proste, krótkie, nie trzeba tłumaczyć znaczenia.

*

Na kartonach dało się dostrzec coś jeszcze. Były oczywiście hasła, które Nina pamiętała z Czarnego Protestu. Ale kobiety już miały dość podkreślania, że są podmiotem. Że myślą, czują, decydują i takie tam. Halo! Jestem człowiekiem!

Nina zupełnie zapomniała o tym, że jeszcze wczoraj krztusiła się kolejnymi zapowiedziami „wypłaszczania" efektów pandemii, w ogóle zapomniała o wszystkim. Myślała jedynie o kartonach.

Na dziewczyńskich transparentach Nina z satysfakcją zobaczyła największe fiksacje erotyczne prawicy:

„Strach się ruchać!"

„Został nam już tylko anal!"

„Bosak ogląda porno do końca, bo myśli, że będzie ślub".

I cytat z piosenki Kory:

„Niech nadejdzie wiatr, co rozgoni Kaczora i innych gamoni".

I polskie porzekadła:

„Jarku, daj ać ja pobruszę, a ty wyp....!"

Weszła w tłum. Skandowanie jednego hasła było szczególnie uwalniające, jakby ktoś wyciągnął z gardeł demonstrantów trujący destylat. Nina krzyczała i czuła, jakby te słowa zmywały z wszystkich tony brudnego, śmierdzącego błota. W gwiazdach widziała swoją przyszłość:

– ***** ***!!!!!!!!!!

Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie", „Tygodniku Powszechnym", portalu Onet.pl. i „Codzienniku Feministycznym". Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.

Gdy system ochrony zdrowia doznaje zapaści, z zadumą czyta się o lekarzach, dla których największą pasją było leczenie depresji, nerwic i wówczas jeszcze świeżych powojennych traum pacjentów. Prof. Jerzy Aleksandrowicz, wybitny psychiatra, twórca polskiej psychoterapii, ze szczerością i dystansem do siebie opowiada o swoim dzieciństwie, które przypadło na lata wojny, o szukaniu własnego miejsca w cieniu ojca, słynnego krakowskiego lekarza, i o początkach pracy w Klinice Psychiatrii u boku samego prof. Antoniego Kępińskiego.

Prowadzące rozmowę psychiatra dr Dominika Dudek i dziennikarka Małgorzata Skowrońska dociekliwie dopytują nie tylko o kwestie naukowo-medyczne, ale także o życie osobiste, przyjaźnie, religię i politykę (choćby przejawy antysemityzmu w powojennej Polsce). Efektem jest portret lekarza-naukowca, który poświęcił swoje życie na zgłębianie tajemnic ludzkiego umysłu. Szkoda, że Profesor nie doczekał publikacji tej książki – zmarł 17 października 2018 roku.

Magdalena Oberc

Jerzy Aleksandrowicz, *Terapia na życie. Rozmowy z Dominiką Dudek i Małgorzatą Skowrońską*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

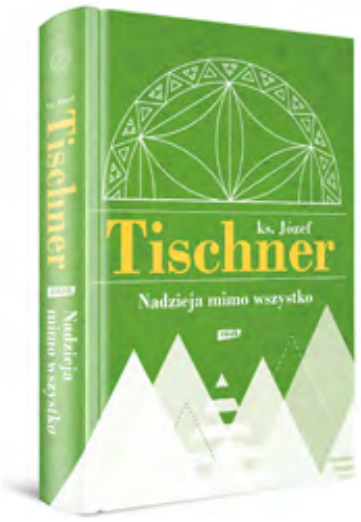

W ciężkich czasach sięga się chętnie po klasyków w nadziei, że może dadzą jakąś nadzieję. Albo przynajmniej podpowiedzą, jak radzić sobie z rzeczywistością – choćby, by posłużyć się aktualnymi przykładami, widmem absurdalnej choroby, a nawet śmierci czy też agresją autorytarnego państwa i ludzi złych.

Klasycy nie proponują prostego optymizmu w stylu „wszystko będzie dobrze". Przeciwnie – namawiają do wysiłku, poświęceń, a nawet heroizmu.

Kolejny zbiór tekstów ks. prof. Józefa Tischnera (rozproszonych dotąd w trudnych do zdobycia, bo często niskonakładowych wydawnictwach i periodykach) nosi wymowny tytuł *Nadzieja mimo wszystko*. Refleksje powstawały dekady temu, kiedy nikomu nie śniło się o pandemii, a mało kto przewidywał możliwość destrukcji polskiej wolności i demokracji oraz kompletnej degrengolady Kościoła. W istocie jednak tyczą kondycji człowieczej – a ta okazuje się niezmienna. Czyta się je zatem z tym większą zadumą (zwłaszcza że autor już wtedy wskazywał na wiele niepokojących objawów w mentalności rodaków czy Kościoła właśnie).

Szczęśliwie tenże Tischner cytuje Franza Rosenzweiga, który powiadał, że nadzieja rodzi się „w śpiewie". I tłumaczył, że wielki filozof dialogu sugerował, aby każdy, kto chce odzyskać nadzieję, przyłączył się do śpiewu. Bo „zasadą nadziei jest jakieś uczestnictwo". A więc solidarność naszą bronią!

(kb)

Ks. Józef Tischner, *Nadzieja mimo wszystko*, Znak, Kraków 2020.

Sylwia Góra wydobywa z zapomnienia Ewę Kierską, malarkę, jedną z niezwykłych osobowości Krakowa, postać ważną i znaną wielu wybitnym twórcom i krytykom, takim jak Jerzy Nowosielski, Zbylut Grzywacz czy Tadeusz Nyczek. Nie ogranicza się przy tym do przedstawienia faktów biograficznych Kierskiej i do skatalogowania jej dorobku. Osadza bohaterkę na tle ówczesnego środowiska artystycznego, ale też pokazuje, że była ona „anachronicznym" outsiderem od wszelakich ówczesnych mód i trendów.

Góra nazwała Kierską malarką melancholii. Jednak jest w obrazach Kierskiej coś, co pozwala nazwać ją również malarką poezji – tematy mitologiczne i biblijne, symbolika autoportretów czy martwych natur z książkami, którymi tak zachwycał się Tadeusz Różewicz i dla którego kilka takich obrazów namalowała. Ich wieloletnia korespondencja świadczy zresztą o tym, jak bliska była to relacja. Kierska była osobą introwertyczną, stroniącą od szerokich znajomości i stąd pewnie w jej obrazach tyle wariacji na temat przemijania czy zanikania. Jesień, czułe zamyślenie i kruchość – oto co pozostaje w pamięci...

Elżbieta Wojnarowska

Sylwia Góra, *Ewa Kierska. Malarka melancholii*, Universitas, Kraków 2020.

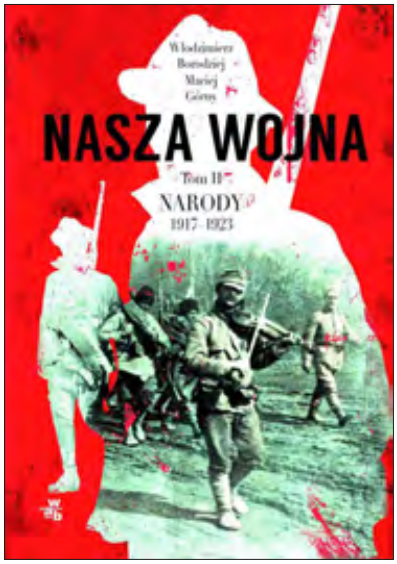

Powieść *political fiction*, na dodatek o mocno satyrycznym wydźwięku, to formuła rzadko nad Wisłą spotykana. Przyczyna zdaje się banalna: nasza rzeczywistość przynosi często tak zdumiewające historie, że trudno wymyślić fabułę, która zaskoczyłaby jeszcze bardziej.

Piotr Głuchowski, który choćby z dziennikarskiego obowiązku pilnie śledzi wypadki ostatnich lat, proponuje zabawę w przewidywanie, co by było, gdyby nagle okazało się, że... gdzieś zniknął „najpilniej strzeżony Polak, prezes prezesów i naczelnik naczelników" (a ostatnio także wicepremier nad premierem). No i oczywiście „kto za tym stoi?". Czyta się wartko, bywa śmiesznie, choć w sumie jest strasznie, bo przecież w końcu pojawia się refleksja: gdzie my się, k****, znaleźliśmy?

Zakończenie nosi znamienny, a niewykluczone, że i proroczy, tytuł: *Bardzo krótki ostatni rozdział, w którym Jarosław Kaczyński czuje się podwójnie zdradzony.* Pada w nim też takie zdanie: „I oto nagle wszyscy obecni dostrzegają jedno. Jak tłum zgromadzony pod szubienicą, na której stanął Jan Baptysta Grenouille, nabrał równoczesnej pewności, że wytwórca perfum jest trzykroć niewinny, tak oni – nuncjusz apostolski i Ojciec Dyrektor, prymas i prezydent, jeden z drugim marszałek, premierka i ministrowie, posłowie koalicji, opozycji, mniejszości i niezrzeszeni, dziennikarze, funkcjonariusze, obsługa parlamentu, a nawet minister Konrad Korny – wszyscy nagle widzą, że Prezes jest mały". (JI)

Piotr Głuchowski, *Zniknięcie prezesa*, Znak Horyzont, Kraków 2020.

„Granica między przemocą usankcjonowaną prawem wojny a zbrodnią zamazywała się w takich wypadkach niemal zupełnie, co utrudniało trzeźwy osąd sytuacji. Jest on tym większym wyzwaniem, że historiografie naszej części Europy (inaczej niż tutejsi poborowi) chętnie zaciągały się na służbę wychowania patriotycznego, przemilczając winy swoich i tropiąc zbrodnie sąsiadów. Tymczasem, o ile można się pokusić o taką moralną ocenę w wypadku dłuższych okupacji i systematycznej przemocy, o tyle w sytuacji tak niestabilnej jak na przykład w Galicji Wschodniej, nie ma do tego wystarczających podstaw".

Wielką Wojnę wywołały imperia, biły się w niej narody, a ginęli zwykli ludzie. Zginęła w niej też cała ponad stuletnia cywilizacja: przed jej wybuchem były tylko dwie republiki, które mogły wziąć w niej udział i wzięły – USA i Francja, po jej zakończeniu zostało tylko jedno królestwo – Wielka Brytania. Opisanie wielopłaszczyznowego chaosu to zadanie karkołomne, ale autorom udało się to nad wyraz. A ponieważ i autor tej noty ma za sobą opowieść o drodze, która otworzyła Polsce drogę do niepodległości w 1918 roku (*Mgnienia*), z zachwytem pochyla się nad tą dwutomową księgą. Wydawca reklamuje ją jako „powieść historyczną". Rzeczywiście, czyta się to jak najbarwniejszą opowieść. (wb)

Maciej Górny, Włodzimierz Borodziej, *Nasza wojna. Europa Środkowo-Wschodnia 1912–1916. Tom I. Imperia*, *Nasza wojna. Europa Środkowo-Wschodnia 1917–1923. Tom II. Narody*, W.A.B., Warszawa 2014 i 2018.

Uchodzi za nader kontrowersyjną postać polskich dziejów. Ale wygłoszone w maju 1939 roku w sejmie słowa Józefa Becka już weszły do historii. Mówił: „Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. (...) Ale my w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor". Byli tacy, którzy oskarżyli go potem niemalże o wywołanie II wojny światowej. Inni chwalili za hart ducha. A niektórzy dowodzili, że fraza o honorze nie była frazesem – stała za nią wizja racji stanu. Bo owszem, polityka zagraniczna jest sztuką kompromisu i są interesy państwowe, które podlegają układom. Ale istnieją też wartości niezbywalne. I ten, kto odrzuca imponderabilia, nie jest wcale realistą.

Marek Kornat i Mariusz Wołos w opowieści o Becku odnoszą się do smutnych epizodów II RP z jego udziałem: rozprawy z opozycją przez obóz pomajowy, kursu wobec mniejszości narodowych, agresji na Zaolzie w 1938 roku. I do tych dyskusyjnych – choćby podpisania w 1934 roku polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu przemocy. Przypominają też jego udział w odzyskaniu niepodległości, a potem internowanie w Rumunii po wrześniu 1939 roku. Jest też o życiu osobistym, zainteresowaniach, przyjaźniach i antypatiach Becka. Wszystko pokazują na tle skomplikowanych czasów, w których przyszło mu żyć.

Pytają też, dlaczego Beck, w przeciwieństwie do swojego ukochanego mentora Józefa Piłsudskiego, przegrał batalię o pamięć rodaków. (kb)

Marek Kornat, Mariusz Wołos, *Józef Beck. Biografia*, Iskry, Warszawa 2020.

Jak dają nagrody, trzeba zacząć uważać

Rozmawiała Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Magda Kozakiewicz

Nasz znakomity fotoreporter Grzegorz Kozakiewicz otrzymał Złotą Gruszkę – nagrodę Klubu Dziennikarzy „Pod Gruszką" za całokształt pracy. Nie mogliśmy nie zadać mu z tej okazji kilku pytań.

Magda Huzarska-Szumiec: Lubisz gruszki?
Grzegorz Kozakiewicz: Nie, wolę jabłka.
No, nie wierzę. W końcu jesteś posiadaczem Złotej Gruszki.
Tę akurat lubię. Jest całkiem przydatna. Mam taki zwyczaj, że jak jem, to czytam. A z tym zawsze jest kłopot, bo gdy mam zajęte ręce, to książka mi się zamyka. Teraz mogę górną częścią Gruszki przytrzymywać kartki, by nie stracić wątku, a równocześnie wkładać do ust jabłka.
Chodziłeś w dzieciństwie na grandę, żeby podwędzić komuś z drzewa trochę jabłek?
Pewnie, szczególnie papierówki.
To masz wprawę we wchodzeniu do miejsc trudno dostępnych. Gdzie w Krakowie niełatwo było ci się dostać?
Chyba najtrudniej do klasztoru Kamedułów na Bielanach. Żeby to zrobić, musiałem uruchomić niewiarygodne znajomości. W końcu umówiłem się z ówczesnym przeorem, który kazał mi przyjść o godzinie... 6 rano. Chciałem się jakoś z tego wykręcić, ale się nie dało. O godzinie 5 miałem wsiąść do autobusu na Salwatorze, który dojeżdża pod klasztor. Na górę musiałem wspiąć się z naprawdę ciężkim sprzętem. Jak już tam dotarłem i zapukałem do furty, furtian uchylił lufcik, popatrzył na mnie i powiedział: „Niech czeka". Wrócił za jakieś 20 minut i oświadczył: „Ojciec przeor kazał powiedzieć, żeby przyszedł jutro".

Ludzie przeważnie nie lubią się fotografować. Nie podobają się sobie na zdjęciach.

Rzeczywiście, fotoreporter musi wykazać się cierpliwością.
I to świętą.
Warto było tak wcześnie wstawać?
Tak, gdyż niewielu fotografów tam było. Mam stamtąd może trzy, może cztery zdjęcia, z których jestem naprawdę zadowolony. Najciekawsze przedstawia brata ogrodnika. Uchwyciłem go, kiedy stał z koszykiem, do którego łupał owies. Okazało się, że robi sobie z niego herbatę, bo pomaga mu na nerki. Ja wtedy też na nie chorowałem, więc mieliśmy wspólny temat.
Z tego, co mówisz, wnioskuję, że zdjęcia ludzi są dla ciebie ciekawsze niż miejsc, budynków, plenerów. Fotografowałeś wielu krakowian. Kto był najwdzięczniejszym obiektem?
Ludzie przeważnie nie lubią się fotografować. Nie podobają się sobie na zdjęciach. Kobieta wstaje rano i robi makijaż, a facet w tym czasie się goli. Obydwoje widzą wtedy w lustrze odbicia swoich twarzy z przodu i jakoś je akceptują. Kiedy zrobię im zdjęcie z boku, zaczynają dostrzegać swoje niedoskonałości. Dlatego wdzięcznymi modelami są jedynie przyzwyczajeni do sesji zdjęciowych aktorzy, no i oczywiście modelki. One z reguły uważają, że są najpiękniejsze na świecie i nic nie jest w stanie zepsuć ich dobrego samopoczucia. Poza tym wiedzą, że fotografowie starają się, by jak najlepiej wyszły.
A kto ze znanych krakowian sprawiał ci największy kłopot?
Chyba Wisława Szymborska, zwłaszcza po Noblu. Wszyscy wtedy chcieli ją fotografować, a ona się wymigiwała. Z kolegą Jackiem Bednarczykiem, z którym wśród młodych fotoreporterów uchodziliśmy już wtedy za seniorów, wzięliśmy panią Wisławę na bok i powiedzieliśmy jej, że niezależnie od tego, co będzie robiła i co mówiła, to my i tak musimy ją sfotografować. „Jak zacznie się pani zasłaniać, wykrzywiać, to co najwyżej będzie pani wyglądać na zdjęciach jak Krwawa Brygida, postrach Oświęcimia, zasłaniająca się gazetą na procesie norymberskim. Po co to pani?" – zapytałem i dodałem jeszcze, co już było wyjątkową bezczelnością, że jest taka amerykańska porada dla ofiar gwałtu, jak należy się zachować, gdy nie da się go uniknąć. Otóż należy położyć się wygodnie i wyciągnąć z tego maksimum korzyści. Jak to powiedziałem, uświadomiłem sobie, że zaraz dostanę w pysk, a w najlepszym przypadku szlaban na zdjęcia poetki do końca życia. Ale Szymborska zaczęła się śmiać i odparła: „Postaram się zastosować, ale błagam, panowie, róbcie co drugą zmarszczkę".
A ty lubisz być fotografowany?
Specjalnie mi to nie przeszkadza, ale jak każdy fotograf mam mało zdjęć.
Nie do końca. Widziałam twoje zdjęcia choćby z wręczenia Złotej Gruszki. Jesteś na nich dumy jak paw.
Bo naprawdę cieszę się z tej nagrody, choć nie bardzo wiem, dlaczego ją dostałem. Nie wydaje mi się, żebym miał w tym zawodzie jakieś wielkie osiągnięcia. To moja praca, którą wykonuję całe życie. Niemniej bycie laureatem jest przyjemne. Zmartwił mnie tylko kolega, który powiedział, żebym uważał, bo jak zaczynają dawać nagrody za całokształt, to następną ważną uroczystością może być pogrzeb.

Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

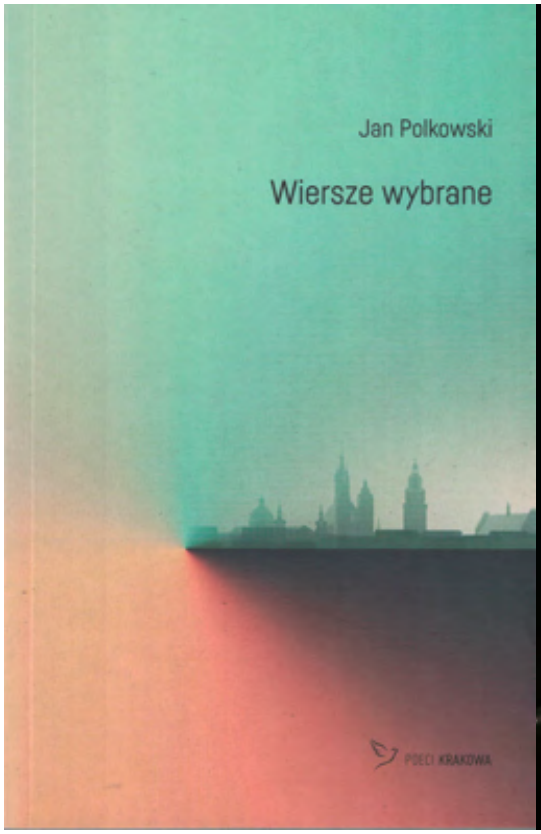

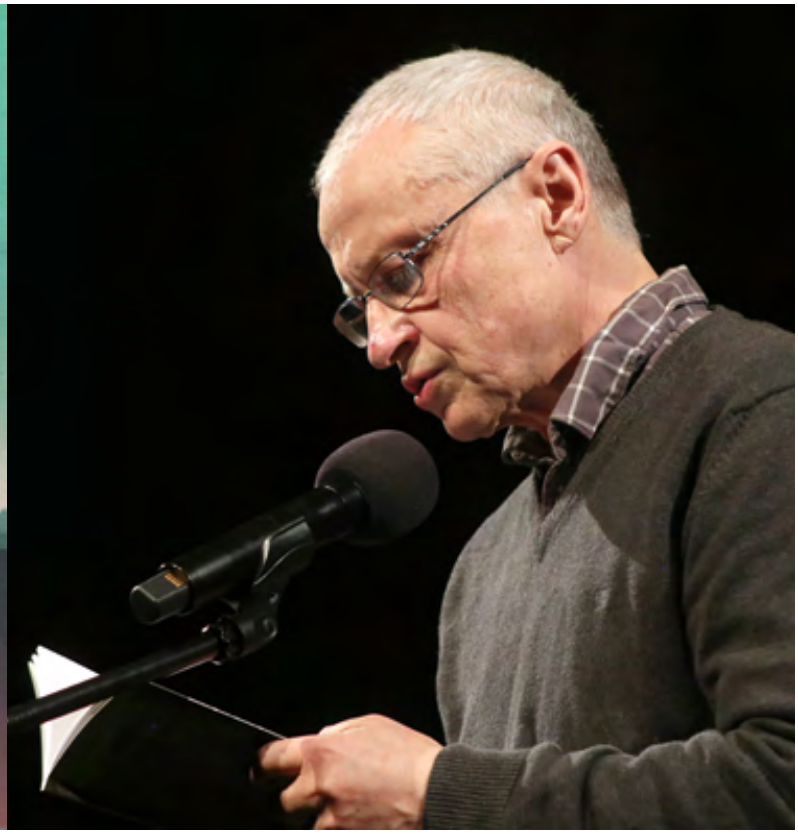

Nie bójcie się poety

Tekst: Janusz M. Paluch **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Jan Polkowski uważany jest za jednego z najwybitniejszych poetów urodzonych w latach 50. XX wieku.

Dał się poznać jako aktywny działacz antykomunistyczny, współtwórca Studenckiego Komitetu Solidarności na UJ, internowany 13 grudnia 1981 roku po wprowadzeniu stanu wojennego, działacz podziemnej „Solidarności", w końcu redaktor naczelny „Czasu Krakowskiego" i rzecznik prasowy w rządzie Jana Olszewskiego. Mając świadomość aktywności politycznej i społecznej Polkowskiego, łatwiej zrozumiemy uniwersalizm przekazu jego twórczości. I to pomimo tego, że wczesne wiersze Polkowskiego, będące wyrazem niezgody na komunistyczną rzeczywistość, odczytywano głównie przez pryzmat polityki, co przecież w tamtych czasach było ważnym atutem, ba – symbolem nie lada odwagi i troski o marnowaną Polskość. Taka postawa nie wzięła się znikąd... W jednym z utworów pisze: „Moi przodkowie moczą nogi w obłokach Kazachstanu / w cerkwi Uralu liczą wrzody odmawiając różaniec / w imperium londyńskiego deszczu gniją ich włosy i sny / w zakolu Wilii patrzą jak spławik zanurza się w pamięć / z bochnem domu piosnkami i wszystkim co było" (**** Moi przodkowie...*). By sobie to uświadomić, musiał doświadczyć nowohuckiej rzeczywistości niemal od kołyski, gdy „skrępowanego becikiem / gryzł szczurzy wzrok Bieruta / gdy słońce Stalina zgasło / zapłonął jego cień" (****Mama biegła nauczać...*). Być może dlatego ufał „słowom słabych / i pustym ustom ofiar". Autor wstępu do książki Józef Maria Ruszar twierdzi, że „poezja Polkowskiego od zawsze była rozpoznawana jako literatura apokaliptyczna, wieszcząca zagładę moralną i polityczną, lecz jednocześnie z zarysowaną delikatnie metafizyczną nadzieją". Podkreśla też, że Polkowski jest „poetą katastrofy i (...) nie znajdzie uznania albo po prostu znudzi wszystkich, którzy chcą tańczyć i śpiewać przy hipnotycznej muzyce". To poezja stwarzana z perspektywy „mężczyzny w średnim wieku z pierwszym przymrozkiem / na szczupłych policzkach (...)", którego „(...) miasto zamknęło (...) w przepaści powietrza" (*Gładki kamień*), ale i tego, który czując wspólnotę z wszechświatem, pisze: „Pracujemy wspólnie / by coś po sobie pozostawić / Ja sieję trawę / nim zmyje mnie / deszcz" (**** Być albo kryć się...*).

Polkowski nie jest łatwym poetą. Sięgając po jego książkę, trzeba być przygotowanym na wszystko: zniechęcenie, wściekłość, konieczność wielokrotnego czytania utworów, zachwyt i euforię. Ale takie jest przecież ryzyko obcowania z prawdziwą literaturą. Pewnie dlatego wielu czuje lęk przed jego poezją...

Jan Polkowski, *Wiersze wybrane*, seria wydawnicza *Poeci Krakowa*, słowo wstępne: Józef Maria Ruszar, Biblioteka Kraków, 2020.

Twórcy bez środków do życia

Premier Mateusz Morawiecki wydał zarządzenie o zamknięciu kin, teatrów, galerii. Może i zasadne, ale dla instytucji kultury jest to kolejny cios, po którym jeszcze trudniej będzie się podnieść. Najgorsze, że dla artystów, którzy w dużej mierze nie posiadają etatów, oznacza to utratę podstawowego materialnego bezpieczeństwa. Szczególnie że w tej sytuacji wielu nie stać na opłacanie ubezpieczeń zdrowotnych i emerytalnych. Środowisko twórców apeluje do władz o podjęcie natychmiastowych działań. „Oczekujemy od rządu kolejnych projektów, programów pomocowych i działań na rzecz ochrony narodowej kultury, której jesteśmy częścią" – pisze na stronach Onetu reżyser Grzegorz Jarzyna. Przyłączamy się do apelu, licząc, że w końcu sytuacja choć trochę się unormuje, a my będziemy mogli wrócić do kin, teatrów i galerii.

Giovanny Castellanos patrzy na nas z góry

Rzadko zdarzają się ludzie, dla których nie ma rzeczy niemożliwych. Bo czy jest wielu takich, którzy, żyjąc w dalekiej Kolumbii i mając zaledwie 17 lat, czytają książki o Jerzym Grotowskim i Tadeuszu Kantorze, a po ich lekturze oświadczają przerażonym rodzicom, że wyjeżdżają studiować do Polski? Czy wielu jest takich, którzy z miłości do sztuki, ucząc się dopiero języka, dostają się na Wydział Reżyserii krakowskiej PWST? Czy wielu jest takich, którzy zaprzyjaźniają się ze Sławomirem Mrożkiem i z jego żoną Susaną, z którą razem gotują meksykańskie i kolumbijskie dania? Czy wielu jest takich, którzy zaraz po studiach zaczynają reżyserować w teatrach w całej Polsce, a niebawem zostają kierownikiem artystycznym w Teatrze im. Stefana Jaracza?

Niewielu. Nie ma też nikogo w polskim teatrze, komu udałoby się zdobyć prawa do przeniesienia na scenę książki Gabriela Garcíi Márqueza. A Giova to zrobił. Po prostu wziął telefon do ręki i wykręcił numer do pisarza, który słysząc głos młodego człowieka dzwoniącego z teatru w jakimś abstrakcyjnym dla niego Koszalinie, nie oparł się jego urokowi i wyraził zgodę na realizację *O miłości i innych demonach*. Bo urokowi Giovy naprawdę trudno było się oprzeć. Gdy stawał w drzwiach z butelką wina, wszystko zdawało się prostsze, a rzeczy niemożliwe przybierały realne kształty. Jego zaraźliwy śmiech, podobnie jak latynoską muzykę, której domagał się na wejściu, słychać było w całej kamienicy. A potem były długie, istotne rozmowy. Ostatnio o spektaklu *Ich czworo*, który przygotowywał w Teatrze Bagatela. Premiera przedstawienia została odwołana z powodu pandemii. Teraz Ktoś tam na górze zdecydował, że odwoła Giovę, niezwykłego człowieka i świetnego artystę. Miałam wielkie szczęście, że go poznałam.

Dick donosi na Lema

Czas pandemii sprzyja sięganiu po twórczość Stanisława Lema. Teatr Łaźnia Nowa tym razem postanowił zmierzyć się z biografią twórcy *Solaris*, a konkretnie z pewnym jej epizodem, w którym główną rolę odgrywał inny wybitny pisarz *science fiction* Philip K. Dick. O ich korespondencyjnej przyjaźni opowiada spektakl *Lem vs. P.K. Dick* w reżyserii Mateusza Pakuły. Na scenie pisarze prowadzą ze sobą dialogi telefoniczne, które ujawniają, jak diametralnie się różnili. Tomasz Schuchardt przedstawia Dicka jako szaleńca, wiecznego hipisa pogrążonego w nałogach, grzebiącego w swojej duchowości wizjonera, który całkiem dobrze potrafi wykłócać się o pieniądze. Bowiem początkowo jego rozmowy z polskim pisarzem dotyczą honorariów, jakie ma dostać Amerykanin za wydawane u nas książki. Z kolei grany przez Jana Jurkowskiego Lem to typ urzędnika, mocno stąpającego po ziemi, którego jedyną słabością są ciastka, jedzone przez aktora na scenie z dużym poświęceniem. To spektakl zarazem śmieszny i gorzki, prowadzący z jednej strony do przedstawienia zabawnej w gruncie rzeczy historii związanej z donosem, jaki Dick złożył na Lema do FBI, a z drugiej do ujawnienia traum obydwu pisarzy, które sprawiły, że nie byli oni w stanie normalnie funkcjonować w świecie. Może dlatego stwarzali własne światy, do których my dziś uciekamy przed rzeczywistością, w jakiej przyszło nam żyć.

Skrawek nieba dla bezdomnych

Kiedy rozpoczął się wiosenny lockdown, wokół naszych domów krążyły policyjne samochody. Z ich głośników dobiegał komunikat o konieczności pozostania w domu. Tylko co mieli zrobić z nim ludzie, którzy żyją na ulicy? Artysta sztuk wizualnych Łukasz Surowiec też zadał sobie to pytanie. Szukając odpowiedzi, postanowił zaprosić do swojego projektu bezdomnych i na czas narodowej kwarantanny wynajął dla nich luksusowe apartamenty, w których zwykle zatrzymują się zamożni turyści. Towarzyszył im tam z kamerą, kręcąc film *Sen Jakuba*, pokazywany w galerii sztuki Art Agenda Nova przy ul. Batorego, w ramach wystawy *Wszyscy jesteśmy terroryst(k)ami*. Dzięki temu możemy zobaczyć osoby wykluczone z życia społecznego, które choć przez chwilę dotykają skrawka mieszkaniowego nieba. Ze wzruszeniem obserwujemy, jak zmieniają się ich ruchy, gesty, jak stają się uważniejsi, delikatniejsi, a przede wszystkim jak przebywanie w wysmakowanych wnętrzach przywraca im godność. Można powiedzieć, że to eksperyment artystyczny przeprowadzony na żywym organizmie. I tak pewnie jest, ale ma to uzasadniony cel. Dzięki niemu, słysząc kolejne apele władz o pozostanie w domach, pomyślimy choć przez chwilę, co dzieje się z tymi, którzy nie mają się gdzie schronić przed pandemią.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

W następnym numerze między innymi:

Dziedzictwo 3.0: miasta razem

Nieznane kościoły i ołtarz mariacki

Wawel i jego arrasy

Noc u Matejki

Rynek, królowie i królowe

Rys. Piotr Błachut

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW
ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”
Wybierz Kraków!
Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.
Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl
www.miesiecznik.krakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Bereś (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszczachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński
Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.
Layout: Igor Banaszewski
Strona internetowa: Piotr Rachwaniec
Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl
Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń
Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.
Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.
Kontakt: Aneta Mastela-Książek aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl, tel.12/61 89 120
Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków, pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)
Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)
– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).
W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą.
Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane! Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.
Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiącznikkrakow.pl, Facebook: https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH**, **KOLPORTER**, **GARMOND** – szczegóły na witrynach internetowych kolporterów.

W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwaniec

Dwutygodnik.com
Kiedy byłem dzieckiem, nie trzeba było namawiać mnie do gry w szachy, które niezagrożone rozrywką cyfrową – jak dzisiaj! – przeżywały rozkwit. Obecnie królewska gra wciąż trzyma się nieźle, tyle że przeniosła się do świata wirtualnego. Dowodem na popularność szachów jest serial Netflixa *Gambit królowej*, zbierający świetne recenzje. Jedną z nich publikuje Dwutygodnik.com.

https://www.dwutygodnik.com/artykul/9207-ocalenie-przez-szachy.html

Tytuł *Gambit królowej* jest literacki, dwuznaczny. Bo sam gambit, jako zagranie, jest dwuznaczny. Gambit to – krótko mówiąc – poświęcenie figury w celu zyskania lepszej pozycji na szachownicy. (...) Nie ma oczywiście odpowiedzi, czy lepiej gambit przyjąć czy nie... Bo jest to zagadnienie metafizyczne.

(...) Z IQ łączono szachy. Traktowano je jako wyznacznik ilorazu inteligencji. To niestety świadczyło bezsprzecznie, że mieszkańcy Związku Radzieckiego wielokrotnie przewyższają inteligencją Amerykanów. Oczywiście waszyngtońscy twardogłowi nie mogli sobie na to pozwolić. Dlatego w latach 50. i 60. ubiegłego stulecia zainwestowano całkiem spore sumy w rozwój tej dyscypliny, a wyczekany triumf Fischera (skądinąd jego matka pochodziła z Polski) nad Spasskim potraktowano jako dowód na wyższość Amerykanów nad – w głównej mierze – Rosjanami (tak jak wygrane Morphy'ego miały dowodzić supremacji amerykańskiego modelu życia nad europejskim).

Culture.pl
Mówi się, że Steve Jobs – współtwórca Apple – był wizjonerem. Ciekawe, czy czytał Lema, bo nasz rodzimy wizjoner wymyślił to wszystko przed nim. Na Culture.pl przeczytacie nie tylko o elektronicznych książkach przepowiedzianych przez Stanisława Lema, lecz również o jego dwunastu innych technologicznych wróżbach.

https://culture.pl/pl/artykul/13-przepowiedni-lema-ktore-sie-sprawdzily

Tablet i e-booki, smartfony, Google, a nawet Matrix zostały wymyślone przez autora *Solaris* już w połowie XX wieku.

(...) Już na początku lat 50. XX wieku Lem rozważał możliwość łączenia komputerów o dużej mocy w celu zwiększenia ich możliwości przetwarzania danych. W *Dialogach* z 1957 roku przedstawiał tę możliwość jako realny kierunek rozwoju technologicznego, pisząc, że „wskutek stopniowego zrastania się wszystkich informatycznych maszyn i banków pamięci powstaną kontynentalne, a potem nawet planetarne sieci komputerowe".

Zmarły w 2006 roku Lem dożył realizacji wielu ze swoich przewidywań, w tym internetu. Był tym zaskoczony. Oto jak brzmiał jego słynny, choć raczej apokryficzny komentarz po pierwszym spotkaniu z nowym medium: „Dopóki nie skorzystałem z internetu, nie wiedziałem, że na świecie jest tylu idiotów".

Rys. Marek Braun

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

Inspektor Wawelek i Polisia na tropie

Uwaga dzieci, bo będzie teraz coś i dla was! To wiadomość z kategorii tych rozkosznych, przytulnych i milusich. Otóż miło nam poinformować, że Inspektor Wawelek ma już swoją partnerkę! Polisia, bo tak ma na imię, jest smoczycą. Nie powinno to jednak dziwić, zważywszy, że Inspektor Wawelek też jest smokiem. Łączy ich jeszcze jedno: obydwoje są maskotkami krakowskiej policji. I choć Polisia została wprowadzona do służby w małopolskim garnizonie policji w marcu tego roku, to do tej pory nie miała imienia. Wyłonił je dopiero konkurs pod patronatem komendanta wojewódzkiego policji, na który wpłynęły 154 propozycje. Polisia nosi kobiecy mundur wyjściowy, przypominający ten z 20-lecia międzywojennego, i ma długie, kobiece rzęsy. Nie wiemy, czy Inspektor Wawelek wraz z Polisią wytropią jakąś, na przykład zabawkową, aferę. Ale wiemy na pewno, że spowodują uśmiech na buzi niejednego malucha.

Rzeźby będą balansować w komplecie

Wydawać się mogło, że te rzeźby wrosną w pejzaż miasta na stałe. Mowa o dziesięciu rzeźbach autorstwa znanego na świecie twórcy Jerzego Kędziory, które artysta zawiesił nad kładką Bernatka w formie instalacji *Między wodą a ziemią*. Przyzwyczailiśmy się już do tych postaci, które szczególnie w dni wietrzne balansowały nad wodą niczym tancerze, tworząc niesamowity efekt. Dlatego ze smutkiem przyjęliśmy jakiś czas temu wiadomość, że nasze oko będą cieszyć już tylko cztery z nich, bowiem miasta nie stać na zakupienie wszystkich. I tu z pomocą przyszła Rada Dzielnicy XIII Podgórze, wysupławszy ze swojego budżetu niebagatelną kwotę 295 tysięcy złotych na zakup pozostałych sześciu. Co ważne, środki te zostały przesunięte z funduszu na remont dróg i chodników. I choć zdajemy sobie sprawę, że części mieszkańców Podgórza ta decyzja może nie przypaść do gustu, bo nad sztukę przekładają – co zrozumiałe – wygodne trotuary, nam ten gest się podoba. Zwłaszcza w dzisiejszych, trudnych dla sztuki czasach.

Kościół Zdrowego Ciała

Można się spierać, czy zamykanie klubów fitness w czasie pandemii ma czy nie ma sensu. Pomysłodawcy tej decyzji z pewnością uważają, że lepiej dmuchać na zimne. Przeciwnicy argumentują, że w warunkach zachowania należytej higieny, dbanie o zdrowe ciało jest także formą walki z koronawirusem. Ale jedno jest pewne – zamknięcie klubów to dla nich także finansowa katastrofa. Nic więc dziwnego, że jeden z krakowskich fitness clubów Atlantic, postanowił zmienić na ten czas kwalifikację prawną swojej instytucji i ogłosił się Kościołem Zdrowego Ciała. Jako wspólnota wyznaniowa mógł teoretycznie działać. Mrugając okiem do stałych bywalców, oświecony Olek i czcigodna Gosia zapraszali, zamiast na body art i pilates, na wyjątkowe wydarzenia religijne. W squasha można było pograć, biorąc udział w zawodach bez udziału publiczności. Siłownia zaś stała się sklepem, gdzie odpłatnie testowano sprzęt. I choć jesteśmy przeciwnikami łamania bądź naginania prawa, spodobała nam się pomysłowość tej przemiany i desperacja właścicieli klubu oraz jego trenerów.

Krakowska szopka gra w kanadyjskim filmie

Pojawić się na ekranie u boku takich gwiazd światowego kina jak Kurt Russell czy Goldie Hawn to jest dopiero coś! Podczas gdy niejeden aktor może o tym tylko pomarzyć, nasza krakowska szopka właśnie zagrała w kanadyjskiej produkcji z udziałem wspomnianych gwiazd. A było tak: do Działu PR Muzeum Krakowa przyszło pytanie od scenografki filmowej, czy któryś z naszych szopkarzy czy szopkarek mógłby wykonać szopkę do filmu realizowanego w Vancouver. Po zapoznaniu się z propozycjami producenci wybrali szopkę autorstwa pani Marzeny Dłużniewskiej. Szopka musiała się świetnie wpisać w atmosferę filmu, bowiem obraz *Kronika świąteczna: część druga*, który możemy zobaczyć na Netflixie, to typowe kino familijne na Boże Narodzenie z Kurtem Russellem w roli świętego Mikołaja. Choć sława krakowskich szopek już dawno przekroczyła granice kraju, informacja, że pojawi się ona w filmie oglądanym na całym świecie, jest dla nas dodatkowym powodem do dumy.

Czekoladkowy bojkot

Wydawać by się mogło, że na A–B niewiele jest nas w stanie zaskoczyć. A jednak... Kiedy bardzo prawicowy redaktor Michał Karnowski, mocno trzymający swą patriotyczną dłoń na pulsie wartości narodowych, ogłosił bojkot słodyczy z Wedla, nie wiedzieliśmy, czy śmiać się czy płakać. Panu redaktorowi, słynącemu wszak z tolerancji i otwartości, nie spodobało się, że zarząd Wedla poparł Strajk Kobiet. „I ty, Wedlu, przeciwko rodzinie i życiu?" – zagrzmiał w mediach społecznościowych. Po czym wyprowadził prawy sierpowy, namawiając do spożywania czekoladek tylko z polskiego Wawelu. Internauci szybko wytknęli bystrzakowi, że Wawel, owszem, z Krakowa, lecz większość udziałów w tej słodkiej fabryce posiadają... Szwajcarzy. No i co, na przykład, zrobić z takim batonikiem Danusia, który ewidentnie kojarzy się z imieniem żony pewnego niezbyt lubianego w prawicowych kręgach eksprezydenta? Pisząc te słowa, nie możemy się powstrzymać od otwarcia kolejnego opakowania wedlowskich ptasich mleczek. Zwłaszcza waniliowych.

Janusz Stefaniak, *Absztyfikant*

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Jacek Purchla, Kraków
Kazimierz Sumera, Zawoja
Andrzej Gaworski, Warszawa
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Pracz, Warszawa
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
Ewa Rusek, Kraków
Andrzej Wyrobiec, Kraków
Jarosław Poczykowski, Białystok
Jadwiga Falkowska, Białystok
Marcin Barcz, Piaseczno
Tomasz Langie, Kraków
Tomasz Majka, Zawada
Jerzy Zoń, Kraków
Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko
Anna Kosiorkiewicz, Kraków
Jerzy Hausner, Kraków
Katarzyna Bilan-Zając, Kraków
Monika Gierko-Libicka, Warszawa
Rafał Bubnicki, Wrocław
Adam Opatowicz, Kołbaskowo
Dominika Dudek, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków
Gerhard Gnauck, Sulejówek
Wacław Marszałek, Warszawa
Piotr Krzywiec, Warszawa
Gwidon Dziwoki, Kraków
Waldemar Zakrzewski, Szczecin
Renata i Wojciech Michna, Kraków
Andrzej Kuźma, Kraków
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna
Konstanty Gebert, Warszawa
Agnieszka Odorowicz, Warszawa
Janusz Fogler, Legionowo
Anna Tyniec, Kraków
Czesław Misiołek, Ożarów Mazowiecki
Małgorzata Maruszkin, Warszawa
Anna Anderson, Dobczyce
Marcin Barcz, Piaseczno
Wojciech Bergier, Kraków
Ewa Bielecka, Kraków
Jacek Górski, Kraków
Dorota Hajdarowicz, Bolechowice
Grzegorz Hajdarowicz, Bolechowice
Wanda Fryz, Wodzisław Śląski
Paweł Stanisław Nikliński, Kraków
Andrzej Łojewski, Kraków
Andrzej Pach, Kraków
Małgorzata Pach, Kraków
Jerzy Loręcki, Kraków
Jan Sady, Kraków
Róża Thun, Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Artur Romanowski, Kraków
Małgorzata i Paweł Jagusiowie, Kraków
Małgorzata i Jerzy Dobrowolscy, Skarżysko-Kamienna
Ewa i Krzysztof Jurkiewicz, Krępa
Zofia Maciaga, Lędziny
Ewa i Grzegorz Reszka, Warszawa
Dariusz Borucki, Łomianki
Alina Kruk, Zielona Góra
Krzysztof Ryszard Wilk, Kraków

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka unikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:
Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków” – nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Biblia to antyczna Księga autorstwa wyblakłych Mężczyzn

Tekst: Agnieszka Kosińska

Pospolite ruszenie w sprawie polskich kobiet przywiodło mi na myśl pewien tajemniczy wiersz najbardziej tajemniczej poetki na świecie.

Przytaczam go w oryginale, bo brzmi najmocniej i, co dziwne, nawet mając podstawową znajomość angielskiego, coś w nas rozumie go dogłębnie.

The Bible is an antique Volume –
Written by faded Men
At the suggestion of Holy Spectres –
Subjects – Bethlehem –
Eden – the ancient Homestead –
Satan – the Brigadier –
Judas – the Great Defaulter –
David – the Troubadour –
Sin – a distinguished Precipice –
Others must resist –
Boys that „believe" are very lonesome –
Other Boys are „lost" –
Had but the Tale a warbling Teller –
All the Boys would come –
Orpheus« Sermon captivated –
It did not condemn –

Biblia to antyczna Księga –
Autorstwa wyblakłych Mężczyzn
Namówionych przez Widma Święte –
Tematy – Betlejem –
Eden – zamierzchłe Gospodarstwo –
Szatan – Brygadier –
Judasz – Wielki Partacz –
Dawid – Trubadur –
Grzech – wytworna Przepaść –
Której inni odpór dać muszą –
Samotni są Chłopcy, którzy „wierzą" –
Inni Chłopcy – „zagubieni" –
Lecz gdyby Rzecz tę Bajarz wybitny wyśpiewał –
Przywiodłaby Chłopców wszystkich –
Zwabionych Kazaniem Orfea –
Ono nie potępia –

Emily Dickinson, bo jej to wiersz, powstały około 1882 roku, pochodziła z purytańskiej rodziny kultywującej żywą, wspólną i indywidualną lekturę Pisma Świętego, a także płomienne kazania, śpiewy i modlitwy. Nic prawie nie wiemy o życiu poetki (polecam film *A Quiet Passion* – „Cicha namiętność", który udanie próbuje je przybliżyć). Nie opublikowała za swojego życia żadnego wiersza. Ale wiemy, na przykład, że w bibliotece Dickinsonów w Amherst, przechowywanej obecnie w Harvardzie, było dziewiętnaście egzemplarzy Biblii. Zaiste, Biblia była książką do zadań codziennych tej rodziny. Tak, Dickinson żyjąc w XIX-wiecznym amerykańskim purytańskim miasteczku, w szacownym domu ojca o silnej osobowości, a do tego cenionego prawnika, prawie nie wychodząc ze swojego pokoju na piętrze, oglądając świat z okna, dokonała operacji niemożliwej, kopernikańskiego przewrotu: zobaczyła w świętej Księdze zmurszały relikt, który nie zawsze działa, i wyraziła to tak nowocześnie. Wiersz ten nie jest przeciwko Biblii, ale temu, jak banalnie i mizernie korzysta z niej człowiek i do jakich niecnych celów jej używa.

Gdzie jest Orfeusz? Gdzie jest Wielki Opowiadacz? Bo nie tylko bogowie, ale przede wszystkim człowiek potrzebuje do życia prawdziwej pieśni, nie ściemy. Emily zobaczyła też, że jeśli Biblia mówi językiem człowieka, jest to człowiek płci męskiej. Nie zostawiła nas z tymi rewelacjami w pustce. Cała jej poezja jest nową teologią, nowym widzeniem człowieka w wieloechowej przestrzeni zwanej światem. Człowieka – to znaczy nie tylko kobiety.

Tłumaczenie wiersza oraz jego wyborną wykładnię autorstwa Joanny Soćko znalazłam w jej artykule *Czy mężczyźni napisali Biblię tylko dla chłopców?* Amerykańskie echa głosu Lutra w wierszu Emily Dickinson w piśmie „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa" 2018, nr 3. Polecam także świetną pracę przekładową Krystyny Lenkowskiej: *Emily Dickinson. Jest pewien ukos światła. Poezje wybrane* (wybór, przedmowa i przekład Krystyny Lenkowskiej), officyna, Łódź 2018. Nasz wiersz znalazł się w zbiorze Lenkowskiej.

Agnieszka Kosińska: lubi lubić. Jej strona autorska: https://kosinska-miloszwkrakowie.com

Giovanny Castellanos

(1980-2020)

Dziękujemy za Twoją obecność.

Zespół Teatru Bagatela

Wstąp do Klubu, a dostaniesz sKOTLAND YARD z autografem autorki!*

***Kocia trzynastka*, czyli...**
najnowsze wiersze
Ewy Lipskiej
z rewelacyjnymi rysunkami
Sebastiana Kudasa

Zapraszamy!

Szczegóły w numerze oraz na
www.miesiecznik.krakow.pl/o-nas/klub-przyjaciol-krakowa/

* oferta ważna do wyczerpania zapasów

Klub Przyjaciół miesięcznika

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY KRAKÓW

zaczytaj się w Krakowie
KRAKÓW MIESIĘCZNIK
www.miesiecznik.krakow.pl